

Berlin, 19. 10. 1986 r. Rok V, nr 18 (116)

A 9878 D

Dwutygodnik „Towarzystwa Solidarność”

# Poglad

**WĘGRY  
1956**



**WŁADYSŁAW BARTOSZEWSKI**

<i>Roman Żelazny</i>	
Gorzki smak wolności .....	1
<i>Leszek Wyrwa</i>	
Po amnestii .....	11

<i>Władysław Bartoszewski</i>	
Pojednanie między narodami... ..	14
Dlaczego Polska jeszcze nie zginęła, Panie Bartoszewski? ...	18

<i>Maciej Radwan Rybicki</i>	
Prywatne rozmyślenia .....	22

<i>Czesław Karkowski</i>	
Szpieg i korespondent .....	25
<i>Władimir Bukowski</i>	
Czy Zachód jest w stanie... ..	28

Węgry 1956 .....	32
------------------	----

<i>Krzysztof Wągrodzki</i>	
Religia czy narkotyki? .....	34
<i>George Niwa</i>	
Sołżenicyn i my .....	39

RECENZJE, OMÓWIENIA  
POLEMIKI

<i>Krzysztof Drawski</i>	
Wszystko inaczej .....	42
<i>Wiktor Grotowicz</i>	
Balans artystyczny .....	44

Z Rzymu... ..	46
Z Indii... ..	48
Z Oslo... ..	49

<i>Adam Lengyel</i>	
Frankfurckie reminiscencje .....	51

KRONIKA EMIGRACYJNA ... 53

Listy do redakcji .....	54
Porady ubezpieczeniowe .....	56

Oddano do druku dn. 16. 10. 86 r.

Władysław Bartoszewski otrzymał Nagrodę Pokojową Niemieckich Księgarzy. Jakże pozytywny to element w skomplikowanej, ciężkiej od wzajemnych uprzedzeń mozaice stosunków polsko-niemieckich. Nagroda jest nie tylko uhonorowaniem pełnych szlachetnego trudu wysiłków Polaka w jego misji utrwalania pokoju; jest również materialnym dowodem postępującego pojednania polskiego i niemieckiego narodu.

Amnestia w Polsce jest szansą nie tylko dla społeczeństwa; jest też szansą dla władzy. Spróbujmy może tym razem nie wyłączać zwycięzców czy przegranych. Niech dowodem siły dla obydwu stron będzie oparty na rozsądku kompromis.

Świat jest już po islandzkim "Countdown". Mimo pesymistycznych doniesień z Reykjaviku życie toczy się dalej. Drzwi, jak zapewniają politycy obu stron, pozostają nadal otwarte. Wyraźniej niż dotąd zarysowały się fragmenty daleko idącego, wspólnego porozumienia. Nie żądajmy od razu rzeczy niemożliwych. Cierpliwości...

## Gorzki smak wolności

Przeżyliśmy już, chwala Bogu, największą falę panegirycznego uniesienia pod adresem rządu po uchwaleniu prezeń ostatniej amnestii. Tyrolskie jodłowanie piejących od zachwytów klakierów rządowego reżymu ustąpiło powoli miejsca marsowemu timbre głosu głównych jego sponsorów.

Okazuje się bowiem, że amnestia ależ jak najbardziej, owsem tak, trudno, stało się – owoce pracy wszakże zastępów SB i pozostałych służb aparatu nie mogą być tak łatwo odkładane do lamusa w ogólnym bilansie trudnych lat 1982-86. Powiadomił o tym m. in. jeden z głównych strażników oświeceniowego nurtu w obecnym systemie władzy, gen. Kiszczak. Rozwiął on mianowicie głośne obawy tych, których bardziej obchodzi spójność w narodzie, niż jego możliwość stanowienia o sobie, a główne zagrożenie kraju widzą nie w wywołanych przez władzę patologich gospodarczych, społecznych czy prawnych, ale we frustracji i ciężkim rozgoryczeniu pracowników Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, zawiedzionych takim finałem ich wieloletnich wysiłków.

W wersji gen. Kiszczaka dla pasażerów rozpędzonego PRL-owskiego autobusu-widma amnestia jest zatem jedynie „przerwa... na papierosa”, po której, w myśl ustalonych reguł, nastąpić ma dalsza jazda. W jakim kierunku, tłumaczyć nie trzeba.

Do tego obrazu polskiej rzeczywistości zdążyliśmy się już przyzwyczaić. Wiemy, iż nie ma za darmo. To, co władza społeczeństwu daje ma swoją cenę i może być w każdej chwili odebrane. Ot taki, makiaweliczny pragmatyzm uprawiany przez władzę w stosunku do społeczeństwa i koniunkturalne cwaniactwo bez zagranicy. Bo przecież tylko naiwni mogą wierzyć, że amnestia i zrobiony wokół niej propagandowy huczek służą wyłącznie pojednaniu narodowemu, a nie kulawemu przypodobaniu się zachodnim rządcom, by wyciągnąć od nich dalszą pomoc dla płatającej się jak pijany przy płocie gospodarki, oraz polepszeniu własnego wizerunku, kojarzącego się jak dotąd bardziej z kolczastym drutem i policyjną pałką, niż z tylekroć deklarowanym liberalizmem.

Jaruzelski widocznie doszedł do wniosku, że w obecnej chwili „humanitarne apele PRON”, zmiana generalskich portek na cywilne gatki czy ciemnych okularów na jasne to trochę za mało, stąd amnestia i nowe zajęcie dla zastępów licencjonowanych zagończyków z dziękczynnym zaśpiewem sławiących dobrą wolę władcy.

Wypowiedź Kiszczaka pozwala uświadomić sobie w każdym razie, że zasada „drzwi obrotowych”, zgodnie z którą jedni wychodzą, drugich się zamyka, działa i nie ma chwilowo przesłanek by ulec miała likwidacji. Przy postawie społeczeństwa wyrażającej się w przyjęciu tezy il faut qu'une porte soit ouverte ou fermée,<sup>1</sup> resortowi podległemu Kiszczakowi brak zajęcia w każdym razie nie grozi.

Czym więc ma być, czym powinna być dla społeczeństwa ta amnestia? Myślę, że dla nas wszystkich, dla tych, którzy wyszli z więzień i którzy mogą do nich w każdej chwili znów powrócić

## Z prasy podziemnej



### PO AMNESTII. KONSPIRACJA – ZABAWA CZY KONIECZNOŚĆ?

...nie zapominajmy, że w PRL i wszędzie pod panowaniem komunistów ludzi prześladować się za wolną myśl, za to, że chcą żyć w uczciwym, bogatszym i ciekawszym świecie. Chcą żyć w krajach rządzonych nie przez kłki i zakłamaną dyktaturę, ale przez swobodnie, demokratycznie wybieranych przedstawicieli. W krajach o otwartych granicach i otwartej gospodarce, dopuszczającej różne formy własności i swobodną wymianę dóbr i idei.

Okazuje się, że w Polsce ciągle jeszcze za takie dążenia ludzi ściga się i skazuje, ale już nie na długo. Kolejne coroczne amnestie lub „inicjatywy humanitarne” w latach 1983-86 są tego dowodem. Komu przypisać zasługę takiego stanu rzeczy? Wszystkim. Naszym ojcom, dziadom i pradziadom walczącym za „Waszą i Naszą Wolność”, i dzisiejszej młodzieży szkolnej wydającej *Wyrostka*. Kościołowi idącemu na kompromisy, ale nigdy za ceną zniewolenia na krzywdę i Zachodowi odraczającemu długi komunistom, ale nie skoremu do dawania nowych pieniędzy rządowi trzymającemu w więzieniach najlepszych Polaków. Na koniec, te amnestie przypisać trzeba i nam – codziennym, bezimiennym wyrobnikom podziemia, którzy czynimy swoje mimo zamykania naszych kolegów i tropienia nas przez sfory SB-ków, a nawet im – ludzom władzy, którzy są jacy są, ale są Polakami, myślą i zauważają nieskuteczność rządzenia polskim narodem za pomocą pałki i kraty. (...)

My wiemy czego chcemy i o co walczymy. O prawdę i sprawiedliwość, o wolność i solidarność, o po-

<sup>1</sup> Trzeba aby drzwi były albo otwarte albo zamknięte. Trzeciego wyjścia nie ma.

kój i trwanie. Komunizm jest rzeczywistym wrogiem tych wartości. By go pokonać musimy mu najpierw odebrać monopol na informację i kształtowanie naszych serc i umysłów na jego modłę. Dlatego piszemy, drukujemy, kolportujemy, wychodzimy na ulicę – to nie igraszka, nie zabawa w konspirację – nam idzie o życie. (...)

Kornel Morawiecki  
(„Solidarność Walcząca”, nr 18/137,  
14-28. 09. 1986)

## Z „SOLIDARNOSCI” NIE ZREZYGNUJEMY

„Uważam po prostu, że „Solidarność” jest na tyle mocną strukturą organizacyjną, że ma za sobą na tyle mocne zaplecze intelektualne, na tyle wielki dorobek w postaci i okresie legalnej działalności i okresu właśnie konspiracji: kryje się w tym również cały program i uchwały naszego Zjazdu Krajowego; tak, że myślę, że z takim dorobkiem bez trudności utrzymamy się.

– A czy „Solidarność” jest dziś Polakom potrzebna?

– Jest. Oczywiście, że jest. Myślę, że będzie potrzebna jeszcze przez długie lata. Ja myślę, że my z niej po prostu nigdy nie zrezygnujemy. Ona kiedyś będzie znowu legalna.  
(Rozmowa ze Zbigniewem Bujakiem)

(„Solidarność Walcząca”, nr. 18/137,  
14-28. 09. 1986)

## ATOMY OKIEŁZANANE

Nie ma powodów do kompleksów. Jesteśmy państwem nowoczesnym i mamy już własne prawo atomowe. Wiedziony cudowną intuicją Sejm uchwalił je w dniu 10 kwietnia br., zaś Dziennik Ustaw opublikował w Nr 12 1986 r. z 22 kwietnia, cztery dni przed opromienieniem Europy. Nowe prawo weszło w życie w dniu 1 czerwca, wszyscy powinniśmy więc czuć się dumni i bezpieczni.

Z preambuły można się dowiedzieć jakie szczytne cele kierowały ustawodawcą. Otóż ustawę przygotowano i uchwalono „uznając potrzebę pokojowego wykorzystania energii atomowej w różnych dziedzinach życia, w procesie gospodarczego rozwoju oraz w celu zapewnienia ochrony życia i mienia obywateli, a także środowiska przed zagrożeniem jakie może powodować korzystanie z tej energii”. Ustawa oczywiście ma zasięg krajowy, nie ma w niej mowy o relacjach międzynarodowych ani rozwiązań przewidzianych na wypadek, jeśli katastrofa atomowa dotknie

(pewien dowiec powiada, że Polacy dzielą się na tych którzy siedzieli, siedzą lub będą siedzieć), oraz dla tych, którym gen. Kiszczak oszczędził dotąd tej łaski, powinna być ona znakiem ostrożnej nadziei, zachętą do wytrwałości, a także rozwinięciem myśli, że w ostatecznym rozrachunku zwyciężą nie argument siły, lecz właśnie siła argumentów. Pragmatyczna postawa społeczeństwa i dość realna chyba ocena sytuacji w kraju przez władzę wykluczają wprawdzie tworzenie jakichś totalnie wolnościowych z jednej strony, a z drugiej totalnie podporządkowujących naród reżymowej machinie planów, dają wszakże podstawy do pozytywnej dla Polaków wizji rozwoju sytuacji.

Wspomniany wyżej „wariant społeczny” – z czego trzeba sobie zdać jasno sprawę – to w zastanej chwili budowanie zamków z piasku, „wariant reżymowy” to nic innego, jak pogoń za efemerydą, fantomem czy świętym Graalem. Naszemu narodowi właściwa jest co prawda „odwaga utopii”, lecz nie brakuje mu zarazem poczucia realizmu. Reżym zaś zdaje się, też taki głupi nie jest; w ten sposób aurea mediocritas, jako środek łagodzący ból ewentualnego zblźnienia stanowisk, jest w cenie i potrzebie. Krótko mówiąc, realizacja wszystkich postulatów społecznych ma przed sobą jeszcze daleką drogę, komuniści zaś wiedzą, że na dłuższą metę nie da się krajem rządzić przy pomocy pałki i krat.

Amnestia, w stworzeniu przesłanek której wspólnie uczestniczą obie strony wskazuje, że osiągnięcie jakiegoś społecznego konsensu jest możliwe; trend ten warty jest przynajmniej podtrzymania, przy pilnej jednocześnie uwadze społeczeństwa i reprezentującej go „Solidarności”, by omijając Scyllę zbyt daleko idącej nieustępliwości, nie wpaść na Charybdeń niemożliwych do przyjęcia kompromisów.

Wyraźne ślady tej dychotomii (bądź jej zaprzeczenia) występują nie tylko w postawie rządu. Również „Solidarność” czy reszta opozycji nie jest od nich wolna. Nie trzeba zaraz tego demonizować mówiąc o pojawieniu się zasadniczych różnic czy podziałów. Coś, co we względnie pewnej jedności oparło się i przetrwało stan wojenny oraz proces normalizacji nie rozpada się z powodu immanentnych sprzeczności (chyba że jest to komunizm), różnic dotyczących strategii czy taktyki albo pozornego w końcu odejścia od zasad dotychczasowej walki. Spoiwo pozostaje wszak to samo. Jest nim cel szeroko pojętej walki, zakładający odzyskanie podmiotowości społeczeństwa i przestrzegania przez władzę zasad demokratycznego rządzenia.

Nie przywiązywałbym więc aż takiego znaczenia do rzekomych rozdziewików w łonie poamnestyjnej opozycji. Przeciwnie, wydaje mi się to zdrowe, a nawet korzystne dla „Solidarności”, dla opozycji, dla społeczeństwa i – tak, tak – dla władzy, jeśli spieramy się o technikę czy metody dochodzenia do celu. Z tego punktu widzenia spory – jeśli takie są – między Wałęsą i Bujakiem, TKK czy środowiskiem dawnego KOR-u, kręgami intelektualistów skupionych wokół Episkopatu i od niego niezależnych są czymś ogromnie pozytywnym i odświeżającym polską myśl społeczną a. D. 1986. Wydaje mi się też, że te różnice – bez względu na są, jakie są i czego dotyczą – pozostawiają nie naruszoną samą substancję społeczną, na którą składa się wierność zasadom Sierpnia, niezmiennie przywiązanie do pryncypiów etyki chrześcijańskiej i nauki Kościoła, stale obecna świadomość związków z kulturą zachodnią, niezmiennie afirmowanie dziedzictwa kultury i tradycji narodowej zintegrowanych głęboko ze współczesnymi dążeniami czy ambicjami narodu.

Te cechy stanowią o sile społeczeństwa i słusznie twierdzi się, że amnestia jest jej oczywistą wykładnią. To antycypacja skutków społecznego oporu, a nie przekonanie władcy o własnej pozycji, w większym stopniu wymuszony pragmatyzm tej władzy, a nie jej dobra wola stanowią o ocenie amnestyjnego aktu. Reżym może ustami Urbana powtarzać jak długo chce, że został on społeczeństwu dany za jego wzorową postawę; nie zmienia to w niczym oczywiście dziś faktu, iż tak wiążąco polityczni jak i bezkrajowa uległość społeczeństwa są „alternatywą niemożliwą” w perspektywie dalszego rozwoju kraju.

Być może rozmowy dotyczące utworzenia Rady Konsultacyjnej przy Radzie Państwa PRL doprowadzą do jakiegoś pozytywnego skutku. Jego efektem mogłaby być Rada posiadająca rzeczywistą bazę społeczną, umożliwiającą i animującą rozwój nie „kontrolowanej demokracji socjalistycznej”, ale demokratycznych ruchów społecznych, bez względu na ich rodzaj czy charakter. Być może jej działalność, pojęta zgodnie z interesem ogółu Polaków, stworzy przesłanki do prawdziwie nieskrępowanych inicjatyw społecznych, pluralizmu, reformy gospodarczej i moralnej czy wreszcie, do ułożenia normalnych stosunków między rządzącymi a rządzonymi.

Ani jednak Rada — gdyby doszło do jej utworzenia — ani inny organ społeczny tolerowany przez władzę, ani „Solidarność”, ani opozycja nie mogą zapomnieć o tym, co jest ich prawdziwym atutem, szansą w walce o równą prawa: o konieczności bycia ze społeczeństwem a nie stawiania się nad nim czy poza nim. Tylko tak odwrócić będzie można sens zasady in aequali iure melior est conditio possidentis<sup>2</sup> na korzyść społeczeństwa i tylko wtedy wolność w Polsce odzyska swój pierwotny smak.

Zostawmy więc na boku domysły czy amnestia to dowód siły władzy, czy też jej słabości, czy stoją za tym dolary, czy „oko” do własnego społeczeństwa? Czy wreszcie to tego społeczeństwa uległość, czy bojowa postawa są jej źródłem? Żaden z tych argumentów nie jest mniej ważny od drugiego. Żadnego nie należy lekceważyć, lecz żadnego nie można też fetyszyzować. Dopiero ich stopienie się w jedną całość zamienia domysły w fakty. Wysiłek intelektualny opozycji winien skupić się nie nad rozwiązaniem tej szarady, lecz koncentrować się nad problemem, jak licytować, by osiągnąć przyznany remis. Co zrobić, z jakim wyjść programem, aby uniknąć pułapek chytrego i zarazem brutalnego reżymu, oraz jak ominąć zasadzki wynikające z niektórych słabych stron demokracji, wymykające się nieraz z rąk tradycyjnie parlamentarnych systemów, nie mówiąc już o społeczeństwie, które powoli odzwyczajają się od przestrzegania jej podstawowych zasad?

Parafrazując powiedzenie Czesława Miłosza o totalitarnym krądowniku utykającym w miejscach, które bez trudu pokonuje trawą demokracji, życzyć należy opozycji właściwego kursu. ■

symboliczne. Bezpieczeństwa nie zapewnia się bowiem przez sam fakt pisania o nim w ustawach, ale dzięki stosowaniu odpowiednich nowoczesnych rozwiązań technicznych, odpowiednich konstrukcji i zabezpieczeń. W tym względzie ustawa nie zmienia ani poprawić nie może, bo wszystko jest w rękach nauki i techniki, a także i może przede wszystkim wykonawstwa. Ustawa stanowi, że będzie się przestrzegać wymagań i warunków bezpieczeństwa jądrowego i ochrony radiologicznej, co jednak samo przez się nie daje gwarancji i w ogóle niewiele znaczy.

Kontrolę nad stosowaniem energii atomowej w Polsce sprawować ma Państwowa Agencja Atomistyki (prezesa agencji powołuje premier), do zadań której należeć będą decyzje o budowaniu obiektów wykorzystujących energię jądrową, ewidencja i kontrolowanie źródeł promieniotwórczych, oraz podejmowanie decyzji i wydawanie zarządzeń w razie bezpośredniego zagrożenia jądrowego.

Najciekawszą częścią ustawy, zwłaszcza na tle niedawnej katastrofy w Czernobylu, jest jednak ustalono przez ustawę zasięg pokrywania szkód spowodowanych awariami czy katastrofami. Ustawa posługuje się przy tym sformułowaniami, które brzmią nieco zabawnie na tle systemu obowiązującego w Polsce, operując takimi pojęciami jak „osoba eksploatująca obiekt jądrowy” lub „eksploatator”, zupełnie jak gdyby każdy polski ogrodnik lub producent plastików, któremu znużył się jego dotychczasowa działalność mógł zabrać się do budowy elektrowni atomowej. Oczywiście „osoba” w języku prawniczym może oznaczać także osobę prawną, nie widać jednak na horyzoncie polskim ani spółdzielni, ani spółek polonijnych, które wzięłyby się do budowania fabryk o napędzie atomowym. Właścicielem nielicznych obiektów, które może kiedyś powstaną, pomimo gorących protestów części ludności będzie państwo, które nie wypuściłoby przynajmniej ze swych rąk zakładów dysponujących energią atomową. Cała więc ustawowa gadanina o eksploatatorach i ich odpowiedzialności brzmi mało poważnie. Nie zmienia to jednak faktu, iż zasięg odpowiedzialności przewidziany w ustawie jest dosyć szeroki, co mocno kontrastuje z lekceważącym podejściem władz PRL do odpowiedzialności za szkody spowodowane eksplozją w Czernobylu.

Otóż nasza własna „osoba eksploatująca” w myśl przepisów ustawy

<sup>2</sup> Przy równych prawach lepsza jest sytuacja posiadającego.

kilku państw. Nie w tym dziwnego, Sejm PRL nie może bowiem ustanowić praw, które obowiązywałyby inne państwa, co jak wiadomo wymaga zawarcia umów wielostronnych lub konwencji międzynarodowych.

Najwięcej miejsca poświęcono w tekście ustawy sprawom bezpieczeństwa przy wykorzystywaniu energii jądrowej oraz sposobowi kontroli nad nią. Słów na ten temat pada wiele, znaczenie ich jest jednak raczej

zobowiązana jest do odpowiedzialności za wszelkie następstwa, które ustawa wylicza (art. 39). Należą do nich śmierć, uszkodzenie ciała, rozstrój zdrowia i zniszczenie mienia, korzyści jakie poszkodowany mógłby osiągnąć, gdyby mu szkody nie wyrządzono (jakie to aktualnie dla naszych rolników i ogrodników, którzy ponieśli szkody po eksplozji w Czernobyli). Sprawca ma także obowiązek pokrycia koniecznych i poniesionych wydatków związanych z zapobieżeniem narażeniu ludzi i środowiska na promieniowanie jonizujące, oraz wyrównanie strat powstałych wskutek uszkodzenia środowiska. Zszczenia o szkody poniesione przez osobę nie przedawniają się nigdy, zszczenia z powodu szkód materialnych i zniszczenia środowiska – po 10 latach.

Ustawa zawiera też sankcje karne w wypadku naruszenia zasad bezpieczeństwa, a mianowicie za utrudnianie kontroli pracy i sprawności urządzeń, niewykonywanie decyzji nadzoru, niezabezpieczenie odpadów promieniotwórczych i materiału jądrowego, a także nieprzestrzeganie norm napromieniowania pracownikom, za co winnym grozi kara arrestu ograniczenia wolności, albo grzywny. Kary są znacznie niższe niż np. za rozprowadzanie ulotek, które najwyraźniej władze PRL uważają za groźniejsze od promieni czy pyłów radioaktywnych. W części karnej ustawy znajduje się także przepis, który warto przytoczyć w całości. „Kto pracując w obiekcie nie zawiadania o stanie lub zdarzeniu mogącym spowodować zagrożenie bezpieczeństwa jądrowego – lub ochrony radiologicznej, podlega karze grzywny”. Przepis ten odzwierciedla lepiej niż cała ustawa, w jaki sposób traktowany jest problem bezpieczeństwa przy wykorzystaniu energii jądrowej. Jeśli zestawiać tę normę z rozdziałem kodeksu karnego poświęconym przestępstwom przeciwko bezpieczeństwu powszechnemu oraz bezpieczeństwu w ruchu lądowym, wodnym i powietrznym, gdzie dla sprawców wypadków przewidziane są surowe kary, różnica bije w oczy. Człowiek czy grupa ludzi, którzy wiedzą o zagrożeniu atomowym i wiedzą tę zachowują dla siebie, niewątpliwie dopuszczają się ciężkiego przestępstwa, które nasza nowa pseudonowoczesna ustawa uważa jedynie za drobne wykroczenie.

Po przestudiowaniu ustawy, na deser, dowiadujemy się kto w Polsce jest prawdziwym dysponentem energii atomowej i władających nią obiektów. Otóż dysponentami tymi są Minister Obrony Narodowej i Mi-

nister Spraw Wewnętrznych. Spój spokojnie Polsko – ZOMO czuwa.

(„Prawo i Bezprawie”, nr. 2, 1986)

\*\*\*

**LUDZIE!** – Jest dobrze. Wasza kochana władzunia okazała dobre serduszko.

Powiedziała: „Wy więźniowie niekryminalni!” idźcie sobie do domów i chwalcie imię nasze. Idźcie, ale siedźcie cicho, bo inaczej przyjdą aniołki z SB i dadzą nam bobu.

Oceniając decyzję zwolnienia więźniów politycznych należy stwierdzić, iż od stanu wojennego jest to pierwsza rozsądna decyzja Jaruzelskiego. Oczywiście, jeżeli nie ma w niej jakichś ukrytych podtekstów na przyszłość.

Dobrze się stało, ale nie należy skakać z radości. Wolność myśli i przekonań nie może być prezentem od władz. To się nam po prostu należy.

Na decyzję władz wpłynęło kilka bardzo istotnych przyczyn:

- zdecydowana postawa więźniów politycznych,
- ciężka sytuacja ekonomiczna kraju. (Reżymowcy wiedzieli, że kurek z dolarami zostanie odkręcony po zwolnieniu więźniów politycznych),
- aktywna walka duchowieństwa polskiego,
- działalność związkowa „Solidarności”, która pomogła przetrwać najtrudniejsze chwile rodzinom więzionym.

(„Kotwica”, nr 2/9/86)

### Kraj w prasie zachodniej



### KARA WIĘZIENIA ZA ODMOWĘ

Członek pacyfistycznego ugrupowania „Wolność i Pokój” Bonow-

ski (gazeta nie podaje imienia – przyp. red.) został skazany przez Sąd Wojskowy w Zielonej Górze na dwa lata więzienia za odmowę złożenia przysięgi wojskowej, podaje *Der Tagesspiegel* (4. 10.). Bonowski otrzymał karę w zawieszeniu, ponieważ oświadczył przed sądem, iż „zamierza się w przyszłości podporządkować zarządzeniom wojskowym PRL”. Wobec odmowy służby wojskowej w PRL grozi kara od 3 do 8 lat więzienia, informuje berliński dziennik.

### TRS UZNAWA NIELEGALNĄ

Rząd PRL ogłosił, iż „Tymczasowa Rada „Solidarności” jest organizacją nielegalną i jej działalność będzie karnie zabroniona”, podaje *Der Tagesspiegel* (5. 10.). Rzecznik prasowy rządu PRL Urban nazwał członków Rady „garstką ekstremistów” groził im więzieniem, jeżeli nie zaprzestaną wrogiej „działalności”. Urban stwierdził ponadto, że rząd PRL traktuje próbę stworzenia Polski krajem bez więźniów politycznych tak samo poważnie jak próbę wprowadzenia pluralizmu w latach 1980-81 (sic! – red.).

### JANKOWSKI NA WOLNOŚCI

22-letni Wojciech Jankowski, członek organizacji pacyfistycznej „Wolność i Pokój”, którego skazano na 3,5 roku więzienia za odmowę złożenia przysięgi wojskowej, znalazł się na wolności, podaje *Sueddeutsche Zeitung* (5. 10.). Jankowski prowadził uprzednio (od 16 września br.) głódówkę protestacyjną.

### ATAK „PRAWDY”

Moskiewski dziennik *Prawda* ostro zaatakował nowo utworzoną Tymczasową Radę „Solidarności” pisze *Neue Zuercher Zeitung* (7. 10.). Szwajcarski dziennik cytuje za *Prawdą*, iż „mała grupa osób nie zrozumiała znaczenia wprowadzonej ostatnio amnestii i próbuje powrotu do sytuacji sprzed grudnia '81”, ale PRL „znajduje się obecnie na drodze społecznego i gospodarczego postępu. Nieliczna grupa wewnętrznych wrogów popieranych przez określone koła zachodnie procesu tego nie powstrzyma”.

### POLSKA OPOZYCJA W DEFENSYWIE

Artykuł pod powyższym tytułem zamieszcza *Neue Zuercher Zeit-*

tung (8.10.). Oto interesujący fragment:

„Zaledwie w kilka dni po powstaniu Tymczasowej Rady Solidarności sytuacja polskiej opozycji uległa znacznemu pogorszeniu. Rząd w Warszawie odrzucił kategorycznie jakiegokolwiek próby porozumienia i zasygnalizował, iż nie jest zainteresowany w prowadzeniu rozmów z bytymi działaczami 'Solidarności'. Jednakże politycy związkowi, którzy kształtowali rzeczywistość Polski w latach 1980-81 nie zamierzają 'odejść na emeryturę'. Zwłaszcza, iż są tu ludzie przeważnie młodzi, którzy nie przekroczyli jeszcze czterdziestki. Pożegnać się z polityką w takim wieku jest ciężko, zwłaszcza gdy w grę wchodzi nie tylko wypracowane działania, ale i narodowe namiętności”.

#### TAJNE (?) DOKUMENTY „SOLIDARNOSCI”

Rzecznik prasowy rządu PRL Urban przedstawił na konferencji prasowej zorganizowanej w Warszawie jakoby tajne dokumenty podziemnej „Solidarności”, informuje *Der Tagesspiegel* (8.10.). Ze „zdo-bytych” materiałów wynika, iż „na cele „Solidarności” wpłynęło 542 tys. dolarów tylko z amerykańskiej organizacji „Fundusz Rozwoju Demokracji”. Inna „potworność”: Urban stwierdził, iż „istnieją ścisłe powią-

zania pomiędzy Radiem Wolna Europa a „Solidarnością” podziemną”. Na podstawie tych rewelacji rzecznik prasowy konkludował, że „nieożli-wa jest współpraca pomiędzy rządem PRL a takimi osobami jak Lech Wałęsa czy Zbigniew Bujak”, podał berliński dziennik.

#### PASZPORTOWE SZYKANY

Jak informowaliśmy w poprzednim numerze „Poglądu” (16/114) wrocławska SB odmówiła wydania paszportu na leczenie za granicą dr Lotharowi Herbstowi, znanemu wrocławskiemu poecie i działaczowi opozycji. W tych dniach otrzymaliśmy informację, że inny członek wrocławskiej opozycji, Bronisław Kowalewski również otrzymał odmowę wydania paszportu umotywowaną tymi samymi paragrafami, co w wypadku Herbsta. Kowalewski był aresztowany w czerwcu 1984 r. i oskarżony o prowadzenie rozległego kolportażu pism niezależnych i współpracę z podziemiem. Zwolniono go z więzienia w sierpniu 1984 r. po lipcowej amnestii, bez rozprawy. W bieżącym roku został zaproszony przez przyjaciół do Oslo. Przed wydaniem paszportu był przesłuchiwa-ny przez SB, która proponowała mu wyjazd na Zachód w celach agenturalnych, tj. za otrzymanie paszportu miał zebrać informacje o działaniu

prosolidarnościowych organizacji w Norwegii. Ponieważ odmówił współpracy nie otrzymał paszportu. (Inf. własna).

#### MESSNER W NRD

Premier PRL Zbigniew Messner przebywał z oficjalną wizytą w NRD, pisze *FAZ* (11.10.). Podczas rozmów przeprowadzonych z premierem NRD Willym Stophem Messner stwierdził m. in., że „Polska, jak zwycięzca w II wojnie światowej w Niemczech sposób przyczyniła się do powstania państwa NRD”. Głównym tematem rozmów były jednakże problemy gospodarcze i zagadnienia przywrócenia bezdewizowej komunikacji pomiędzy obu krajami (istniała ona w latach 1972-1980 do momentu powstania „Solidarności” – przyp. red.).

#### ZMNIJSZENIE KAR DLA MORDERCÓW POPIEŁUSZKI

Sąd Najwyższy PRL złagodził kary więzienia wobec sprawców mordu na księdzu Jerzym Popiełuszcze, podaje *Der Tagesspiegel* (15.10.). Poza Grzegorzem Piotrowskim, którego 25-letni wyrok nie uległ zmianie, zmniejszono kary bytemu pfk Pietruszce (z 25 na 15 lat więzienia), Pękali (z 15 na 10 lat) oraz Chmielewskiemu (z 14 na 8 lat). ■

#### Kraj w prasie PRL



#### GWARANCJE URBANA

„W Polsce istnieją gwarancje konstytucyjne dla swobodnego zrzeszania się. Nasza polityka praktyczna zmierza do tego, aby następował postęp porozumienia narodowego

i aby następował postęp w wypełnianiu konkretną treścią tych konstytucyjnych gwarancji oraz rozszerzenie demokratycznej praktyki. I po tej drodze polityka rządu, który reprezentuje, idzie i iść będzie” – powiedział rzecznik prasowy rządu PRL w odpowiedzi na pytanie korespondenta *New York Times* Michaela Kaufmana, zadane na konferencji prasowej ministra Urbana, o stosunku rządu do apelu biskupów polskich o uwolnienie więźniów politycznych (*Rzeczpospolita* 15.09.). To, co dla Urbana jest świetlistym szlakiem porozumienia, dla społeczeństwa okazało się drogą przez mękę.

#### ALKOHOLIZM I PAŃSTWO

„W sprawie alkoholizmu państwo i Kościół wcześniej czy później muszą się spotkać i nie o to chodzi, by podczas takich spotkań tracić czas, energię i intelektualny potencjał na odpiernianie bezsensownych i z palca wyssanych zarzutów, na wyjaśnianie pozornych nieporozumień, czy też na tłumaczenie kim są

marksści i na czym polega ich program. Zbyt wiele wody leje się dzień w dzień, jak Polska długa i szeroka, zbyt długo to już trwa, by kogokolwiek stać było na luksus prowadzenia tego rodzaju „dialogów” – pisze publicysta *Gazety Robotniczej* (4.08.).

„Bezsensowne i z palca wyssane zarzuty”, „pozorne nieporozumienia” itp. odnoszą się do tych fragmentów apelu Episkopatu Polskiego, uznającego sierpień miesiącem trzeźwości, które sugerują źródła plagi społecznej jaką stał się w Polsce alkoholizm, w materialistycznej ideologii i polityce społecznej totalitarnego systemu. Strach pomyśleć, jak głęboko realnie i pełne sensu byłoby te zarzuty, gdyby monopolistą w dziedzinie produkcji alkoholu był Kościół.

#### OPZZ POPIERA...

„Polski ruch związkowy nie był, nie jest i nie będzie biernym starystą w walce na rzecz obrony praw i zagrożonych interesów ludzi pracy

oraz państw i narodów. Niezmiennie i solidarnie popieramy ruchy narodowowyzwoleńcze w Afryce, Azji i Ameryce Łacińskiej w ich walce o wolność i niezależny rozwój" – dowiedzieć się można było od członka Biura Politycznego i przewodniczącego OPZZ Alfreda Miodowicza, podczas jego wystąpienia na zorganizowanym w Berlinie Wschodnim IX Światowym Kongresie Związków Zawodowych (*Trybuna Ludu* 19. 09.). Jakże dobrze byłoby, gdyby towarzysze przewodniczący z równą siłą angażował się w obronę interesów ludzi pracy w swym własnym kraju. Jest jeszcze sporo głównych ról do obsadzenia.

#### POLSKA NAPROMIENIOWANA

„Po awarii reaktora atomowego na Ukrainie Polska znalazła się wśród trzech krajów (poza ZSRR), w których moc dawki promieniowania była największa. Są to Finlandia – moc dawki maksymalnej 1,4 milirentgena na godzinę, Szwecja – 1,0 i Polska – 0,45 milirentgena na godzinę”. (*Życie Warszawy* 10. 09.).

#### „WŁADYSŁAW GOMUŁKA” – STATEK SYMBOL

„W szczęśliwej Stoczni im. Adolfa Warskiego trwa budowa nowego specjalistycznego statku o nośności 33,5 tys. ton dla Polskiej Żeglugi Morskiej. W czasie wodowania, które ma się odbyć 26 października br., otrzyma on imię „Władysław Gomułka” – informuje *Rzeczpospolita* (23. 09.). Chciałoby się powiedzieć „statek-widmo”.

#### BEŁKOT I MEGALOMANIA

„– Jak z Pana pozycji, pisarza i redaktora naczelnego – rysuje się dzisiejszy obraz sytuacji w środowisku piarskim, czy mówiąc szerzej – świecie ludzi kultury?”

– Moim zdaniem następuje proces głębokich zmian i uważam, że stoimy w przededniu wielkiego, nowego renesansu. To jest konieczność socjalizmu – musimy przejść do socjalizmu nowego wieku, w którym rewolucja techniczna musi znaleźć uzasadnienie w rewolucji myślowej. I chyba jesteśmy u progu tego okresu. Odnoszę to np. do literatury młodej, w której następuje wielkie przemiany, może jeszcze nie do końca precyzyjnie wypowiedziane, ale już widoczne. Tego procesu nie należy przyspieszać, a jedynie trzeba pozwalać ludziom samodzielnie myśleć.” – z rozmowy *Rzeczpospolitej*

(23. 09.) z Włodzimierzem Sokorskim.

Sokorski, choć bełkotliwie i z właściwą mu megalomanią, jak nikt inny ma prawo mówić o „przełomach”, „koniecznościach socjalizmu” i „samodzielnym myśleniu”. To ostatnie ukształtowało się u niego niewątpliwie pod wpływem „świadomionej konieczności”, „przełomy” zaś i równy marsz z każdą nową ekipą władzy to jego, niejako, specjalność.

#### PRL NIE KARZE

„U nas nie istnieje tego rodzaju penalizacja, iż ludzie są karani za głoszenie poglądów, a tym bardziej za ich posiadanie. Nikt w Polsce nie był karany za spotkanie się z innymi ludźmi i wymienianie poglądów, tylko za określone prawem karnym działania” – powiedział Jerzy Urban podczas ostatniej konferencji prasowej z dziennikarzami (*Trybuna Ludu*, 24. 09.). Cóż, jeśli Urban tak mówi...

#### „URABIANIE” NA UCZELNIACH

„Jednym z głównych zadań będzie intensyfikacja pracy wychowawczej wśród studentów. Wymaga to przygotowania w każdej uczelni programu i planu pracy wychowawczej. Założeniem tych dokumentów musi być zwiększenie efektywności wychowawczej nauczycieli akademickich, poprawa dyscypliny studiów, wzmocnienie oddziaływania wychowawczego w domach studenckich oraz zapewnienie warunków do aktywnej pracy samorządów studenckich. Powstały uczelnie programy badań i rozpoczęto działalność naukową w ramach centralnych programów rozwojowo-badawczych.” – dowiadujemy się z „Komunikatu po posiedzeniu Biura Politycznego KC PZPR (*Trybuna Ludu* 25. 09.). Biedni studenci...

\* \* \*

„– A jakie są właściwie Twoje poglądy?”

– Iż zadaniem nr jeden dla Polaków jest poszerzać, zarówno w drodze indywidualnych starań i wszelkich możliwych porozumień, o ile takie nastąpią, obszar prywatnej inicjatywy. Jest to sposób na wywołanie konstruktywnej energii ludzkiej i na to, żeby Polskę uchronić przed ponadnięciem w status kraju czwartego świata.

– Ie felietonów zdejmuję Ci cenzura?

– Są różne okresy. W okresie stanu wojennego zdarzało się to często.” – z rozmowy Krystyny Jagiełło z popularnym felietonistą *Tygodnika Powszechnego*, Piotrem Wierzbickim.

#### MATOŁEK

„To wielki syndrom polskiej demokracji. Mówię o jak najszybszej, na całą długość wyciągniętej ręce władzy ludowej do donkiszotów politycznych, obałamuczonych grupek młodości i – nie można się cofnąć przed określeniem – przeciętnych przestępców politycznych nienawidzących naszego ustroju. (...) A tymczasem ta władza, jak mityczny bóg trzymał ludzkie stworzenia na otwartej szeroko ręce i nagle tę rękę zamknął, a potem znów ją otworzył ze słowami: zylisicie na co dzień pod naszą opieką. Pogadajmyś świadomi tego. (...) Władza gen. Jaruzelskiego jest ładna! Widzieliście gołębie siadające na beczce z pszenicą lub grochem – sprzedawanym przez przekupkę na rynku (np. na krakowskim Kleparzu)? Przekupka raz po raz chłania je szmatą, a one znów siadają. I tak przez cały dzień, przez całe życie. Zachodzi zatem pytanie, czy funkcjonariusze SB nie zniechęcają się taką zabawą, w której oni śledzą, łapią na gorącym uczynku, wsadzają, a z kolei inni puszczają.” (*Życie Literackie*, 21. 09.).

Nie ma obaw. Nagrody Pulitzera Machekiej nie dostanie. Co najwyższej „Order budowniczego....”.

#### ŚWIATŁO W TUNELU

„W Instytucie Konjunktur i Cen Handlu Zagranicznego opracowano dwa warianty-scenariusze możliwego rozwoju wypadków: pomyślny i niepomyślny. Pomyślny scenariusz zakłada m. in. wzrost dochodu narodowego po 4 proc. rocznie, a fizycznych rozmiarów eksportu o 5,6 proc. i uzyskanie sporej nadwyżki obrotów usługowych. Przy takich założeniach, już w 1990 roku nasze zadłużenie osiągnęłoby poziom maksymalny (ok. 34 mld dol.), a do 2000 roku uległoby likwidacji. Pamiętajmy jednak, że wymagałoby to zwiększenia eksportu w latach 1986-95 z ok. 6 mld dol. obecnie do 15,5 mld dolarów, co wydaje się mało prawdopodobne, zwłaszcza że nie mamy możliwości dalszego zwiększania wywozu surowców.”

Wariant niepomyślny: (3-procentowy wzrost dochodu narodowego rocznie i 4-procentowy eksportu)



niestychnanie wydłuża perspektywę opowiadania zadłużenia. Nasz dług, przy tym scenariuszu, wzrósłby do 40 mld dol. w 1990 roku, 55,7 mld w roku 2000 i 65 mld dol. w 2008" - *Polityka* (27. 09.).

### GOSPODRAKA

Katolickie *Stowo Powszechnie* podejmuje temat gospodarczy w komentarzu zatytułowanym *Wokół problemu zadłużenia*. Wynosi ono obecnie, jeśli chodzi o Polskę ponad 31 mld dol. Dziennik pisze, że

na tym polega najważniejszy z problemów polskiej gospodarki. Zadłużenie stanowi i będzie stanowić poważne obciążenie gospodarki i społeczeństwa ograniczając możliwości wzrostu spożycia i rozwiązywania ważnych problemów społecznych. Wyjście z tej pułapki nie jest zadaniem prostym, zwłaszcza, że od kilku już lat nie jesteśmy w stanie spłacać wierzycielom nie tylko należnych kwot z racji przypadających rat, ale nawet samego oprocentowania.

Tak brzmi najkrótsza chyba charakterystyka reformy gospodar-

czej, której od roku 1981 patronuje nie kto inny tylko sam tow. Jaruzelski.

### CZY SIĘ STOI...

Na odbywającej się w Warszawie ogólnopolskiej konferencji naukowej na temat przeglądów i atestacji stanowisk pracy stwierdzono, że straty czasu roboczego przypadające na jednego pracownika wynoszą 600 godz. rocznie, tj. 77 dni. (Radio W-wa, 30.9.).

## KULTURA \* KULTURA \* KULTURA \* KULTURA \* KULTURA \* KULTURA \* KULTURA \* KULTURA

### ŚMIERĆ SIDURA

Wszystkie dzienniki w RFN zamieściły większe lub mniejsze wzmianki o zgonie brytyjskiego rzeźbiarza Henry Moore'a. Natomiast śmierć rosyjskiego rzeźbiarza Vadima Sidura przeszła prawie niezauważenie. Nic w tym dziwnego, artysta ten był przemierzany w ZSSR, a na Zachodzie, głównie w RFN, znany jedynie nielicznym.

Miesięcznik *Westermann's Kulturmagazin* (wrzesień) poświęca artyście wspomnieniowy artykuł. Vadim Sidur urodził się w żydowskiej rodzinie w Dniepropetrowsku na Ukrainie. W latach 1942/43 jako młody chłopak poszedł na front, w 1944 został ciężko ranny (postrzał górnej strzęki). Przez wiele miesięcy walczył ze śmiercią i przeszedł dwie operacje. Te traumatyczne wspomnienia znajdują później odbicie w jego rzeźbach. Studia rozpoczął w moskiewskiej Szkole Wyższej Sztuki Stosowanej, którą ukończył na wydziale rzeźby monumentalnej w 1953 r. Najpierw współpracował z architektami i został przyjęty do związku rzeźbiarzy.

Władza sowiecka początkowo „rozpieszczała” artystę, składając u niego w okresie stalinowskim zamówienia na rzeźby. Dla Sidura rozpoczął się okres prosperity. I jak to bywa, nagle też władza sowiecka skazała go na zapomnienie.

Sidur stworzył popiersie tureckiego komunisty Schikmeta, który przez 12 lat siedział w więzieniu ze względu na swe przekonania. Popiersie, czarna rzeźba, zostało wystawione na Uniwersytecie Moskiewskim, lecz już następnego dnia musiało zniknąć. Lecz Sidur znalazł swoją drogę twórczą i to akurat w okresie, kiedy nie istniały żadne kontakty pomiędzy artystami sowieckimi i z Zachodu. Jego dalsze rzeźby przypominały twórczość Moore'a czy Lipschitza. Skazany teraz na marną egzystencję, tworzył nadal w zaciszu swojego atelier przy Komsomolskim Prospektie. Nawet w okresie krótkiej odwilży w sztuce ZSSR w połowie lat 60-tych, Sidur nie był dobrane widziany.

Natomiast RFN stała się artystyczną ojczyzną Sidura. Dla miasta Kassel stworzył pomnik „Ofiarom przemocy”, w Hagen stoi jego monument „Kobieta i stal”, w Berlinie (Zachodnim) „Treblinka”, w Duesseldorfie „Wołający”. Jedną z najpiękniejszych rzeźb stworzył dla Towarzystwa Maxa Plancka – głowę Alberta Einsteina. W roku 1975 Uniwersytet w Konstancji prezentował wystawę jego prac. Wiele jego rzeźb znajduje się również w zbiorach muzeów zachodniemieckich.

Śmierć Sidura nie przyszła niespodziewanie, w 1984 uległ pierwszemu zawałowi serca, drugiego już nie przeżył. Zmarł 26. 06. 1986.

### NARKOMANIA W ZSSR

Znany kirgiski pisarz Dżyngis Ajtmatow przedstawił latem w gazecie *Nowyj mir* fragmenty swojej najnowszej powieści „Szafot”. Zaskoczenie było absolutne – donosi *NZZ* (3. 10. 1986) – kiedy okazało się, iż autor pisze w bardzo pesymistycznym tonie o działalności gangów trudniących się handlem narkotykami i problemie narkomanii w ZSSR. Jak dotąd prasa sowiecka pomijała absolutnym milczeniem to zagadnienie, sugerując czytelnikom, iż zjawisko to ma miejsce jedynie na „zgnitym Zachodzie”. Reakcje były bardzo różne i nagle przełamano milczenie. I tak np. ukraińska *Prawda* podała do wiadomości śmierć 13-letniego ucznia-narkomana.

W dalszej powodzi publikacji i wywiadów zabrali m. in. głos minister zdrowia Rosyjskiej Republiki Federacyjnej A. Potapow oraz przedstawiciele milicji. Podano do wiadomości, iż nie chodzi tu absolutnie o importowane środki narkotyzujące lecz o „własną produkcję”. Konopie i mak są uprawiane na olbrzymich obszarach, przede wszystkim w środkowozajsyjskiej części ZSSR i na Ukrainie. Przedstawiciele milicji oświadczyli, iż nie mogą tu skorzystać ze znanych im doświadczeń zachodnich służb specjalnych w ściganiu i wykrywaniu gangów handlarzy narkotykami, gdyż w ZSSR używa się zupełnie innych metod. Ponadto do narkotyzowania się używane są też pewne preparaty medyczne, zawierające opium.

Minister zdrowia podał zaś do wiadomości, iż Związek Sowiecki nie jest absolutnie przygotowany na leczenie narkomanii – brak specjalistów, sanatoriów odwykowych, laboratoriów toksykologicznych, gdzie można by stwierdzić z jakim narkotykiem ma się do czynienia.

Najbardziej wstrząsające były listy rodziców do redakcji różnych gazet, którzy stwierdzali, iż samo karanie i zamykanie w więzieniach w niczym nie rozwiązuje tego problemu, jeśli po odbyciu kary dane osoby znów popadają w nałóg.

W całej tej dyskusji ani słowem nie wspomiano o najważniejszej sprawie – przyczynach narkomanii: złych warunkach pracy i życia, braku integracji społecznej, fatalnym rozwoju psychicznym i fizycznym społeczeństwa sowieckiego. Na to władza zdobyć się nie może.

### NIEWYGODNY ULUBIENIEC NARODU

„Aktor, który chce zostać prezydentem? Dlaczego nie? Przecież były już takie przypadki? – żartuje i uśmiecha się pełen uroku, któremu zawdzięcza, iż jest we Francji najpopularniejszą spośród znanych postaci życia publicznego kraju nad Sekwaną” – pisze *Die Welt* (13. 10.).

Chodzi o Yves Montand, a, który obchodzić będzie wkrótce 65 urodziny.

Przynajnie się do każdej zmarszczki na twarzy, do każdego swego włosa na głowie, tak jak bez ogródek opowiada o zmianie swych zapatrywań politycznych. Z gorącego zwolennika lewicy stał się zagorzałym propagatorem antytotalitarnych pozycji. „Nikt nie powinien się wstydić, jeśli musi zrewidować swój sąd”.

Urodził się w Monsummano we Włoszech. Wyrastał w atmosferze przekonań komunistycznych, i jako człowiek przeżywał prześladowanie ojca przez włoskich fascystów, aż po ucieczkę nocą do Francji. Ojciec znalazł pracę w fabryce w Marsylii. Ponieważ nędza zgładza im w oczy 11-letni Yves musi także zacząć pracować jako postaniec, pomocnik fryzjera. Potem przychodzi pierwsza miłość, ślub z kelnerką Bruna, pierwsze rozczarowanie i rozwód. W Paryżu znajduje pocieszenie u Edith Piaf, która pomaga mu w zrobieniu zawrotnej kariery. W 1944 roku występuje w części programu poprzedzającej jej występ. Odtąd nazywa się Montand. Trzy lata pozostaje z Edith Piaf, kiedy to nagle Simone Signoret wkacza w jego życie.

Do lat 50-tych angażował się w prosowiecki ruch pokojowy. Przełom nastąpił w roku 1956, w okresie zamieszek w Poznaniu, zajęcia Węgier i strumienia powstania. „To była moja lekcja i pojęciem ją”. Kiedy 13 grudnia

1981 wojsko przejmując władzę w Polsce przyczepia sobie do klapy ubrania znaczek „Solidarności”. „Wszyscy powinniśmy go nosić – nadszedł czas, żeby stworzyć wspólny front przeciwko nietolerancji i kolonizacji w Europie – inaczej pewnego dnia sami zostaniemy zmiecieni”. Jego program telewizyjny sprzed dwóch lat „Niech żyje kryzys” uzyskał taką popularność, o której politycy mogą tylko marzyć. Do zafascynowanej publiczności wołał: „Nie dajcie się usnąć propagandzie KGB – przesłatanij pozwalał by traktowano nas jak idiotów, inaczej przez milczenie staniemy się współnikami”. O Związku Radzieckim mówi, iż jest brutalnym, imperialistycznym państwem.

Świat zachodni musi zdecydować i w poczuciu jedności przeciwstawić się Sowietom.

Przemiana „ukochanego dziecka lewicy” w zdeklarowanego wroga totalitarnego systemu wywołała krzyk oburzenia w Moskwie i Paryżu. Rządowa Izwiestia określiła go w pełnym nienawiści artykule jako renegata. Wtórowała jej część francuskiej prasy socjalistycznej pisząc: „Dość, Panie Montand! Niech Pan lepiej śpiewa zamiast wygłaszać sądy polityczne!” Natomiast publiczność jest zupełnie innego zdania. Otrzymuje stopy listów doradczych mu aby zajął się polityką. 55 % jego widzów oświadczyło: „To co robi Yv Montand, jest ważniejsze niż wszystkie mowy polityków”.

## KULTURA \* KULTURA \* KULTURA \* KULTURA \* KULTURA \* KULTURA \* KU

## EKONOMIA \* EKONOMIA \* EKONOMIA \* EKONOMIA \* EKONOMIA \* EKONOMI

### ANALIZA ROZWOJU TECHNOLOGII NA ŚWIECIE

Amerykański magazyn gospodarczy *Fortune* przeprowadził analizę obecnego stanu rozwoju nauki i techniki. *Die Welt* (7. 10.) przytacza najważniejsze fragmenty:

„Generalnie Europa (Zachodnia) zajmuje trzecie miejsce po USA i Japonii. Analiza opiera się na obserwacjach i opiniach 40 fachowców, w tym profesorów i menadżerów”. Dla oceny stopnia rozwoju poszczególnych państw fachowcy mieli do dyspozycji skalę dziesięciu punktów. I tak w ocenie ogólnej USA otrzymały 9,9 pkt, Japonia (7,3), Europejscy (4,4), a Sowietci (1,5). W sprawozdaniu zaznaczono, iż w chwili obecnej stan rozwoju techniki komputerowej w Związku Radzieckim w porównaniu z innymi wysoko rozwiniętymi krajami Zachodu ma opóźnienie około 10 lat, jednakże Sowietci mogą być „niepóździanką” w rozwoju nowoczesnej technologii (high technology). W dalsze produkcji komputerów pierwsze miejsce zajmują Stany Zjednoczone, które zdominowały rynek światowy, 15 % produkcji dostarcza Japonia, natomiast Europa tylko 10 %.

Podobnie jest z mikroprocesorami: 43 % produkcji amerykańskiej, 34 % japońskiej i 18 % zachodnioeuropejskiej. Reszta produkcji przypada na pozostałe kraje łącznie z Blokiem Wschodnim. W niektórych dziedzinach tej produkcji Europa zajmuje jednak czołowe miejsce, i tak np. system komunikacyjny wypracowany przez firmę Siemens poszła na przekazywanie po tej samej linii jednocześnie danych informacyjnych, dźwięku i obrazu.

W dziale techniki genowej czołowe miejsce zajmują Stany Zjednoczone 8,9 pkt, dalek Japonia (5,7), Europa (4,9) i Związek Radziecki (1,3). Chodzi tu przede wszystkim o rozwój metody zwalczania raka przez aktywizację systemu immunologicznego człowieka, manipulację genami, jak i badania nad uodpornieniem komórek roślin (tytoni, owoce cytrusowe) na choroby i niskie temperatury.

W tej dziedzinie Europa Zachodnia ma jeszcze sporo do nadrobienia, chociaż dzięki badaniom takich przedsiębiorstw jak Bayer i Hoechst (RFN), Hoffmann-La Roche, Ciba-Geigy i Sandoz (Szwajcaria) oraz Rhone-Poulenc (Francja) można liczyć na odrobienie tych założeń.

Również w dziedzinie rozwoju nowych materiałów Stany Zjednoczone zajmują pierwsze miejsce (7,7 pkt) przed Japonią (6,3), Europą (6,1) i ZSSR (3,8). Natomiast pomijając technikę laserową Japończycy są bezkonkurencyjni w dziedzinie rozwoju elektroniki optycznej (9,5 pkt). Jeśli jednak w ocenie uwzględnimy również laserową Japonia spada na czwarte miejsce za USA, ZSSR i Europą.

Wybiegając w przyszłość analiza bardzo krytycznie ocenia amerykański poziom kształcenia w dziedzinie matematyki i nauk przyrodniczych. Japonia, której liczba ludności jest o połowę mniejsza niż Stanów Zjednoczonych, kształci prawie tyle sam inżynierów – i są to ludzie, którzy wiedzę przekształcają w komercyjną technologię. Jedno z zaleceń analizy: zwiększenie liczby godzin lekcyjnych w amerykańskich szkołach. Dzieci japońskie spędzają w szkole 240 dni, natomiast amerykańskie tylko 180.

### NOWY PORT PROMOWY W NRD

1 października br. został otwarty nowy port promowy Mukran na wyspie Rugii – pisze *Frankfurter Allgemeine Zeitung* (2. 10.). Trudno w to uwierzyć, ale ta inwestycja ściśle wiąże się z sierpniowymi wydarzeniami roku 1980 w Polsce. Większość masy towarowej w handlu pomiędzy NRD a ZSSR była jak dotąd przewożona koleją tranzytem przez Polskę. Ze względu na trudny do przewidzenia rozwój wypadków w Polsce oba państwa podpisały w czerwcu 1982 r. umowę o utworzeniu kole-

jowego połączenia promowego pomiędzy Rugią a Kłajpedą na Litwie. Mukran jest nadal wielkim placem budowy, gdyż w planach docelowych do roku 1990 przewiduje się taką rozbudowę portu, aby mógł przyjmować co 8 godzin nowy prom.

Prom kolejowy odbywający rejs na tej trasie posiada 190 m długości i 28 m szerokości oraz wyporność 11 700 ton, jednorazowo zabiera 103 wagony kolejowe, w tym 53 na górny pokładzie. Naturalnie wagony posiadają sowiecki rozstaw osi i dopiero w NRD zostają „przeosiowane” na europejski rozstaw szyn.

Docelowo planuje się przewóz drogą morską 5,3 mln t. towarów rocznie. Równocześnie czas transportu skracą się o 5/6 dotychczasowego czasu. W przyszłości tą drogą

będzie przewożona 1/3 towarów w handlu pomiędzy NRD a ZSSR. Naturalnie strona wschodniemiecka ani słowem nie wspominała o prawdziwych przyczynach politycznych podjęcia tej bądź co bądź gigantycznej inwestycji, nawet nie ujawniono dokładnych kosztów budowy, którą Zachód szacuje na 5 mld marek wschodniemieckich. Oficjalnie podano tylko, że istnieją „pewne problemy” w transzycie kolejowym towarów przez Polskę. PRL straci w ten sposób dość znaczne wpływy dewizowe z ruchu tranzytowego.

Na koniec należy jeszcze nadmienić, że również porty zachodniemieckie (zwłaszcza Hamburg) są zainteresowane w możliwości przedłużenia tej trasy połączenia promowego. Jak na razie są to tylko plany. ■

## EKONOMIA \* EKONOMIA \* EKONOMIA \* EKONOMIA \* EKONOMIA

# W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W

### ATAK GORBACZOWA NA „BETON”

Michaił Gorbaczow zaatakował, w przemówieniu wygłoszonym na jednym z moskiewskich zebrań partyjnych, „przeciwników reformy”, podaje *Der Tagespiegel* (2. 10.). „Stare nie podda się bez walki – należy walczyć z dogmatyzmem i brakiem realizmu”, mówił Gorbaczow. Moskiewska *Prawda* cytująca referat dorzuciła ze swej strony w komentarzu, iż „istnieje w Związku Sowieckim silny opór biurokratów mylących jedynie o własnej korzyści i przywilejach”. Biurokratyczne „perwersje” są tłumikiem wszelkich reform – cytuje za sowiecką gazetą berliński dziennik.

### AZYL W ZSSR

Amerykański naukowiec Arnold Lokshin otrzymał wraz z żoną i trójką dzieci, azyl w Związku Sowieckim – podaje *Frankfurter Allgemeine Zeitung* (9. 10.). 47-letni biochemik był „w USA prześladowany w związku z aktywną działalnością przeciwko groźnym aspektom polityki amerykańskiej”, cytuje za agencją TASS frankfurcki dziennik. Lokshin był ponadto w Stanach Zjednoczonych członkiem partii komunistycznej.

### „WOJNA W ETERZE”

*Neue Zürcher Zeitung* (11. 10.) zamieszcza artykuł o ciagle rosnącej roli Radia Wolna Europa i Radia Swoboda. Oto ciekawe fragmenty: „Katastrofa czernobylska była również klęską dla sowieckich mass-

mediów i moskiewskiej polityki informacyjnej. (...) W lukę powstającą w wyniku przemilczania następnie próby bagatelizowania katastrofy, „wskoczyły” radiostacje zachodnie takie jak Głos Ameryki, BBC, Deutsche Welle, Radio Wolna Europa oraz Radio Swoboda. (...) Systematyczny sondaż przybyłych na Zachód obywateli sowieckich (w dużej części funkcjonariuszy partyjnych) wykazał, że 38 % zapytanych czerpało informacje na temat Czernobylu z zachodnich rozgłośni radiowych, 31 % z telewizji sowieckiej, 9 % z moskiewskiego radia, 6 % z prasy sowieckiej, a 12 % otrzymało informacje od znajomych. Ponad 50 % obywateli sowieckich, którzy nigdy nie słuchali rozgłośni zachodnich, włączyło nagle radioodbiorniki, ponieważ nie dowierdzali oni oficjalnym (sowieckim) informacjom. (...)

Radio Wolna Europa nadaje swoje audycje na teren Europy Wschodniej z Estonią, Łotwą i Litwą włącznie. Natomiast Radio Swoboda przekazuje swe informacje w języku rosyjskim i 11 innych językach używanych w Związku Sowieckim. W ciągu jednego tygodnia obie te rozgłośnie nadają 1060 godzin przeróżnych audycji w 22 językach. Szacuje się, iż programów tych słucha przynajmniej raz w tygodniu około 52 mln odbiorców (17,8 mln w Związku Sowieckim, 16,3 w Polsce, 9,2 w Rumunii, 3,7 w Węgrzech, 3,4 w Czechosłowacji oraz 2,1 w Bułgarii). (...)

W chwili obecnej głównym problemem rozgłośni jest modernizacja sprzętu nadawczego. A jest ona konieczna, ponieważ zagrożenie radiostacji zachodnich przez kraje Bloku

Wschodniego ciągle się nasila. Szacuje się, że jego koszty wynoszą ponad 1 mld dolarów rocznie. Aby pokonać tę coraz szczerzej „kurtyne elektryczną” modernizuje się nadajniki w Portugalii, Hiszpanii oraz w RFN i zwiększa się ich moc. W Izraelu i na Dalekim Wschodzie poszukuje się miejsc na nowe stacje nadawcze, które byłyby w stanie lepiej przekazywać informacje w głąb Związku Sowieckiego, zwłaszcza na terenie Azji Centralnej i Syberii.

### IRINA RATUSZYŃSKAJA NA WOLNOŚCI

W poprzednim numerze *Pogłędu* informowaliśmy o akcji na rzecz uwolnienia Iriny Ratuszyńskiej, animowanej przez Towarzystwo „Kontinent”. Nie będzie chyba pochopnym stwierdzenie, iż szeroko zakrojone działania informacyjne i apele wywarły również wpływ na to, iż Irina Ratuszyńska znalazła się obecnie na wolności. *Der Tagespiegel* (11. 10.) poinformował, iż 32-letnia poetka zwolniona została z kijowskiego więzienia bez stawiania jej jakichkolwiek warunków. Żyjący w USA pisarz rosyjski Josif Brodski określił Ratuszyńską, jako poetkę „o talencie pierwszej wielkości, posiadającą znakomite wyczucie czasu i historii”.

### „SZCZYT” W REJKJAWIKU

Większość zachodnich gazet niemieckojęzycznych oceniła szczyt w Rejkjaviku jako niepowodzenie. Jednakże „nie ma powodów do paniki” cytuje słowa Gorbaczowa *Der*

# W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W

# W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W

*Tagesspiegel* (14. 10.) i pisze dalej: „drzwi do wcześniej uzgodnionego w Waszyngtonie spotkania pozostają otwarte, chociaż nie ustalono żadnego terminu. 11,5-godzinne rozmowy szefów dwu największych mocarstw wyjaśniły w jakimś stopniu panującą sytuację. Związek Sowiecki jest gotowy do silnej redukcji arsenałów rakietowych średniego zasięgu bez wliczania w ogólny rachunek (jak strona sowiecka nalegała uprzednio), francuskich i brytyjskich broni jądrowych”.

*Frankfurter Rundschau* (14. 10.) podsumowuje spotkanie w stolicy Islandii w sposób następujący: „Przy pożegnaniu nie było uśmiechów. Jedno jest pewne: Islandia zyskała na atrakcji jako kraj turystyczny”.

NZZ doszukuje się przyczyn niepowodzeń rozmów w Rejkjavíku nie tylko w rozbieżnościach wokół SDI, ale również w obecnej strategii Moskwy. „Wydaje się, iż Gorbaczow nie jest gotów zrezygnować ze „zdo-

byczy’ takich jak Angola czy Afganistan. Nowa polityka sowiecka wydaje się być zarówno na zewnątrz jak i wewnątrz, próbą stabilizacji kosztownego systemu, który ma pozostać



jednocześnie w swoich podstawowych zasadach nie zmieniony”.

*FAZ* (14. 10.) uważa, „iż spotkanie Reagan – Gorbaczow należy uznać za sukces sowiecki. Propagandowe atuty pozostały w rękach Moskwy. Wobec Europy Zachodniej przybierają Sowieci postać dobrego wujaska (sprawa redukcji rakiet średniego zasięgu), a Stany Zjednoczone krnąbrnego chłopca. Tylko,

czy dyskutując o Afganistanie, nie należy być upartym?”

## POKOJOWA NAGRODA NOBLA '86

Norweski Komitet Pokojowej Nagrody Nobla przyznał w tym roku to wysokie wyróżnienie żyjącemu w USA pisarzowi i działaczowi społecznemu żydowskiego pochodzenia, Elie Wieselowi.

Elie Wiesiel, urodzony w mieście Sighet, znajdującym się na obszarze dzisiejszej Rumunii, był więźniem Oświęcimia i Buchenwaldu. W 1963 roku otrzymał obywatelstwo Stanów Zjednoczonych. Pracuje obecnie na uniwersytecie w Bostonie. Jest namiętnym obrońcą praw ludności żydowskiej w ZSSR. W 1979 roku został przewodniczącym Amerykańskiej Rady Pamięci Ofiar Holocaustu.

Pokojowa Nagroda Nobla przyznana mu została w dowód „wielkich starań, by głos ofiar zagłady był stale wysłuchiwany i nigdy nie zamarł”. (*Tagesspiegel* 15. 10.)

# W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W

## JEDNYM ZDANIEM \* JEDNYM ZDANIEM \* JEDNYM ZDANIEM \* JEDNYM ZDANIEM

● **JOHANNESBURG.** (2. 10.) Czwierć miliona górników południowoafrykańskich wzięło udział w dwugodzinnym strajku protestacyjnym mającym zarówno upamiętnić śmierć 177 osób w ostatniej katastrofie górniczej w RPA, jak i zwrócić uwagę opinii publicznej na ciężkie i niebezpieczne warunki pracy w kopalniach południowoafrykańskich.

● **NEW DEHLI.** (3. 10.) Nieudany zamach na premiera Indii Rajiva Gandhiego; 20-letni zamachowiec sikhijski został, po oddaniu trzech strzałów z pistoletu w kierunku Gandhiego, obezwładniony przez ochronę osobistą indyjskiego premiera.

● **FRANKFURT.** (3. 10.) Eksplozja bomby na poczcie głównej we Frankfurcie nad Menem spowodowała duże szkody materialne; ofiar w ludziach nie było.

● **WARSZAWA.** (4. 10.) Przedstawiciele 22 episkopów kościołów katolickich w Europie obradowali w stolicy PRL pod przewodnictwem prymasa Polski kardynała Glempa.

● **FRANKFURT.** (4. 10.) Profesor Władysław Bartoszewski otrzymał tegoroczną nagrodę pokojową gildii księgarzy niemieckich.

● **PARYŻ.** (4. 10.) Jan Paweł II udał się w dniach 4-7. 10. w kolejną podróż pielgrzymką do Francji.

● **TEHERAN.** (5. 10.) Według informacji amerykańskiej agencji wywiadowczej CIA, w sierpniu br. odbył się w stolicy Iranu „szczyt terrorystyczny”: w „konferencji” wzięli udział przedstawiciele „wiodących” organizacji terrorystycznych z całego świata.

● **NOWY JORK.** (5. 10.) Sowiecki dysydent Jurij Orłow opuścił wraz z żoną Irią Związek Sowiecki i przybył do Stanów Zjednoczonych.

● **TUNIS.** (9. 10.) Przewodniczący PLO Arafat przezniesi siedzibę swej organizacji (ze względów bezpieczeństwa), z Tunezji do Jemenu Południowego.

● **TEL-AWIV.** (5. 10.) Według doniesień londyńskiego „Sunday Times” Izrael jest w posiadaniu broni atomowej; gazeta brytyjska ocenia, iż Izraelczycy posiadają około 100 głowic jądrowych.

● **WASZYNGTON.** (6. 10.) W wyniku uszkodzeń, jakie powstały podczas pożaru wywołanego prawdopodobnie eksplozją jednego z pocisków rakietowych, zatopiona na wodach zachodniego Atlantyku sowiecka atomowa łódź podwodna.

● **TEHERAN.** (8. 10.) Studenci irańscy podjęli próbę szturmowania ambasady RFN w Teheranie; strażnicy zachodniemieccy placówki dyplomatycznej rozproszyli tłum przy użyciu gazów łzawiących.

● **HAMBURG.** (8. 10.) Rozruch elektrowni atomowej w Brokdorfie koło Hamburga pociągnął za sobą gwałtowne demonstracje przeciwników energii jądrowej; w centrum Hamburga doszło do starć z policją i dewastacji wystaw sklepowych.

● **REJKJAVIK.** (11/12. 10.) W stolicy Islandii odbyło się spotkanie na „szczyt” Reagan-Gorbaczow (szczyt patrz: Kronika Świata).

● **BONN.** (11. 10.) Ofiarą ostatniego zamachu terrorystycznego RAF padł w Bonn wysoki dyplomata zachodniemiecki, 51-letni Gero von Braunmuhler.

● **SAN SALVADOR.** (11. 10.) Trzęsienie ziemi w stolicy Salvadora pociągnęło za sobą ok. tysiąca ofiar śmiertelnych; dziesiątki tysięcy ludzi zostało bez dachu nad głową.

● **MONACHIUM.** (13. 10.) Wybory krajowe w Bawarii przyniosły następujące rezultaty: zwyciężyła CSU (55,8 % głosów) zdobywając absolutną większość w krajowym parlamencie. 27,5 % głosów uzyskała SPD, Zieloni 7,5 % (zasiadają oni w ten sposób po raz pierwszy w bawarskim Landtagu); „za burzą” pozostali wolni demokraci (FDP) z 3,8 % zdobytych głosów.

Leszek Wyrwa

## Po amnestii

Po zwolnieniu więźniów politycznych na mocy decyzji władz z dnia 11 września 1986 roku, nad Polską uniosło się westchnienie ulgi. Natychmiast też rozpoczęły się spekulacje, jakie będą dalsze kroki władz. Samo utworzenie bram więzień i wypuszczenie na wolność 225 uwięzionych ludzi, niewiele zmieniło w sytuacji wewnętrznej kraju, zwłaszcza, że wciąż obowiązują przepisy produkujące przestępców politycznych. Obie strony, zarówno rządząca ekipa, jak i opozycja, interpretują decyzję z 11 września br. na swoją korzyść. Władze utrzymują, iż posunięcie to było możliwe dzięki postępującej normalizacji. Opozycja domagająca się konsekwentnie we wszystkich dostępnych dla niej formach, uwolnienia więźniów politycznych, uznawała, nie bez racji, decyzję o ich wypuszczeniu za swój sukces, a także za milczący dowód uznania swego istnienia. Panuje też powszechne przekonanie, iż o posunięciu władz zadecydowało szereg innych czynników, jak fatalna sytuacja ekonomiczna kraju i związana z nią, nagła potrzeba uzyskania kredytów, a także niekorzystny image gen. Jaruzelskiego i jego ekipy w oczach Zachodu, co ogromnie utrudnia poprawę stosunków z zagranicą.

Istotnie, z wypowiedzi oficjalnych osobistości na Zachodzie wynika, iż zwolnienie więźniów sumienia oceniono pozytywnie, w podobnym duchu wypowiadała się prasa zagraniczna, zauważając jednocześnie, że było ono zaskoczeniem dla społeczeństwa polskiego, w tym również dla samej opozycji. Osobiście sędzę, że zaskoczeniem było może nie tyle zwolnienie, co sposób wcielania w życie ustawy z dnia 17 lipca 1986 roku, o szczególnym postępowaniu wobec sprawców niektórych przestępstw, w której treści słowo „amnestia” pominięto, i która rzeczywiście amnestią nie była.

Rodzaj zbiorowego aktu łaski, jaki stanowiła ustawa, był ograniczony i wybiórczy w stosunku do więźniów sumienia, a przy tym, obwarowany licznymi warunkami. Jak pisałem jednak bezpośrednio po ogłoszeniu ustawy w artykule pt. „Pseudoamnestia” (*Pogląd*, nr 14/122, 27.08.1986), zawierała ona pewną furtkę otwierającą

przed władzą możliwość wszelkich manipulacji. Był nią art. 4 ustawy umożliwiający zwolnienie każdego więźnia, nie tylko zresztą politycznego, przez Sąd Najwyższy na wniosek Prokuratora Generalnego i darowanie kary, bądź umorzenie toczącego się postępowania. Przez tę furtkę właśnie wydostali się na wolność B. Lis i A. Michnik, w zasadzie nie objęci „szczególnym postępowaniem”. Pozwalało to przypuszczać, że władze liczą się z ewentualnością wypuszczenia wszystkich więźniów politycznych, a w każdym razie możliwością taką rozważają.

Co sprawiło, że zapadła ona właśnie w dniu 11 września br. pozostaje jedynie w sferze domysłów. Sam sposób ogłoszenia wskazuje jednak, że podjęto ją w sposób nagły, sprawiając nie mniejszą niespodziankę funkcjonariuszom SB i MO, niż samym zainteresowanym i społeczeństwu. Rano w dniu 11 września, kiedy esbecy przeprowadzali na skalę masową rozmowy ostrzegawcze, czy raczej może wychowawcze, nie wiedzieli jeszcze czemu ta akcja ma służyć. Przyznali to sami w programie telewizyjnym nadanym w kilka dni potem, mającym na celu podniesienie rangi owych pedagogicznych konwersacji. Min. Kiszczak w swym wywiadzie dla PAP zapewnił, iż *funkcjonariusze resortu spraw wewnętrznych nie są wbrew oczerniającej nas opinii entuzjastami, ani nawet zwolennikami represji*, a także, że *...kolejne inicjatywy amnestyjne oraz inne nierepresyjne sposoby likwidacji nielegalnej aktywności, spotykały się i spotykają wśród funkcjonariuszy naszego resortu ze zrozumieniem i poparciem*.

Zapewnienia te, których celem było poprawienie reputacji esbeków w oczach opinii publicznej, wydają się jednak dość dalekie od rzeczywistości. Niektórzy spośród zwalnianych opowiadali, że rozmawiający z nimi oficerowie z trudem hamowali rozdrażnienie, czy po prostu wściekłość. Nic w tym zresztą dziwnego.

O tym, iż zamiar uwolnienia więźniów politycznych podjęto w trybie nagłym świadczą i inne symptomy. W ciągu tygodni, jakie upłynęły od dnia ogłoszenia ustawy z dnia 17 lipca br. władze parokrotnie zmieniały taktykę w sposobach jej wcielania w życie. Początkowo puszczano, dość zresztą oszczędnie i „po rozważeniu”, mniej znanych działaczy opozycji, oskarżonych lub skazanych za przestępstwa „przeciwko porządkowi publicznemu” ponieważ tylko tych dotyczyła ustawa. Potem uczyniono wyjątek dla B. Lisa i A. Michnika, budząc nadzieje na dalsze zwolnienia. Nagle jednak nastąpił przymrozek. Jednym z jego objawów było przystopowanie akcji zwolnień, innym, zaostrożenie, sposobu traktowania więźniów sumienia w aresztach i zakładach karnych. Na wielu z nich posypał się bez żadnych

powodów grad kar dyscyplinarnych, wszystkich poddawano szykanom, np. drastycznym rewizjom osobistym (z oględzinami ciała włącznie) przed każdym widzeniem, również z obrońcami, czego nigdy nie doświadczali więźniowie polspolici. W niektórych wypadkach posuwano się do represji tak brutalnych, że budziły one niepokój o życie więźniów. Seweryn Jaworski, schorowany 55-letni mężczyzna, przesiedział wiele tygodni w tzw. kabarynie, czyli piwnicznej celi z twardym łóżem, trzymany był także nago w tzw. termosie, czyli dźwiękoszczelnej celi o powierzchni 4 m<sup>2</sup>, pozbawionej wszelkiego wyposażenia, nawet urządzeń sanitarnych, co zmusza więźnia do stania we własnych ekskrementach. Leszkowi Moczulskiemu, poważnie choremu na serce, długo odmawiano przeniesienia do szpitala więziennego i uczyniono to dopiero na kilka dni przed zwolnieniem. Władysławowi Frasyniukowi, który nabawił się w więzieniu ostrego reumatyzmu, nie pozwolono na podawanie leków. Adama Słomkę, pomimo ciężkiej gruźlicy, na którą również zachorował w więzieniu, trzymano w celi z wybitym oknem, bez ciepłej odzieży, odmawiając zarazem leczenia na anginę, co wpłynęło na gwałtowne pogorszenie jego stanu zdrowia. Te i inne udręki, wymyślone dla więźniów sumienia już w czasie obowiązywania ustawy amnestyjnej, nie mogły usposobiać optymistycznie. Stąd też nagła decyzja o zwolnieniu wszystkich politycznych była w pewnym stopniu zaskoczeniem.

O tym, iż zwolnienia na taką skalę nie były wcześniej zamierzone, świadczy też sposób przeprowadzenia całej operacji. W dniu 11 września w dzienniku telewizyjnym odczytano komunikat PAP, który następnego dnia ukazał się w całej prasie. Wynikało z niego, że gen. Kiszczak, jako Przewodniczący Komitetu Rady Ministrów d/s Przestrzegania Prawa, Porządku Publicznego i Dyscypliny Społecznej, wystąpił z wnioskiem do Prokuratora Generalnego o *spowodowanie, aby właściwe prokuratury i sądy zwolniły do dnia 15 września (...) wszystkie osoby skazane i aresztowane za przestępstwa i wykroczenia przeciwko państwu i porządkowi publicznemu*. Podstawę do takiego wystąpienia stanowić miała ustawa z dnia 17 lipca br., która nie dawała Ministrowi Spraw Wewnętrznych żadnych delegacji ustawowych, ani tym bardziej nie upoważniała do odegrania roli poprawiacza prawa. Min. Kiszczak, najpotężniejszy członek rządu, od dnia 19 lipca 1983 roku, kiedy to ustawa o Ministrze Spraw Wewnętrznych nadała mu niezwykle szerokie kompetencje, objawił się nagle społeczeństwu jako dysponent prokuratury, a także z sądem Najwyższym włą-

nie, a co jeszcze może istotniejsze, jako oficjalny interpretator ustawy uchwalonej przez najwyższą władzę ustawodawczą w PRL, jaką jest Sejm. To min. Kiszczak podniósł ustawę z dnia 17 lipca br. do rangi amnestii dla więźniów politycznych. A powinien przecież zrobić to Sejm, albo przynajmniej Rada Państwa, konstytucyjnie upoważniona do stosowania łaski. Decyzję więc tak bardzo oczekiwaną przez społeczeństwo i przyjętą z zadowoleniem, powzięto i ogłoszono w sposób jawnie urągający podstawowym zasadom legalizmu, co nasuwa niewesołe refleksje. Niepodobna bowiem naprawiać bezprawia przy pomocy manipulacji prawem i jawnego łamania jego zasad.

Jakkolwiek by jednak nie oceniać od strony prawnej sposobu, w jaki władze ogłosiły amnestię, społeczeństwo przyjęło ten fakt z ulgą. Atmosfera w kraju jakby zelżała, ten i ów spodziewał się dalszych pomyślnych zmian. Nie oznacza to jednak, że perspektywy na przyszłość rysują się optymistycznie i że niepokoję dręczące społeczeństwo polskie w ciągu minionych lat należą do przeszłości. Wypadki ostatnich tygodni zdają się potwierdzać słuszność tych obaw.

W dniu 30 września br. zaprezentowała swe stanowisko... „Solidarność”. W Gdańsku powstała bowiem Tymczasowa Rada NSZZ „Solidarność”, w skład której weszło z sześcioro najbardziej znanych działaczy TKK. Jak zapowiedziała nowo powstała Rada, jednym z celów jej aktywności jest przywrócenie legalnej działalności „Solidarności”, a także nawiązanie współpracy z rządem w rozwiązywaniu najważniejszych dla kraju problemów.

Komunikat o powstaniu Tymczasowej Rady nie od razu wywołał gniew władzy. Na pierwszym po tym fakcie konferencji prasowej rzecznik Urban oświadczył, iż w Gdańsku odbyło się *prywatne spotkanie towarzyskie, jakich wiele teraz w Polsce*, co oznaczać miało, iż powstanie Rady pozbawione jest wszelkiego znaczenia i rząd gotów jest ją ignorować. W dniu 2 października br. Radę zaatakowało jednak *Życie Warszawy* piórem ówczesnego redaktora naczelnego, Zdzisława Morawskiego, za artykuł nazajutrz przedrukowała *Trybuna Ludu*. Posypały się też pierwsze pogróżki skierowane pod adresem tych, którzy nie zamierzają odstąpić od niezależnych działań. Najpierw z ust samego gen. Jaruzelskiego; który w swym przemówieniu w Zielonej Górze zapowiedział, iż władze nie będą tolerowały działalności opozycyjnej sprzecznej z prawem, które *nie jest rozciągalne jak guma*. Porównanie to w ustach przywódcy państwa, gdzie łamanie i naginanie prawa stosownie do doraźnych potrzeb ekipy rządzącej należy do codziennych praktyk, brzmi jak żałosna kpina. W parę dni później, na konferencji

partyjnej w Koninie min. Kiszczak zapewnił również, że władza w wypadku, gdy dojdzie do *zagrozenia ładu ustrojowego* sięgnie po represje, a najpotężniejszemu ministrowi w PRL wypada chyba wierzyć. Wreszcie rzecznik Urban też zmienił swój pobłażliwie-lekceważący ton. Na kolejnej konferencji prasowej mówiąc o powstaniu Tymczasowej Rady w Gdańsku oznajmił, iż próby reaktywowania „Solidarności” i innych niezależnych grup, czy organizacji są nielegalne, zaś *postępowanie w stosunku do takich zamierzeń określa nasz system prawny*, zaś w wywiadzie udzielonym japońskiej agencji KYODO, nazwał Radę kolejną nielegalną strukturą, która *pragnie poczynania władz zmierzające ku porozumieniu i demokratycznym przeobrażeniu, (...) natychmiast wykorzystać do walki z ustrojem socjalistycznym (...).* Jeśli jednak *garstka ekstremistów wymusi dziś lub w przyszłości rygorystyczne stosowanie wobec nich prawa, niechaj już później nikt, ani PRON ani Kościół, nie wyzywa do nowych aktów humanitaryzmu.*

W parę dni po powstaniu Tymczasowej Rady, Lecha Wałęsę, a potem kolejno jej członków, wzywano do wydziałów społeczno-administracyjnych urzędów wojewódzkich na rozmowy, po których wszyscy otrzymali pisma stwierdzające, iż Rada jest ciałem nielegalnym i musi ulec rozwiązaniu. Podjęciem postępowania prokuratorskiego zagrożono również Janowi Lityńskiemu i Wiktorowi Kulerskiemu, którzy ujawnili się i następnie podjęli działalność w warszawskim RKS.

Pojawiły się też i inne oznaki, na razie skromne, że na poważniejszą zmianę klimatu w Polsce nie należy za bardzo liczyć. Na początku października członkowie Ruchu „Wolność i Pokój” urządzili w Warszawie spokojną demonstrację w obronie swych kolegów, którzy odmówili pełnienia służby wojskowej, znaleźli się w więzieniach i nie zostali zwolnieni po dniu 11 września br. Wszystkich zatrzymano na drugi dzień, postawiono przed kolegium d/s wyroczni, gdzie każdemu z nich wlepiono grzywnę w wysokości 50 tys. zł. W parę dni potem, 7 października br. doszło do pierwszego aresztowania. Ofiarą jego padła kolporterka prasy niezależnej w Kaliszu, p. Czajka, której postawiono zarzut z art. 282a § 1.

Choć więc ostatnie zwolnienia, które podniosły ustawę z dnia 17 lipca br. do rangi amnestii wskazują, iż władze rozumiały, że przy pomocy siły społeczeństwo można wprowadzić obywateli, lecz niepodobna nim rządzić, nie wygląda jednak, aby w Polsce zanosiło się na poważniejsze reformy. Nie jest też pewne, czy szersza fala represji nie powróci. Nastroje odprężenia i pewnych

nadziei, jakie panowały w pierwszych tygodniach po amnestii, z wolna opadają. Pozostaje po prostu czekać, co przyniesie przyszłość.

12, 10. 1986

## Papież w Szczecinie

Nie tylko Gdańsk chciałby gościć Jana Pawła II w przyszłym roku – gdyby spodziewana trzecia pielgrzymka Papieża do Polski doszła do skutku; czeka na niego również stolica Pomorza Zachodniego. Mówił o tym, podczas uroczystej mszy św. w szóstą rocznicę podpisania porozumień społecznych, ordynariusz diecezji szczecińsko-kamińskiego Kazimierz Majański. Przypominając, że podpisane 30 sierpnia 1980 roku Porozumienie Szczecińskie było pierwszym tego rodzaju dokumentem w dziejach naszego kraju, mówca ujawnił, iż 14 sierpnia bawiąc w Rzymie ponowił wobec Papieża zaproszenie do Szczecina: „odpowiedź Ojca Świętego wyrażała jego zdecydowany zamiar przybycia, jeżeli to tylko okaże się możliwe”. Biskup Majański zwrócił się do zgromadzonych w katedrze św. Jakuba wiernych z apelem o modlitwy, by „wszystkie warunki, od jakich podróż Ojca Świętego do nas zależy, zostały spełnione”.

W czasie rozmowy – o której ordynariusz szczecińsko-kamiński mówił publicznie po raz pierwszy – „Ojciec Święty pytał o wiele szczegółów dotyczących naszej historii i naszego życia dziś; jednakże głównym tematem był szczeciński Sierpień”. Nawigując bezpośrednio do szóstej rocznicy powstania „Solidarności”, biskup Majański powiedział m. in.: „Mija dalszy rok od zakończenia wielkich strajkowych zmagañ roku 1980. Znowé też stanęliśmy dziś w południe z modlitwą na ustach i w sercu przy bramie stoczniowej, gdzie ogarnia nas zawsze wspomnienie bardzo żywe i roku 1980, i roku 1970. Pytamy o czas, który się zbliża. Pytamy, by sprostać zadaniom. Ale też pytamy o czas, który upłynął. Pytamy zwłaszcza o to, czy leczy i uzdrowia, czy daje pokój i nadzieję, czy uczy zgody synów i córy tej samej ojczyzny, czy uczy nas wszystkich prawdziwej polskiej solidarności. Pytamy docieklewie o to, co tak bliskie naszemu czasowi, naszym dniom, co takie bliskie Pomorza Zachodniemu. Pytamy o strajk, pytamy o pierwszą w Szczecinie umowę społeczną. Pytamy o „Solidarność”. Odpowiedź jest jasna: nie daj Boże, by minęło dobro, jakie się zrodziło z ludzkiej męki i ze słusznego oburzenia, a także ze słusznego dążenia do ugody. Nie daj Boże, by ktokolwiek drwił sobie z tych wielkich wydarzeń. Nie daj Boże, by ktokolwiek z Polaków radował się z tego, że ginie dobro. Nie ginie i nie zginie, bo dobro nigdy nie dzieje się na darmo”.

Na zakończenie biskup Majański wspomniął o otrzymaniu listu otwartego Mariana Jurczyka: „List zawiera argumenty, jest spokojny, tak jak jego autor, którego wszyscy znamy”. Obszerne cytaty z tego listu mówca tak skomentował: „Jestem ostatnim z adresatów listu, ale z tytułu mego pasterskiego urzędu i nabytych za drogą cenę praw Polaka, proszę wszystkich adresatów o dialog ze wszystkimi, którzy o ten dialog ze szlachetną wytrwałością proszą i mają do tego prawo. A mają prawo do dialogu wszyscy Polacy godni tego imienia. Polskę budowaliśmy i będziemy budować wszyscy”. (ro)

5 października br. w kościele św. Pawła we Frankfurcie/M odbyło się uroczyste wręczenie tegorocznej nagrody pokojowej księgarzy niemieckich, Władysławowi Bartoszewskiemu. Od 1950 roku przyznaje się tę nagrodę pisarzom szczególnie zasłużonym w walce o rzeczywisty pokój na świecie. Pierwszym jej laureatem był Max Tau, a po nim, Albert Schweitzer. Później wielu innych – wśród nich Polacy, Janusz Korczak (pośmiertnie) w 1972 roku i Leszek Kołakowski w 1977 roku. Władysław Bartoszewskiego, warszawiaka, poprzedził Teddy Kollek – burmistrz Jerozolimy. Laureaci z dwóch miast, które powinny być symbolami życia i pokojowej koegzystencji ludzkiej. Nagrodę, w obecności prezydenta RFN Richarda von Weizsaekera, ministra federalnego Waltera Wallmanna, oraz wielu wybitnych przedstawicieli niemieckiego świata kultury i polskiej emigracji, wręczył laureatowi przewodniczący Stowarzyszenia Księgarzy Niemieckich, Guenther Christiansen. Laudatio wygłosił bawarski minister kultury Hans Maier. Poniżej publikujemy fragmenty mowy dziękczynnej laureata.

*Władysław Bartoszewski*

## *Pojednanie między narodami jest ciężkim i długim procesem*

...Jeszcze nigdy nie mówiło się w Europie tyle o pokoju jak dziś, o konieczności pokoju, o obronie pokoju. Czasem bierze strach, iż w tej powodzi wypowiedzi i deklaracji, zapewnień i hasła gubi się prawdziwy – a więc głębszy sens – tego pojęcia. Nieodzwrotnie nasuwa się przypuszczenie, że w wielu wypadkach chodzi bardziej

o własny spokój i wygodę niż o pokój, i że pojęcie pokoju stało się przedmiotem manipulacji. Posługujemy się nim coraz częściej, lecz coraz rzadziej myślimi o warunkach, które należy spełnić, aby *pokój* stał się wspólnym pojęciem dla całej cywilizowanej ludzkości. A przecież jeden z największych niemieckich umysłów XX wieku, Karl Jas-

*Richard von Weizsaecker i Władysław Bartoszewski*





pers, właśnie tutaj, w kościele św. Pawła w swoim przemówieniu po otrzymaniu nagrody pokojowej sformułował trzy zasady, których głębia i prostota w obliczu dzisiejszych wydarzeń są jeszcze wyraźniejsze niż w roku 1958:

*Po pierwsze: pokój zewnętrzny nie jest możliwy do utrzymania bez pokoju wewnętrznego człowieka. Po drugie: pokój jest możliwy tylko poprzez wolność. Po trzecie: wolność jest możliwa tylko poprzez prawdę. I całkiem jednoznacznie: najpierw wolność, dopiero potem pokój! Żądanie odwrotne: najpierw pokój potem wolność, jest mylące. Gdyż przez przypadek lub despotyzm, zręczną operację lub strach, istniejący w danym momencie zewnętrzny pokój przestaje być w gruncie rzeczy pokojem zapewnionym człowiekowi. Faktyczne niezadowolenie ze zniewolenia jednostki mogłoby szybko doprowadzić do wojny. (...) Jeśli chcemy wolności i pokoju, to musimy się spotkać w przestrzeni prawdy, która jest pierwotna wobec wszelkiej stronniczości, punktów widzenia, wobec naszych decyzji i postanowień.*

Należę do pokolenia, które zostało wychowane jeszcze w cieniu doświadczeń I wojny światowej, a w okresie wczesnej młodości naznaczone zostało sprzeczaniem przerstających ludzkie wyobrażenia. Należę również do narodu, który po ciężkich doświadczeniach niewoli w XIX wieku i krótkim okresie zacerpienia tchu, od 1939 był zagrożony w swej egzystencji. Chyba dlatego sprawa pokoju ma dla mnie szczególne znaczenie.

I chyba z tego samego powodu jest on dla mnie nierozdzielnie związany z wolnością jednostki i różnych grup, z wolnością wyznania i światopoglądu, z wolnością wyboru miejsca i formy życia, wyborem politycznego i gospodarczego systemu, wolnością słowa i uwolnieniem od strachu. Jak długo te warunki egzystencji człowieka nie są spełnione na naszym starym europejskim subkontynencie, powołującym się na tradycję tyłu pokoleń, czerpiącym ze wspólnych źródeł kultury i cywilizacji, tak długo nie zabezpieczymy fundamentów trwałego pokoju. Nawet wówczas nie, jeśli w niektórych krajach się do niego zbliżymy.

W księgach Starego Testamentu znajdujemy przestrożę Mojżesza, który woła do swego narodu ciężko doświadczonego przez lata: *Myśl o dniach przeszłych, ucz się z historii.*

Pokolenie które reprezentuję, widziało mury i druty kolczaste dzielące ludzi: mury getta w Warszawie i gdzie indziej; mur, który przez lata dzielił Jerozolimę i mur, który do dziś dzieli Berlin. Wydaje się, że najważniejsze jest popieranie wszystkiego, co ludzi łączy, a przeciwstawianie się temu, co ludzi wbrew ich woli dzieli.

Żaden naród, państwo, żaden rząd czy partia nie posiadają patentu na humanizm, człowieczeństwo i szlachetność, jak i na działanie bez błędów. Lecz także w dzisiejszym świecie nikt nie jest skazany na wieczną akceptację ucisku jako formy sprawowania władzy. Wiele państw dość dobrze pojęło lekcję historii, przede wszystkim z doświadczenia, iż nie popłaca żadna idea nienawiści lub imperialistycznej wyższości. Głoszenie lub skryte praktykowanie zasad nienawiści rasowej, religijnej, klasowej, nienawiści pomiędzy narodami czy nienawiści w ogóle, prowadzi w ślepą uliczkę.

Stwierdzenie to można uznać za truizm, ale czy rzeczywiście problem ten został w pełni przezwyciężony, jest już nieaktualny w stosunkach międzynarodowych lub stosunkach wewnętrznych niektórych państw współczesnego świata? Czy polityczna mentalność mocarstw uległa zasadniczej przemianie? Czy istnieje realna gotowość do kompromisu, do szczerej rezygnacji ze zwiększenia swej sfery wpływów politycznych i militarnych przy otwartym lub skrytym użyciu środków przemocy, dywersji czy terroru? I to wszystko w czasie, kiedy wolny rozwój stosunków gospodarczych, kulturalnych, naukowych i wolność kontaktów międzyлюдzkich mogłyby w wyższym stopniu gwarantować dobro narodów niż zacięte tkwienie przy tradycyjnych — można by pomyśleć — od dawna skompromitowanych metodach przemocy.

Ogólnie przyjmuje się bez zastrzeżeń, iż w Europie na pierwszym miejscu wspólnych wartości stoi człowiek, jego życie, jego dobro i przyszłość. W obliczu doświadczeń historycznych przynajmniej nikt nie ośmiela się stawiać tu znaku zapytania i już to oznacza pewien postęp. A więc człowiek ma być na tym świecie celem, a nie narzędziem. Państwa, organizacje społeczne, partie polityczne mają służyć człowiekowi, a nie odwrotnie.

Do hasła XVII wieku: wolność, równość, braterstwo dołączyło się hasło bardzo realistycznie pojmowanej sprawiedliwości społecznej, porządku, który uznaje prawa człowieka pracy i gwarantuje zapewnienie mu godnych warunków bytu. Lecz idący ku schyłkowi wiek XX był równocześnie wiekiem straszliwych zbrodni przeciwko ludzkości w imię szaleńczych idei. Z pewnością pozostanie on w historii wiekiem masowej zagłady ludzi pod hasłem „rozwiązania problemu żydowskiego” lub innym, zaszyfrowanym kodem, również jako wiek obozów koncentracyjnych, stworzonych w różnych miejscach i w różnym czasie przez ludzi dla ludzi.

Cały, swat cywilizowany potępia od kilkadziesiąt lat ucisk rządzonych przez rządzących. Niestety nie udało się nam dotychczas osiągnąć tego, by instytucję więźnia sumienia, torturowanie przez policję polityczną, prześladowanie ze względu na wyznanie czy światopogląd, morderstwa duchownych różnych wyznań, różne obozy przymusowej pracy i obozy koncentracyjne poznawać tylko z literatury. Nie dość tego, postęp w medycynie XX wieku doprowadził do przymusowej izolacji i znęcania się nad ludźmi w zakładach psychiatrycznych, o ile posiadają oni lub głoszą poglądy, które są sprzeczne z interesami lub ideologią władzy. Natomiast faktem pocieszającym i niezaprzeczalnym jest, iż w Europie – niestety nie na całym świecie – od ponad 40 lat nie zaszliśmy fenomenu wojny pomiędzy poszczególnymi państwami. Wahałbym się jednak nazwać *pokojem* sytuację niektórych państw europejskich, gdzie szczególnie brutalne zjawisko zorganizowanego terroru wciąż pociąga za sobą nowe krwawe ofiary w społeczeństwie. (...)

Nienawiść, wrogość i pogarda wobec ludzi posiadają również dziś różne oblicza, jednym z nich jest terroryzm. Lecz znamy także inne zagrożenie porządku moralnego. I tak np. praktykuje się dość często, ponoc aby uniknąć większego zła, uległość wobec silniejszych i naruszanie podstawowych praw człowieka. Antysemityzm przybiera niekiedy fałszywą maskę antyjnacyzmu, co umożliwia manipulację niskimi instynktami ludzki i budzenie przeróżnych resentymętów.

Swoistą formą pogardy dla człowieka jest też apodyktyczna polityka ustalania granic wolności dla innych, pragmatyczna nonszalancja w traktowaniu uciskanych narodów. (...)

Inteligencja polska, wychowywana od wielu pokoleń w ścisłym związku z najlepszymi tradycjami kulturowymi i pełna podziwu dla osiągnięć intelektualnych Zachodu – również niemieckich – zadawała sobie w latach II wojny światowej często pytanie, jak mogło w ogóle do tego wszystkiego dojść? Na jakim podłożu zaowocowała ta głęboka nienawiść, bezduszne okrucieństwo, które reprezentowali na codzień w okupowanej Polsce przedstawiciele Trzeciej Rzeszy, aparat przemocy, rządząca partia narodowosocjalistyczna, jej entuzjaści czy też tylko ślepo jej posłuszni ludzie?

## SOLIDARNOŚĆ

Czekaliśmy na głosy solidarności ze strony niemieckich kościołów chrześcijańskich, na sygnał otwarcia, na znak ludzkiego protestu przeciwko potwornościom, na które byli skazani Słowianie jako „podludzie” i Żydzi jako „robactwo”. Docierały do nas odważne protesty niektórych

duchownych katolickich czy protestanckich, wiadomości o grupie roderzesta Scholl, czy też w ostatniej fazie wojny, o „ruchu 20 czerwca”, skierowanym przeciwko dyktaturze narodowosocjalistycznej. Ale na próżno czekaliśmy na chociażby jedno jednoznaczne zdanie w obronie podbitych i zniewolonych narodów, w tym narodu polskiego.

Stawialiśmy sobie pytanie o przyszłość Niemców, moralnej przyszłości społeczeństwa niemieckiego po tej wojnie, której koniec według naszego niezłomnego mniemania musiał przynieść potworną klęskę zła i zwycięstwo ideałów wolności i sprawiedliwości. Przynajmniej, że wówczas bardzo sceptycznie rozważałem możliwość przemiany narodu niemieckiego w realnie wymiernym czasie, narodu, który przekazał władzę Hitlerowi, i który teraz miał wrócić do chrześcijańskich wartości Europy.

Istotnie naród niemiecki zapłacił olbrzymią cenę za wywołaną przez siebie wojnę: ofiary wśród ludności cywilnej, straty terytorialne i podział. A jednak dzięki olbrzymiemu, godnemu podziwu wysiłkowi, pracy i gotowości do ofiar milionów Niemców dokonano głębokiej przemiany politycznej (w oparciu o wielkie demokracje Zachodu: Wielką Brytanię, Stany Zjednoczone, które już w latach 1939-1941 dobrze oceniły groźbę narodowego socjalizmu dla świata i Niemiec), tak, iż odbudowa życia społecznego, gospodarczego i politycznego, pomiędzy Elbą i Renem, posuwała się stosunkowo szybko naprzód.

Jedynie moralne przewyższenie przeszłości i uznanie konsekwencji nie żyły w parze z tym rozwojem, akurat to, co koniecznie potrzebne było dla zdrowia psychicznego, prestiżu Niemców jak i powrotu do tak boleśnie pogwałconej hierarchii wspólnych, europejskich wartości kulturowych. Wielce szanowny Panie Prezydencie Republiki Federalnej, to Pan 8 maja 1985 roku z okazji 40 rocznicy zakończenia wojny w duchu moralnej szczerości wypowiedział słowa zasługujące na najwyższy szacunek:

*8 maja był dniem wyzwolenia. On wyswo-bodził nas wszystkich z narodowosocjalistycznej dyktatury gardzącej człowiekiem. Ze względu na wyzwolenie nie zapomni nikt, ile cierpienia ludzkiego po 8 maja dopiero się zaczęło lub nastąpiło. Ale nie wolno nam w końcu wojny widzieć przy-czyny ucieczki, wypędzenia i braku wolności. Tkwi ona o wiele bardziej w jej rozpoczęciu i początku dyktatury, która doprowadziła do wojny.*

*Nie wolno nam oddzielać 8 maja 1945 od 30 stycznia 1933.*

Pomimo wszystkiego, co pozostało niezmiennione w moich wspomnieniach – wspomnieniach Polaka z doświadczeniem i znajomością lat wojny

i okupacji – moje ponad dwudziestoletnie doświadczenie w kontaktach z Niemcami pozwoliło mi na nowo uwierzyć w tych ludzi, w ich gotowość i zdolność do czynienia dobra. (...)

W listopadzie 1965 r., pod koniec II Soboru Watykańskiego biskupi polscy podjęli historyczną decyzję: w liście skierowanym do niemieckich biskupów katolickich, jako pierwsi wyciągnęli dłoń do pojednania. W grudniu 1965 biskupi niemieccy odpowiedzieli na to przesłanie.

Ten i wiele innych kroków, w tym przede wszystkim kontakty niezależnych intelektualistów polskich z różnymi organizacjami społecznymi i kulturalnymi w RFN, przyczyniły się do stworzenia klimatu, który umożliwił politykom podjęcie następnego kroku: był nim układ pomiędzy rządami Republiki Federalnej Niemiec a Polską Rzeczpospolitą Ludową z 7 grudnia 1970 roku. Był to z pewnością akt o dużym znaczeniu, który w pewnym stopniu wpłynął na wzrost zaufania i w dużej mierze tak na polepszenie losu setek tysięcy ludzi, jak i na ożywienie stosunków pomiędzy Niemcami i Polakami, Polakami i Niemcami.

Analizując jednak własne doświadczenia z tzw. pracy pokojowej muszę mimo wszystko obstać przy stwierdzeniu, iż nie to jest najważniejsze, co politycy są gotowi powiedzieć lub podisać – jakkolwiek nie można tego faktu nie doceniać – lecz to, co dzieje się w odczuciach, sumieniu i intelekcie ludzi przetrzonych nacji, jak dalece zostaje przezwyciężony stereotyp myślenia o innych, egoizm, ba, nawet egotyzm. Jak dalece dojrzej zrozumiem, że kraj po obu stronach Renu, Elby, Odry i Wisły, w którym tu i teraz żyjemy, jest i będzie miejscem zamieszkania naszych wnuków i prawnuków, miejscem wspólnego – lepszego czy gorszego – bytu ludzi, którzy muszą się nauczyć współżycia w zgodzie.

I jeśli jest to w stosunkach Niemców do Polaków, czy Polaków do Niemców, trudniejsze niż pomiędzy innymi europejskimi narodami ze względu na obecny podział Niemiec i Europy, to jest to jednak jedno z wielkich zadań, które zobowiązuje nasze pokolenie: nie tylko pomimo doświadczeń II wojny światowej, lecz właśnie ze względu na te doświadczenia, które wykazały, iż myślenie w kategoriach ekstremalnych, kategoriach arogancji lub jednostronnej przewagi do niczego nie prowadzi. (...)

Tzw. przezwyciężenie przeszłości jest możliwe do osiągnięcia przede wszystkim przez zbliżenie i wzajemne lepsze zrozumienie możliwe wielu ludzi. Całkowite pojednanie narodów – jak wynika z wielu doświadczeń historycznych – jest psychologicznie i społecznie o wiele cięższym

i powolniejszym procesem niż ewentualne, polityczne porozumienie między państwami. Publiczne oświadczenia instytucji i układy polityków powinny bardziej otwierać i poszerzać drogę naturalnych i spontanicznych kontaktów międzyludzkich (...).

Nie mam zamiar pominąć tu tzw. palących problemów. W pełni rozumiem, że dla wielu Niemców do takich problemów należy granica na Odrze i Nysie. Dzisiejsze zasiedlenie tych terenów przez około 11 milionów Polaków należy uznać za bezpośredni skutek wojny wywołanej przez Trzecią Rzeszę. (...)

Uciekinierzy, wypędzeni z ojczyzny, przesiedleńcy, późni przesiedleńcy – oni wszyscy należą do ofiar wojny, tak jak ci Polacy, którzy na skutek II wojny światowej utracili swoją ziemię rodzinną we Lwowie, Wilnie lub gdzieś indziej na europejskim wschodzie. Tragiczne powikłania polityczne i historyczne doprowadziły do tego, iż Polacy są w stanie być może o wiele lepiej niż inne narody Europy, zrozumieć cierpienia i trudności ludzi, którzy zostali zmuszeni do opuszczenia swych stron rodzinnych. Rozumieją także problem podziału narodu, gdyż sami tego doświadczyli. Odebranie człowiekowi jego stron ojczyźnych nie jest dobrym czynem lecz złym, nawet jeśli nie widzi się innego wyjścia z określonej sytuacji historycznej i politycznej. Polacy, którzy przyszli ze wschodu Polski na Dolny Śląsk czy Pomorze Zachodnie, odczuwali z pewnością w pierwszych miesiącach po wojnie bardziej tragedię swego losu, niż radość ze zwycięstwa.

Gdyby ktoś – wówczas 19-letniemu Polakowi z Warszawy, który zimą 1940 roku stał drżący z zimna, głodu i strachu na placu apelowym w Oświęcimiu, bez twarzy i nazwiska, jako „więzień-Polak nr 4427” – powiedział mi, że w ciągu jednego życia przeżyje przemianę większości Niemców w społeczeństwo, które kieruje się humanitarnymi zasadami i żyje w praworządym, europejskim państwie demokracji parlamentarnej, uważałbym to za optymistyczne mrzonki utopisty. I możliwość uznania Polaków przez Niemców, odejścia od przyjętego w XIX wieku stereotypu traktowania Polaka jako człowieka stojącego niżej od Niemca, wydawały się również mało prawdopodobne. Jakkolwiek do dziś dyskusować by można, w jakim stopniu te stereotypy myślenia Niemców o Polakach i odwrotnie zostały przezwyciężone, to jednak ta dzisiejsza piękna uroczystość, w tej historycznej budowlu, wydaje się być wydarzeniem nie całkiem bez znaczenia na drodze owych przemian i pozwala żywić nadzieję oraz umiarkowany optymizm. Oto Polak, którego wtedy na próżno usiłowano poniżyć i pozbawić

godności ludzkiej, zostaje uznany godnym nagrody za pracę pokojową przez gremium, które z pewnością reprezentuje elitę dzisiejszego społeczeństwa niemieckiego.

W decyzji jury, które podkreśliło wartość owych działań, które odrzucają nienawiść i użycie przemocy, widzę pośrednie uznanie drogi wszystkich moich rodaków – a jest ich wiele milionów – którzy z wielką ofiarnością, w cichym oporze i przy o wiele większym wyczuciu realnej sytuacji niż to się często Polakowi przypisuje, podnoszą głos w obronie etycznych i społecznych wartości podstawowych. Żądają poszanowania praw człowieka do godnego i wolnego życia, a więc poszanowania praw robotników, pracującej inteligencji i chłopów do wspólnego zarządzania swym krajem. Myślę tu o potężnym ruchu społecznym,

który tylko przez krótki okres kilku miesięcy był tolerowany przez władze państwowe PRL – znany pod nazwą „Solidarność”

Myślę również o tych, którzy w imię tych samych wartości moralnych i ideowych do dziś walczą bez użycia siły, wracają wciąż do więzień i są poddani innym ograniczeniom i szykanom. Powstanie Związku Zawodowego „Solidarność” i związany z tym rozwój ruchu społecznego były *sui generis* wyrazem i kontynuacją owego umiłowania wolności, które Polacy w historii już wielokrotnie wykazywali. Idee tego ruchu, jego działalność dla dobra człowieka pracy, jego uporczywe dążenie do rozwiązywania spornych problemów na drodze szczerego dialogu, popiera jednoznacznie w swoich wypowiedziach papież Jan Paweł II, wielki autorytet naszych dni.

## Dlaczego Polska jeszcze nie zginęła, Panie Bartoszewski?

Pod takim tytułem ukazał się we *Frankfurter Allgemeine Magazin* (3. 10.) wywiad z Władysławem Bartoszewskim przeprowadzony przez Paula Badde. Oto fragmenty:



## POJEDNANIE

W ostatnich kilku latach wielu ludzi dobrej woli w Niemczech, w duchu miłości bliźniego i solidarności, pomagało narodowi polskiemu. Pełne psychologiczne znaczenie tego faktu okaże się być może w przyszłości jeszcze ważniejsze, niż niewątpliwie znaczenie materialne.

Niemiecki historyk Europy Wschodniej, prof. Joerg K. Hoensch, stwierdza w swojej, przed trzema laty wydanej „Historii Polski” przy rozważaniach o aktualnej sytuacji Polski i Polakach:

*...w Polsce wytworzyła się współczesna, dojrzała, ustrukturyowana i świadoma formacja społeczna, którą łączy żywa świadomość tradycji, pełny oddania patriotyzm i głębokie emocjonalne*

*powiązanie z katolicyzmem w zmiennej historii narodu. Wiedza o uporaniu się z różnorodnymi niebezpieczeństwami zagrażającymi państwowości i etnicznej substancji Polski, przekonanie o posiadaniu najznakomitszych cnot kultury chrześcijańskiego Zachodu, niezłomna wola życia, zdolność do regeneracji, chęć kształcenia się i narodowa solidarność, są gwarancją konstruktywnego przezwyciężenia zasadniczych trudności współczesności.*

Możliwe, że ta ocena jest zbyt optymistyczna. W każdym razie Polacy liczą na zrozumienie i solidarność niemieckiego narodu, które mogą być ważnym czynnikiem budowania pomostów pomiędzy naszymi narodami. Być może będzie mi dane, dalej nad tym pracować.

Tłum.: A. Knuff

— Dlaczego Polska jeszcze nie zginęła, Panie Bartoszewski?

— Dlaczego miałyby zginąć? Obecnie liczy ona 38 mln mieszkańców i w dzisiejszej Europie taka ilość ludzi już nie znika nagle. Poza tym nie widzę jakiejś szczególnej misji czy posłania Polaków w świecie — nie jestem wariatem — lecz mimo wszystko muszę powiedzieć, tak sądzę, iż Europa potrzebuje w tym miejscu Polaków. Są oni tu ostatnimi reprezentantami kultury zachodniej i dlatego uważam, że mają tu szczególną rolę do odegrania: jako pomost pomiędzy Zachodem a Wschodem. Dlaczego więc Polska miałyby zginąć?

— Jak definiuje Pan Europę?

— Z czysto geograficznego punktu widzenia jest to półwysep Azji liczący ponad 10 mln km<sup>2</sup> i 550 mln ludności, z czego około 180 mln należy do germańskiej rodziny językowej, 170 mln do romańskiej, a 200 mln do słowiańskiej. Geograficznie Europa tworzy więc przeciwieństwo jedności. Stała się jednak silną wspólnotą dzięki wspólnej kulturze i tradycji, gdzie dopiero od roku 1945 wzduł Elby przebiega polityczna linia rozgraniczenia, która zupełnie przypadkowo i sztucznie ma narody Europy od siebie izolować.

— W czym wyraża się dzisiaj ta wspólna kultura?

— We wspólnej hierarchii wartości, tzn. w wyobrażeniach o roli człowieka w historii, społeczeństwie, państwie, w celach życiowych jednostki i społeczności, które tutaj rozwinęły się. Również rola państwa praworządnego, oddzielenie roli państwa, kościołów i sądownictwa, które zrodziły się w bólach w ciągu stuleci i które później — obłudnie lub uczciwie — przyjęto za zobowiązujące. I chociaż te wyobrażenia nigdy nie były tu do

końca praktykowane; to przynajmniej w teorii, człowiek, jego cześć i jego prawa pozostały najważniejszym punktem odniesienia na tej ziemi. Wszystkie ludy Europy są współspadkobiercami tej tradycji. To jest rzeczywistość. Polityka realna, zastępująca na to miano, musi obok faktycznego układu sił zawsze uwzględnić rzeczywistość historii i kultury. Stąd dziwnym wydaje się, iż dopiero wędrująca chmura uzmysłowiła nam, jak jesteśmy tu w Europie wzajemnie ściśle powiązani.

— Na Dalekim Wschodzie istnieje przysłówie, iż nie należy nigdy mieszkani ludzi zamieniac w więzienia. Pan jako doświadczony więzień pisze o tym, jak ważne jest, aby w środku Europy celę więzienną traktować i pielęgnować od pierwszego dnia jako własne mieszkanie. Gdzie tkwi błąd w rozwoju naszej historii, że doszedł Pan do takiego przekonania?

— Istnieje mnóstwo literatury na ten temat, o tym zawiśku, o tej epoce Europy. Z pewnością nie powiedziano jeszcze ostatniego zdania. Mimo straszliwych przykładów we wcześniejszych wiekach wydarzenia ostatnich stu lat Europy — tak często kopiowane na całym świecie — są z gruntu rzeczy nowym zjawiskiem naszej historii. Jak do tego doszło? Sądzę, że zaczęło się to od pogardy dla człowieka. Jak długo nie gardzi się człowiekiem, nie powstanie system totalitarny. Być może zaczęło się to od tego, iż Europa oddaliła się od nauki Kościoła, który kształtował naszą wspólną kulturę. Niech weźmie Pan jako przykład Hitlera, który wymienioną hierarchię wartości odwrócił do góry nogami. Jego największą zbrodnią było, iż powiedział Niemcom: Ty jesteś niczym, ojczyzna jest wszystkim. Kiedy człowiekowi wmnawia się, że jest niczym, wówczas zaczyna się nieszczęście.

- Ie nieszczęść jest w stanie znieść człowiek?

- Ponieważ wielu innych ludzi przeżyło o wiele tragiczniejsze wydarzenia niż ja, mogę tylko bardzo ogólnie odpowiedzieć na to pytanie. W piwnicy Ministerstwa d/s Bezpieczeństwa często żartowałem: na litosę Boską, gdyby przyprowadzono tu konia i nie wypuszczono go nigdy na wolność - przy nędznym obroku i w brudzie - dawno by już zdechł. Człowiek wytrzyma więc więcej niż koń. Jest w stanie o wiele więcej znieść, niż sam sądzi, gdyż posiada duszę, wychowanie, posiada motywację i cele w życiu. Naturalnie nie może to być zaleceniem dla regulaminu więziennego. Mimo wszystko trzeba jednak powiedzieć - Niemcy starszego pokolenia wiedzą o tym bardzo dobrze, cierpiąc w okresie wojny, w zombardowanych miastach, w niewoli jenieckiej lub w czasie wypędzenia: Człowiek może dużo, bardzo dużo znieść.

- Często nazywa się Pana żarliwym historykiem i żarliwym katolikiem. Jak rozwiązuje Pan w tej sytuacji sprzeczność pomiędzy historią zbawienia jako częścią składową Pańskiej wiary a złem, które obserwował Pan w swoim życiu?

- Łatwo. Historia jest polską namiętnością tak jak np. gra w krykieta namiętnością Anglików. Co więcej: prawie każdy, jako tako wykształcony Polak interesuje się historią. Historii Polski nie można absolutnie zbadać lub opisać bez uwzględnienia historii Kościoła. Jest to niemożliwe. Być może dlatego uświadamiamy sobie bardziej niż inni, iż historii nie można widzieć tylko z perspektywy jednego pokolenia. Gdybyśmy w roku 1772 przeszłość i przyszłość rozpatrywali tylko z punktu widzenia jednej generacji, to Polska zniknęłaby ostatecznie i na zawsze - przy tych miłych sąsiadach. Nie widzę więc tu żadnej sprzeczności. Ostateczny plan zbawienia znamy przecież wszyscy.

- Pana rodak, Nowakowski powiedział kiedyś ironicznie „w komunizmie szczególnie trudno jest przewidzieć przeszłość”. Jeśli chodzi o przyszłość Pana ojczyzny, czy jest to łatwiejsze?

- O, tak. To jest tak jak w tej pięknej piosence: „Wszystko przemienie, wszystko przepadnie”.

- Jeszcze raz wróćmy do przyjemnych sąsiadów, pomijając jednak wschodniego przyjaciela i wyzwoliciela Polski. Jakie Niemcy ma Pan na myśli, kiedy mówi Pan o niemiecko-polakim pojednaniu?

- Od roku 1945 Niemcy są podzielone, a więc od 41 lat! Naród polski był podzielony 123 lata. Kto zbabrał właściwie Niemcom mówienia o Niemcach?

- Być może historia, w której jeszcze nie jest jasnym czym są Niemcy?

- A więc dobrze, myślimy trochę bardziej pragmatycznie. Kiedy mówię o Niemcach, to nie mówię o Niemcach w średniowieczu i nie o Germanach, którzy walczyli przeciwko Rzymowi, lecz o Niemcach XX wieku po upadku Trzeciej Rzeszy, konkretnie w tym miejscu Europy; o tych którzy żyją nad Renem i Odrą w dwu państwach niemieckich i żyć muszą. Gdyż nie istnieje jakiś jeden jedyny typ Niemiec, tak jak nie ma niemieckości, niemieckiego myślenia, niemieckiej zdolności, niemieckich korzyści czy braku korzyści, niemieckich zalet i wad. Coś takiego istnieje tylko w pismach satyrycznych. Każdy naród może wprawdzie wytworzyć z biegiem historii pewne szczególne cechy, lecz nie są mu one przypisane na stałe i mogą się zmieniać. I tak np. dzisiejsi Niemcy nie są absolutnie wojowniczy. W przeszłości tacy byli, ale Szwedzi jeszcze bardziej. Przypomina Pan sobie, co ci Szwedzi w Europie wyrabiali. Rany boskie, ci Szwedzi! I z tego nic prawie nie pozostało. Dlatego zbyt dużym uproszczeniem jest mówienie wciąż o starych uprzedzeniach, ranach i bliznach.

- Ale w Niemczech będziemy chyba musieli żyć jeszcze przez jakiś czas z tymi uprzedzeniami. Czy wciąż jeszcze usiłujemy zbyt dużo wymagać z pamięci?

- Kiedy przypatruję się Niemcom, którzy solidaryzują się z Trzecim Światem i tam cierpiącymi i uciskanymi ludźmi, to jest to bardzo pocieszające. Ten trend przypomina mi najlepsze niemieckie tradycje XIX wieku. Kiedy jednak czytam w prasie, że w czasie przygotowań do Dnia Katolików w Aachen (Akwizgran) tylko 8% młodych ludzi zgłosiło się do zespołu dyskusyjnego zajmującego się problematyką Europy Środkowo-Wschodniej, myślę wówczas, że to zainteresowanie większości egzotycznym i oddalonym światem, jest również próbą zapomnienia przeszłości. Ci ludzie - w najlepszych zamiarach - zbyt ułatwiają sobie ten proces. Natomiast z całą pewnością problem chęci zapomnienia dotyczy tych osób, które żyły w Niemczech w pokoleniu pierwszych dwudziestu lat po wojnie w obu państwach niemieckich. To nie przypadek, że dopiero w latach 60-tych powołano taką instytucję jak Centralny Urząd Ścigania Zbrodni Naziistowskich, i że wielkie procesy naziistów miały miejsce w latach 60-tych i 70-tych. Ludzie byli wówczas jeszcze głęboko zatruci i zniewoleni, tak, że poruszali się prawie na krawędzi nihilizmu. Największą zasługą Amerykanów, moim zdaniem, jest to, że narzucili właśnie tym Niemcom naiwne rozumianą demokrację. Ludzie nie chcieli demokratycznego myślenia i sposobu zachowania. Wie o tym dobrze całe średnie pokolenie Niemców. (...)

- Chętnie cytuję Pan zdanie z Talmudu, że kto jednego człowieka ratuje, ten cały świat ratu-

je. Czy można coś podobnego powiedzieć o niewymazywaniu z pamięci, odpowiedzialności i całym narodzie?

— Być może. Gdyż ja nie mówię, że w Niemczech — w tej narzuconej demokracji — nie znalazłem dobrych ludzi. Całkiem przeciwnie. Jestem zdania, iż młody Niemiec ma wiele powodów, by być dumnym z tego, że jest Niemcem. Chwała Bogu. Lecz ma ku temu tylko wtedy powody, jeśli nie zapiera się, iż w historii jego narodu działy się rzeczy straszliwe. Dumnym może być tylko ten, kto nie kłamie i kto żyje w prawdzie. (...)

Tłum.: A. Knuff

## DOKUMENTY

W dniu 21 września 1986 została powołana Rada Funduszu „Wolność i Pokój”, w której skład wchodzi:

— Przewodniczący: Jan Józef Lipski, Warszawa

Członkowie:

- Marek Adamkiewicz, Szczecin
- Wojciech Jankowski, Gdańsk
- Konstanty Miodowicz, Kraków
- Konstanty Radziwiłł, Warszawa
- Jacek Szymanderski, Warszawa
- Tomasz Waćko, Wrocław
- Jan Minkiewicz, Amsterdam (reprezentant „WiP” na Zachodzie).

Celem Funduszu „Wolność i Pokój” jest wspomaganie działalności Ruchu oraz wszelkich inicjatyw obywatelskich na rzecz pokoju realizowanego w warunkach wolności.

Wpłaty zagraniczne na Fundusz należy kierować czekiem na adres: FUND for „Freedom and Peace”, PO BOX 15313, 1001 MH Amsterdam, the Netherlands, lub na konto pocztowe: nr. 1685890, Informatiebuero Solidarność, PO BOX 15313, 1001 MH Amsterdam, the Netherlands (ze wzmianką „Fundusz WiP”). ■



# ARKADY

KSIĘGARNIA POLSKA,

KUNST UND -BUCHHANDLUNG

KSIĘGARNIA POLSKA  
„ARKADY”  
ALSTERARKADEN 10  
2000 HAMBURG 36

# AESCULAP

## APTEKA WYSYŁKOWA ARZNEIMITTELVERSAND

Apteka nasza wysyła wszystkie lekarstwa dostępne na rynku Republiki Federalnej Niemiec na podstawie recepty wystawionej przez polskiego lekarza, bezpośrednio do kraju lub rodzin zamieszkałych poza granicami Polski. Ceny nasze są niższe o 20 % jak w aptekach na terenie RFN. Wysyłka bezpośrednio do Polski następuje po wpłaceniu odpowiedniej kwoty na nasze konto, lub za zaliczeniem pocztowym do rodzin zamieszkałych w RFN. Dalszych informacji udzielamy listownie lub telefonicznie w godz. 9.00 do 12.00.

Zarząd Apteki

Ostwall 97, 4150 Krefeld  
Tel. 02151/ 801710  
Postgiroamt Essen  
Konto Nr. 17164 — 438

# Prywatne rozmyślenia

1.

Jaki jest ustrój w PRL? Dotychczas można było mieć na ten temat zdania rozmaite, można się było spierać czy jest to kapitalizm państwowy, komunizm wojenny czy zwykła totalitarna tyrania. Na szczęście wszystkie wątpliwości zostały ostatnio rozproszone. Po miesiącach katastroficznych doniesień prasowych, po proklamowaniu propagandowego stanu obłędu, po telewizyjnej histerii z powodu zalewania Republiki Federalnej Niemiec przez uchodźców z Ghany, Cejlonu, Pakistanu, Bangladeszu, Indii, Iranu oraz innych krajów egzotycznych i odległych, zebrały się w Bonn potężny sztab polityczny, zjechały najcięższe głowy z wszystkich krajów związkowych i wszystkich partii z wyjątkiem Zielonych, aby po deliberacjach trwających do późnej nocy zgodzić się co do jednego — w PRL (i na Węgrzech) panuje ustrój liberalny. Gremium złożone z kanclerza federalnego, premierów związkowych, szefów partii wydało generałowi Jaruzelskiemu zaświadczenie z pieczętką, że jest on heroldem wolności, swobód osobistych i obywatelskich, praw wszelakich i w związku z tym już niedługo Polaków (i Węgrów), którym odmówi się azylu — a odmówi się — będzie można odesłać na stęsknione łono Jaruzelskiego, żeby zaznali tam duchowej odnowy i zachęty się prawdziwą wolnością.

Rezultat tych obrad nad problemem azylantów jest groteskowy. Lęk przed oskarżeniami o niemiecki nacjonalizm powstrzymał obradujących przed radykalną zmianą ustawodawstwa azylowego, ale nie powstrzymał przed załatwieniem sprawy marginalnej, sprawy uchodźców z Polski, którzy objęci byli wraz z innymi przybyszami z bloku wschodniego pewnym immunitetem. Ten immunitet zostanie teraz zniesiony.

Jasne, że większość, może nawet 80 procent naszych rodaków ubiegających się o azyl w RFN nie prowadziła w Polsce żadnej działalności politycznej i nie była ani nie będzie z tego powodu prześladowana. Ale jest to całkiem inny wymiar sprawy, jednostkowy, dotyczący każdego azylanta z osobna. Można znieść przywilej wynikający z uchwały ministrów spraw wewnętrznych krajów związkowych i wydaleć wszystkich, których podanie o azyl odrzucono — Turków i Polaków, Ghańczyków i Czechów. Wydawanie totalitarnemu reżymowi opinii liberalnego, to temperowanie otówek siekiera.

Przypomina mi się dowcip z okresu stanu wojennego, o pijanym, który wraca do domu po godzinie policyjnej. Ktoś wychyla się z okna i zaprasza go na nocleg, bo — mówi — do domu już nie zdąży. A co się stało — pyta pijany. Nie wie pan? Wojna. Wojna? — dziwi się pijany — to może znowu będą brali na roboty do Niemiec.

W tym dowcipie jest prawda o polskich azylantach, ale jest też prawda o kraju, z którego przyjeżdżają. Jest to kraj absolutyzmu oświeconego, w którym wprawdzie władza łagodnie dozuje stosowanie dekretów gardłowych, ale te dekryty istnieją, są, mogą być w każdej chwili użyte. Mierzenie liberalizmu chwilową praktyką, a nie systemowymi zasadami i to przez polityków demokratycznego kraju, którzy mają w zasięgu ręki rozsądne, praworzędne i nie wymagające oceny systemu politycznego państw ościennych możliwości uładzenia azylanckich problemów jest po prostu śmieszne. Zwłaszcza, że są to ci sami politycy, którzy jeszcze dwa i trzy lata temu na temat PRL mieli zdanie zgoła odmienne.

2.

- X narzeczcie zachować się przyzwoicie.
- ?
- Umarł.

3.

Uwolnienie wszystkich więźniów politycznych — więźniów niekryminalnych, jak powiada Jerzy Urban, określając w ten sposób osoby, które siedzą w kryminalnie nie popełniwszy żadnego przestępstwa — można sobie tłumaczyć dwojako. Po pierwsze, jako zwycięstwo opozycji, czy nawet szerzej, zwycięstwo wspierającego ją społeczeństwa nad władzą. Wykładnia jest tu taka, że nastroje sprzeciwu są w społeczeństwie tak powszechne, że bez jakiejś formy zalegalizowania czy choćby tolerowania opozycji nie ma mowy o gospodarczym dźwignięciu kraju, pobudzenia ludzi z absolutnej apatii, wyrwania ich z ich zamkniętej prywatności, zmuszenia do zaprzestania stawiania biernego oporu.

Druga szkoła powiada, że jest to sukces władzy, która na tyle rozpracowała opozycyjne struktury, iż przestały być dla niej groźne i mogła sobie wobec tego pozwolić na gest łaski. Jak by nie było, amnestia dla wszystkich — precyzyjnie



mówiąc dla prawie wszystkich, bo jednak odmawiający służby wojskowej pozostali za kratami – wszystkich też w sposób zrozumieliśmy ucieszyła, w kraju i za granicą.

Jednak ja, wieczny malkontent, chciałbym zwrócić uwagę na tych, którzy w więzieniu pozostali. I to nie na tych niekryminalnych, wręcz przeciwnie, na kryminalnych. W więzieniu pozostał Antoni Borowski, którego sąd dla Warszawy-Pragi za próbę kradzieży skazał na 2 lata 6 miesięcy pozbawienia wolności, 40 tysięcy grzywny i przepadek mienia w całości; Marek Sikorski skazany za kradzież 25 tysięcy złotych na 2 lata więzienia, 80 tysięcy grzywny i konfiskatę mienia w całości; Dariusz Krawczyk, którego za kradzież maszyny do szycia Łucznicz skazano na 3 i pół roku więzienia, 150 tysięcy grzywny i konfiskatę mienia w całości; są to wybrane przykłady z kolumny obwieszczeń o ukaraniu, z jednego tylko numeru *Życia Warszawy*.

W sprawach karnych zapadają wyroki które trudno nazwać inaczej jak drakońskimi, na dodatek wszystkie obligatoryjnie uzupełnione dodatkową karą konfiskaty mienia. Za nieudolne włamanie – kiedyś nazywano to nieudolnym usiłowaniem i kończyło się na wyroku z zawieszeniem – sądy łupią kary po siedem i osiem lat więzienia. Do tego oczywiście grzywna i konfiskata mienia w całości. Jak znam polski system wymiaru sprawiedliwości, rzecz jest związana z wytycznymi ministerstwa sprawiedliwości. Wydano polecenie stosowania kar w zakresie górnych zagrożeń i podwyższono sądom plan finansowy do wykonania. Stąd ogromne grzywny i konfiskaty mienia. Społeczeństwo kryminalizuje się z całą świadomością, skoro za stłuczenie 20 butelek po mleku przed sklepem można dostać rok bezwzględnego więzienia.

Polska jest dziś krajem bez więźniów politycznych (prawie), ale za to państwem o największej procentowo liczbie więźniów kryminalnych w Europie. I to mi psuje radość z wypuszczenia Bujaka, Frasiyniuka i innych. Rozumiem bowiem, że za tym aktem nie kryje się prawo i praworządność a wytyczne, które w każdej chwili mogą zostać zastąpione innymi.

4.

Jaruzelski złoży w przyszłym roku wizytę w Bonn. I nie będzie można nawet zorganizować manifestacji. Nie ma więźniów politycznych, nie ma się czego domagać, nie ma przeciw czemu protestować. Trudno przecież urządzić demonstrację przeciw kryzysowi gospodarczemu, przeciw brakowi lekarstw, przeciw zanieczyszczeniu środowiska, przeciw warunkom życia rencistów, przeciw dro-

żyznie, cenzurze, stosunkom własności. Pozostanie emigrantom powołać komitet powitalny, bo przecież Jaruzelski przyjedzie z rękami już umy- tymi.

5.

Świat jest naprawdę bardzo dziwny i czasami mam wrażenie, że coraz mniej go rozumiem. Przed bez mała dwoma laty wydałem wraz z gromem przyjaciół fałszywy numer *Szpilek*, który wywołał spore zamieszanie i aferę z udziałem Jerzego Urbana i Departamentu Stanu USA. Myślałem już, że cała sprawa przeszła do historii gdy tymczasem otrzymałem z Duesseldorfu fałszywkę tych fałszywych *Szpilek*. Jakis pan doktor Olesiak z Duesseldorfu wyrzucił z tych naszych *Szpilek* jeden tekst, włożył w to miejsce własny i dał podobno do rozpowszechnienia. Tekst na dodatek podpisany jest „Redakcja”.

Oczywiście, fałszowanie fałszywej gazety jest samo w sobie zabawne, niestety wykracza poza moje, na ogół powyżej przeciętnej, poczucie humoru. Dopisanym tekstem pan Olesiak załatwia jakieś swoje prywatne porachunki z jakimś panem Walochem. Mogę to doskonale zrozumieć, potrzebę napisania o kimś, że jest świnią i grafo- man. Ludzie nie mający zawodowej możliwości skanalizowania swoich frustracji pisują czasem w toaletach publicznych po ścianach. Często są to zresztą teksty dowcipniejsze niż ten, o którym mowa. W Bonn w pewnej knajpie widziałem na maszynie sprzedającej przeterminowany napis: Mój ojciec twierdzi, że to nie funkcjonuje. To, co było żartem w przypadku sfalszowania *Szpilek*, jest nadużyciem w przypadku fałszowania już tych fałszywek. Okropnie nie lubię włączyć się po sądach, ale jednak występuję przeciw panu Olesiakowi na drogę prawną, po prostu z obawy, żeby ktoś nie pomyślał, że to ja napisałem.

6.

Bolesław Prus w „Kronikach”:

„W Warszawie na Krakowskim Przedmieściu pod koła omnibusu dostał się 40-letni mężczyzna. Starca odwieziono do szpitala”.

Mój Boże, a do emerytury tak jeszcze daleko.

7.

Podczas wieloletniego już – czas leci – pobytu na emigracji, naczytałem się w prasie polskiej ukazującej się za granicą, tekstów traktujących o temacie mocno mnie obchodzącym – wyjeżdżać z PRL na stałe czy też nie wyjeżdżać, Osobliwością jest, że większość emigrantów potępia zde-

cydowanie emigrację, z uprzejmości tylko nie wymieniamy cisańcego się na usta słowa – zdrada. Nieliczni łagodni usprawiedliwiają wyjeżdżających okolicznościami wymuszającymi decyzję wyjazdu, ale i tak nad całym zbiorem wypowiedzi unosi się zapaszek dwuznaczności moralnej.

Nie mam zamiaru rozwordzić się nad tym, że na temat emigracji najchętniej zabierają głos ci, którzy wyjechali dawniej, widać funkcjonuje tu prawo zasiedzenia. Pragnę tylko zwrócić uwagę, że dyskusja – wyjeżdżać czy nie – jest kaleka, ponieważ nie odpowiada na zasadnicze pytanie, mianowicie skąd? Skąd wyjeżdżać, a skąd nie? W języku polskim mamy kilka wyrażeń dla tego, co politycznie określa się jako Polskę Rzeczpospolitą Ludową, Ojczyznę, Kraj Rodzinny, Państwo Polskie. Zakres znaczeniowy tych trzech słów nie jest wcale równoważny. Ojczyzna jest pojęciem szerszym niż Kraj Rodzinny. Państwo Polskie w jego obecnym kształcie może dla jednostki w ogóle nie być Ojczyzną, choć bywa Krajem Rodzinnym.

Nie bez przyczyny aparat władzy postępuje się wobec obywateli pojęciem Ojczyzny Socjalistycznej. Moja żona urodziła się w Wilnie, dokąd jej Matka uciekła przed sowiecką partyzantką z powiatu trockiego. W 1945 roku całą rodzinę przesiedlono na Ziemię Zachodnie, do Wałcza, skąd wkrótce uciekli przed prześladowaniami UB, tym razem na Kujawy. W 1982 roku wyjechalismy z PRL z paszportami opatrzonymi pieczętką: z prawem jednokrotnego przekroczenia granicy. Bez prawa powrotu. Taki sam paszport dostała nasza 6-letnia córka. Wzywam uczonych moralistów do odpowiedzi na kilka pytań – czy moja żona opuściła Ojczyznę już w 1945 czy dopiero w 1982 roku? Czy wyjechała z Kraju Rodzinnego przenosząc się z Troków do Wilna czy z Wałcza na Kujawy? Czy opuszczając Wilno opuszczała Państwo Polskie czy też uczyniła to dopiero opuszczając Warszawę?

Polska Rzeczpospolita Ludowa, chętnie prezentująca się jako Ojczyzna (oczywiście socjalistyczna), i jako Kraj Rodzinny, ma zwyczaj uważać swych obywateli za własność państwową, na równi z obrabiarkami, traktorami i innymi środkami produkcji. Obecne pokolenia Polaków są dla niej gnójem historii, na którym wzrosnąć mają przyszłe, wspańiałe plony. Czyżby emigracja zasiedziła miała nas traktować tak samo, jak opozycyjny nawóz na którym wszędzie plon Niepodległości i Wolności, który oni, po szczęśliwym powrocie, zbiorą?

Przypomina to wszystko pretensje do Mickiewicza, że siedział w Paryżu i pisał „Pana Tadeusza” zamiast przykładnie zginąć w Powstaniu Listopadowym, albo przynajmniej dać się zagnać na Sybir. Ojczyzna jest nierozdzielnie związana z pojęciami takimi jak Naród, Kultura, Język. Kraj Rodzinny jest określeniem bliższym geografii. Państwo jest bytem politycznym. Wszystkie te trzy pojęcia wykładają się na słowo – Polska. Z której Polski wyjechałem, czy właściwie – wyprowadziłem się? Z Ojczyzny, z Kraju Rodzinnego czy z Państwa? Wobec kogo przestałem, wyjeżdżając, pełnić swe powinności? Wobec Ojczyzny, Kraju czy Państwa? I które z tych zaniechań jest w oczach ludzi oceniających moją decyzję nagane? Ojczyznę służę tu lepiej niż nawet gdybym roznościł ulotki w Warszawie. Krajowi Rodzinnemu pomóc nie mogę – ani ja, ani nikt inny – nie uchronimy go przed bezmyślną dewastacją, zniszczeniem krajobrazu, szaty roślinnej, zabytków. Państwu Polskiemu – Polskiej Rzeczpospolitej Ludowej wypowiedziałem umowę najmu.

Powiada się, że decyzje jakie podejmowaliśmy wyjeżdżając były dramatyczne. O wiele bardziej dramatyczne znajdują reakcje na te decyzje. Drącym szaty pragnę przypomnieć, iż w roku 1918, po Odrodzeniu Niepodległej Polski z całej Europy i nie tylko ściągając zaczęły tysiące młodych, świetnie wykształconych, obytych z nowoczesnym przemysłem i najnowszymi prądami naukowymi Polaków, którzy opuścili zabory, by kształcić się i żyć za granicą. To oni właśnie stworzyli podstawy istnienia II Rzeczpospolitej. Jeśli któregoś dnia Polska odzyska niezawisłość – a wierzę, że tak się stanie – będziemy jej mieli wiele do zaofiarowania. Choćby znajomość świata, w którym ekonomia jest zwykłą, a nie polityczną. Dobrze by było, gdyby dostrzegli to ludzie, którzy nie udało się jeszcze do dziś rozpakować walizek zapakowanych we wrześniu 1939 roku, ludzie, którzy patriotyzm mierzą miarą dawno umarłych.

## 8.

Minister Kiszczak powiedział, że warunkiem uwolnienia więźniów politycznych jest ich gotowość do akceptacji realiów krajowych i zaprzestanie działalności politycznej. Jak się bliżej przyrzec jest to ni mniej ni więcej tylko powtórzenie zdania Jana Onufrego Zagłoby z „Ogniem i Mieczem”:

– Puść chamię, to cię zdrowiem daruję. ■

Ogłaszaj się w „Poglądzie”!



1 Maja w Moskwie; Nicholas Daniloff na Placu Czerwonym

Czesław Karkowski

# Szpieg i korespondent

Prezydent Stanów Zjednoczonych, Ronald Reagan przemawiając w Kansas City, dokąd udał się w ramach przedwyborczej kampanii, tak rozpoczął swą wypowiedź: *Jeśli chwilę zechcecie poczekać, to nim przejdę do własnych uwag chciałbym obwieścić pewną wiadomość, jeśli przypadkiem już jej nie słyszeliście o 12 czasu środkowoamerykańskiego. Z Moskwy do Frankfurtu odleciał samolot Lufthansy z Nicholasem Daniloffem i jego żoną na pokładzie.* Informacja ta spotkała się z olbrzymim entuzjazmem zgromadzonych, jednak komentatorzy polityczni przyjęli ją z dużą dozą ostrożności. Zastanawiano się nad dyplomatycznymi i politycznymi implikacjami afery, która w Stanach Zjednoczonych zajmowała przez szereg dni czołówki gazet. Przypomnijmy pokrótce przebieg wypadków:

23.08. Pracownicy FBI aresztują w nowojorskim metrze Gennadija Sacharowa, sowieckiego

lekarza, pracownika misji ZSSR przy Narodach Zjednoczonych, oskarżając go o szpiegostwo.

- 30.08. Nicholas Daniloff, moskiewski korespondent tygodnika *U. S News and World Report* zostaje aresztowany w momencie, gdy odbierał paczkę, w której – jak się okazuje – były dwie mapy oznaczone jako „ściśle tajne”. Technika obu aresztowań jest jednakowa: również Sacharowa schwytano, gdy agent FBI „zwerbowany” przez Sacharowa przekazywał mu tajne dokumenty.
- 31.08. Administracja Reagana określa aresztowanie Daniloffa jako spisek i wyklucza możliwość wymiany go na Sacharowa.
- 5.09. Sekretarz Stanu, George P. Schulz oświadcza, iż Daniloff jest sowieckim zakładnikiem i żąda jego uwolnienia.
- 6.09. Prezydent Reagan osobiście zapewnia Mi-

chała Gorbaczowa, iż Daniloff nie jest szpiegiem.

7. 09. W Moskwie oficjalnie oskarżono amerykańskiego dziennikarza o szpiegostwo i zapowiedziano jego proces.
8. 09. Sąd przysięgłych w Brooklynie, dzielnicy Nowego Jorku, uznaje Sacharowa winnym zarzutu szpiegostwa.
12. 09. Na mocy porozumienia między władzami obu krajów zarówno Daniloff, jak i Sacharow zostają zwolnieni z więzienia i przechodzą na „areszt domowy” w ambasadach swych państw.
15. 09. Rząd USA zażądał, aby 25 pracowników sowieckiej misji przy ONZ opuściło Stany Zjednoczone do 1 października.
18. 09. M. Gorbaczow w niespotykanym dotychczas goście dyplomatycznym pośrednio zarzuca prezydentowi Stanów Zjednoczonych kłamstwo mówiąc, iż Daniloff jest szpiegiem przytąpanym na gorącym uczynku. Moskwa oświadcza, iż wyrzucenie 25 Rosjan „nie przejdzie bez konsekwencji”.
21. 09. G. Szulz i minister spraw zagranicznych ZSSR, Szewardnadze stwierdzają, iż rozmowy przygotowawcze do spotkania na szczycie są w toku, lecz główną przeszkodą stanowią sprawa Daniloffa.
28. 09. Po szeregu wypowiedzi przedstawicieli władz ZSSR i USA o znaczeniu spotkania Reagan-Gorbaczow i „niepotrzebnej” komplikacji, późnym wieczorem dochodzi do najdłuższej z całej serii rozmów, między obydwojma politykami.
29. 09. N. Daniloff otrzymuje zgodę na opuszczenie ZSSR i odlatuje do Frankfurtu nad Menem. G. Szulz mówi, iż nie jest to wymiana na sowieckiego szpiega.
30. 09. Waszyngton wyraża zgodę na wyjazd Sacharowa, który stwierdza przed odwołaniem, iż nie jest szpiegiem. Oficjalnie wymieniono go na znanego sowieckiego dysydenta, Jurija Orłowa i jego żonę, również działaczkę komitetu helsińskiego w Moskwie. Obie strony uzgodniły nadto, że przed spotkaniem na szczycie, dojdzie do wstępnych rozmów przygotowawczych między R. Reaganem i M. Gorbaczowem w stolicy Islandii.

Pierwsze reakcje obserwatorów sceny politycznej w Stanach Zjednoczonych wahały się między ostrożnym sceptycyzmem a całkowitym oburzeniem na sposób i wynik rokowań. Odpowiedź na pytanie, czym sukcesem zakończyła się

ta rozgrywka, zdawała się początkowo nie budzić wątpliwości. Po pierwsze, Moskwa aresztując Daniloffa poddyktowała warunki, na mocy których mogły się toczyć pertraktacje. Aresztowanie Daniloffa było więc nie tylko zmuszeniem USA do rokowań, lecz i wyraźnym ostrzeżeniem, że w przyszłości na aresztowanie sowieckich szpiegów Moskwa brać będzie zakładników. W konsekwencji, policja federalna (FBI) następnym razem mocno się zastanowi, gdy zechce położyć kres działalności jakiegos pracownika jednej z wielu sowieckich placówek w Stanach Zjednoczonych.

Po drugie, Amerykanie nie targowali się zbyt stanowczo, toteż administracja Reagana uzyskiwała stosunkowo niewiele w porównaniu z poprzednimi przypadkami. Przypomniano m. in. sprawę aresztowanego w 1963 roku sowieckiego kierowcy z immunitetem dyplomatycznym, którego oskarżono o szpiegostwo. W odpowiedzi, w Moskwie aresztowano amerykańskiego profesora. Jednak na skutek interwencji prezydenta Kennedy'ego Amerykanina zwolniono, zaś kierowcę osądzono i skazano oraz wypuszczono z więzienia dopiero po 8 latach. W 1978 roku za szpiegostwo aresztowano dwóch sowieckich pracowników misji ZSSR przy Narodach Zjednoczonych, na co w Moskwie schwytyano amerykańskiego biznesmena, oskarżając go o handel walutą. Amerykanina osądzono i wyrzucono z ZSSR, zaś aresztowanych Rosjan skazano na 50 lat więzienia, by po kilku miesiącach wymienić ich na 5 sowieckich dysydentów.

Po trzecie, sposób rozwiązania tej sprawy sugeruje zajęcie postawy obronnej przez administrację Reagana i przejęcie inicjatywy przez Rosjan. W związku z tym niektórzy obserwatorzy polityczni obawiają się, czy podczas spotkania w Islandii prezydent Reagan nie okaże się zbyt uległy wobec sowieckich nacisków i nie pójdzie na jakieś ustępstwa wobec żądań Kremla.

Te pierwsze reakcje, w dużej mierze dyktowane emocjami, prędko ustąpiły miejsca spokojniejszym analizom i mimo nadal trwającej krytyki pod adresem strategii obranej przez administrację Reagana w sprawie Daniloffa (ataki te kierowane są głównie ze strony przedstawicieli partii republikańskiej), w tej rzekomej niezdarności zaczęto dostrzegać dalekosiężny manewr.

W obliczu zbliżających się wyborów partia demokratyczna miałaby poważny atut w ręku, gdyby Biały Dom zajął nieustępliwe stanowisko. Ewentualne twierdzenie, iż z winy obecnej administracji nie doszłoby do spotkania na szczycie, trafiłoby mocno do przekonania obywateli Stanów Zjednoczonych, generalnie domagających się roz-

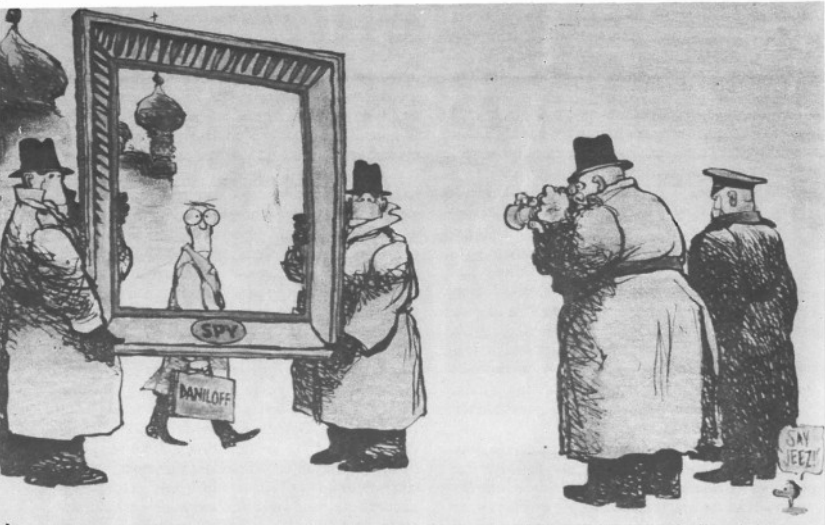
mów rozbrojeniowych z ZSSR. Reagan wytrącił więc swym potencjalnym przeciwnikom argumenty z rąk, jednocześnie w praktyce niczego nie obiecując. Dojdzie zatem do wstępnego spotkania na szczycie w Reykjavíku, czym prezydent USA dowiedzie, iż rozmowy w sprawie kontroli zbrojeń toczą się zwykłym trybem, lecz nie będzie żadnego porozumienia przed właściwym spotkaniem w przyszłym roku w Waszyngtonie.

6 października prezydent Reagan jakby potwierdził tę interpretację ostrzegając przed „fałszywymi nadziejami”, jakie niektórzy mogą wiązać z konferencją w Islandii i dodał, że *Stany Zjednoczone daty jasno do zrozumienia, iż przystępujemy do tych negocjacji bez złudzeń i że nadal będziemy szczerzy i otwarci wobec Związku Sowieckiego, moralnych implikacji jego ideologii, poważnego niebezpieczeństwa jego geopolitycznych zamiarów. Zaś niespokojnych republikanów uspokoił twierdzeniem, iż ostatecznym celem amerykańskiej polityki zagranicznej jest nie tylko zapobieganie wojnie, ale i szerzenie wolności, tak, aby wreszcie pewnego dnia każdy naród, wszyscy ludzie cieszyli się błogostwami wolności.*

Spotkanie w Reykjavíku nie przyniesie najprawdopodobniej żadnych rezultatów. Natomiast

sprawa Daniloffa miała bardziej charakter wątego sukcesu propagandowego Moskwy, którego Kreml przypuszczalnie bardziej potrzebował po szeregu „afrontów” (wg. określenia sowieckiej propagandy), jakie spotkały ZSSR ze strony Stanów Zjednoczonych. Sowieccy politycy wielokrotnie oskarżali Waszyngton, iż odchodzi od polityki w duchu Genewy. Wymieniano tu odrzucenie sowieckiego moratorium na próby z bronią jądrową, decyzję Reagana o rezygnacji z ograniczeń nałożonych przez traktaty o broni strategicznej, nalot na Libię, przepłynięcie amerykańskiego okrętu wojennego przez sowieckie wody terytorialne na Morzu Czarnym i wreszcie nakaz zredukowania personelu Związku Sowieckiego pracującego przy ONZ w Nowym Jorku.

Gorbaczow ustąpił z mniej lub bardziej stanowczo stawianego warunku o konieczności osiągnięcia jakiegoś porozumienia w kontroli zbrojeń godząc się ze stanowiskiem Białego Domu, aby do rozmów przystąpić bez wstępnych warunków i negocjować je dopiero w bezpośrednim spotkaniu. Gorbaczow nie osiągnął więc tego, do czego — jak się uważa — przede wszystkim dążył, mianowicie do reaktywowania ducha detente, co dałoby Rosjanom swobodny dostęp do zachodnich banków i nowoczesnych technologii. ■



# Czy Zachód jest w stanie przeżyć odprężenie?

O kredytach, raketach i ludziach, którzy chcą mieć spokój

Mimo bezspornych dowodów sowieckiej polityki agresji, których nagromadziło się tyle w ciągu ostatnich czterdziestu lat – naruszenie umów międzynarodowych, manipulowanie opinią publiczną, dywersja i terroryzm – większość ludzi na Zachodzie wciąż jeszcze nie chce w to uwierzyć. Rozważnemu zachodniemu obserwatorowi wydaje się podejrzanym już chociażby rozmiar takiej aktywności i nieładzkie metody, których się używa.

Mimo niezaprzeczalnych faktów, jak zestrzelenie południowokoreańskiego samolotu pasażerskiego w 1983 r. lub inwazja w Afganistanie, zachodnia opinia publiczna nie potrafiła zmienić zdania. Zamiast tego, absurdalność zachowania Związku Sowieckiego w obu przypadkach sprawiła, że wiele osób szuka „racjonalnego” wyjaśnienia lub nawet usprawiedliwienia sowieckich motywów. Najczęstsza tendencja tych wyjaśnień to przypisywanie winy bardziej zachodnim rządóm niż Sowietom.

Taka recepcja problemu przypomina kryzys pacjenta chorego nieuleczalnie na raka: człowiek w konfrontacji z czymś wstrząsającym, okropnym, co leży poza jego kontrolą, przeżywa różne fazy mentalne od negacji do poczucia winy, od konwulsyjnej, fantazjującej racjonalizacji aż po ostre depresje. W samej rzeczy, czy jest coś groźniejszego niż stanąć twarzą w twarz ze śmiertelnym wrogiem, który nie waha się przed niczym i może pięciokrotnie zniszczyć kulę ziemską? Który powoli lecz systematycznie od pół wieku podbija kraj za krajem, który wdziera się w każdą sferę życia i bezpardonowo wykorzystuje każdą ludzką słabość? I to bez żadnego powodu. W przeszłości Zachód próbował stosować różnorodne środki zaradcze, od przeciwdziałania po odprężenie, i żaden z nich nie funkcjonował.

Niechęć Zachodu spojrzenia prawdzie w oczy i rozpoznania źródeł zagrożenia jest najważniejszą przyczyną sowieckich sukcesów. Zachowanie Sowietów traci na irracjonalności, jeśli pojmujemy, że czują się oni w stanie wojny z resztą świata. Czyż zwodzenie i dezinformacja nie były od zarania

działów legalnym środkiem wojennym, od trojańskiego konia po pozorowane lądowanie (D-Day) w okresie II wojny światowej. Armia każdego państwa rozporządza specjalnym oddziałem do prowadzenia wojny psychologicznej, który w czasie pokoju nie jest wykorzystywany, a aktywizuje się dopiero wraz z wybuchem działań nieprzyjacielskich. Różnica w stosunku do Związku Sowieckiego polega na tym, iż stał się on takim właśnie oddziałem, choć formalnie wojna nie została nigdy wypowiedziana. Posiadamy tylko niewielką szansę przeżycia jeśli Zachód nie uzna, że – chcąc czy nie – znajduje się w stanie wojny z resztą świata opaloną przez sowiecki komunizm. Jest to tak, jak Jean Francois Revel przedstawia w swojej książce zatytułowanej *Koniec demokracji*, że społeczeństwa demokratyczne posiadają nieodłączne słabe punkty, które wydają je na pastwę totalitarneemu przeciwnikowi. Im bardziej będziemy sobie zdawać sprawę z realnego stanu, że prowadzimy wojnę, tym szybciej zmniejszą się nasze słabości. W końcu demokracjom udało się w czasie II wojny światowej pokonać totalitarneemu przeciwnika.

Drugim powodem, dlaczego Zachód jest tak podatny na sowieckie wpływy, wiąże się ściśle z pierwszym – jest nim ignorancja. Wiemy więcej o mikroskopijnych cząsteczkach komórki lub o odległych galaktykach niż o oddalonym zaledwie o tysiąc kilometrów politycznym systemie. Oto drobny lecz typowy przykład: każda śmierć kolejnego sowieckiego przywódcy traktowana jest automatycznie jako sygnał zmiany reżymu. Media, opinia publiczna i nawet tzw. eksperci podniecają się, dyskutują szczegółowo o osobowości nowego przywódcy, jego żonie, jego przyzwyczajeniach i smaku, stylizują go na „ukrytego liberała” oraz „mediatora”. Oprócz typowych pobożnych życzeń przykład ten demonstrować godną uwagi ignorancję. Mimo 69 lat sowieckiej egzystencji ani zachodnia opinia publiczna, ani ludzie rządzący nie nauczyli się, że Związek Sowiecki nie jest autokracją lecz totalitarnym reżymem, w którego systemie śmierć przywódcy niczego nie zmienia. Właśnie

dlatego jest on aż tak niebezpieczny. Autokracja przemija wraz ze śmiercią despoty, sowiecko-komunistyczny system trwa zaś nadal. Jest to maszynieria, w której cechy ludzkiego charakteru nie odgrywają absolutnie żadnego znaczenia.

Najbardziej deprymujący jest stan wiedzy tzw. ekspertów, sowietologów, kremlinologów itd. Pominąwszy kilka chlubnych wyjątków reszta nie posiada najmniejszych kwalifikacji, aby zajmować się problematyką stosunków Wschód-Zachód. W sumie są oni gorsi niż człowiek z ulicy; przeciętny obywatel posiada przynajmniej zdrowy rozsądek. Od eksperta wymaga się wyższego pojmowania, co w gruncie rzeczy oznacza posiadanie własnych teorii czy opinii. Eksperta uważa się za „rozwąznego” (prawda się nie liczy) i staje się on popularny gdy mówi to, czego media od niego oczekują. Trudno w to uwierzyć, ale większość „ekspertów” nie zna nawet języka rosyjskiego. Czy można sobie wyobrazić fizyka atomowego, który nie ma pojęcia o matematyce i dlatego nie rozumie najprostszego równania?

Kim są ci ludzie? Czym legitymują się? Zazwyczaj pracowali kilka lat w ambasadzie swojego kraju w Mongolii lub wzięli udział w wycieczce turystycznej po Związku Sowieckim, lub – co lepsze – na zlecenie rządu zdobyli „doświadczenie w obejściu z Rosjanami”. Najczęściej sprawując urząd okazali się kompletnymi zerami, natomiast są mistrzami w obcowaniu ze środkami masowego przekazu. Te zapraszają ich, gdyż eksperci mówią dokładnie to, co określani ludzie odpowiedzialni za mass-media chcą słyszeć.

Nie nauczyli się nigdy rozróżniania narodu rosyjskiego od systemu sowieckiego i wciąż jeszcze poważnie wierzą, że Iwan Groźny założył Związek Sowiecki. To oni udzielają cennych rad rządowi, opinii publicznej i studentom.

Ci współcześni astrologowie zniekształcili publiczną ocenę problematyki sowieckiej. Dzięki ich staraniom Zachód wierzy, że nie ma żadnych dokładnych danych o Związku Sowieckim, jego planach i zachowaniu; są tylko przypuszczenia – co sprawa, że opinia publiczna jeszcze bardziej jest podatna na sowiecką dezinformację. Dzięki „ekspertom” każda publiczna debata o stosunkach Wschód-Zachód jest bezsensowna; jeśli nie dąży się celowo ku prawdziwe każde przypuszczenie jest dobre, dezinformacja równie dobra jak informacja.

Dalsza przyczyna sowieckiego sukcesu to ideologiczne pokrewieństwo z określonymi grupami zachodniego społeczeństwa. Nie mam tu na myśli lewicowych ekstremistów czy komunistów, lecz o wiele bardziej skłonność ludzi stojących na lewo od środka, do wietrzenia niebezpieczeństwa tylko na prawicy. Obraz ciemniźcycla, który wbił się w ich umysły, to brutalny człowiek noszący

wojskowy mundur. Idea władzy jednostki przeraża ich, gdy tymczasem bezosobowy terror systemu sowieckiego nie przemawia do ich wyobraźni. Ich zdaniem rewolucja w Związku Sowieckim tylko zbłądziła. Oznacza to, że pierwotnie kierowały nią dobre i humanitarne intencje i dopiero przez czują „pomyłkę” (lub przez „brak zrozumienia ze strony Zachodu”) wypadła ona z torów. Dlatego czują się w obowiązku usprawiedliwiać jeśli nie rezultaty, to przynajmniej jej intencje.

Reżym apartheidu porusza nasze sumienia, dlatego musimy wszyscy – na lewicy, prawicy jak i w centrum – wspólnie mu się przeciwstawić. Nie odbywają się więc żadne rozmowy, żadne spotkania na szczycie, nie buduje się żadnych pomostów, dyplomaci broniący praw człowieka nie podróżują. Natomiast głosi się hasła: embargo, bojkotowanie, nieinwestowanie. W stosunkach ze Związkiem Sowieckim rozmowy wydają się być najlepszym lekarstwem. Opowiada się nam, że sankcje są bezskuteczne, gdyż ktoś inny nawiązałby stosunki handlowe. Bojkot zastrzyłby tylko „napiętą sytuację międzynarodową”. Wciąż udziela się nam rad, abyśmy byli tolerancyjni i pluralistyczni i byśmy zrozumieli „drugą stronę”. W obliczu tak wyrozumiałego przeciwnika dziwi, że Sowieci wydają wciąż tyle pieniędzy na swoje „aktywne przedsięwzięcia” (czytaj: bezpośrednią dywersję).

Sowieci muszą się również uporać z szeregiem własnych problemów. W myśl doktryny z XIX wieku, która już w czasie jej stosowania była przestarzała, system sowiecki jest zobowiązany do eksportu własnej ideologii, nawet jeśli już nikt w nią nie wierzy. Ona musi ludzkość „wyswobodzić” bez alarmowania jej i musi za to „wyswobodzenie” obciążyć kosztami resztę świata. To, co pierwotnie było wiarą, rewolucyjną namiętnością założycieli, okrzepło stopniowo w strukturę porządku społecznego z płatnymi stanowiskami dla wielu milionów ludzi. W 69 lat po założeniu systemu sowiecki może przeżyć tylko dzięki stałym pogrożkom wojennym, które zarówno w kraju jak i za granicą zastąpiły wabika ideologii komunistycznej. Do wewnątrz groźba wojny jest jedynym usprawiedliwieniem totalitarnego reżymu, usprawiedliwieniem braku praworządności, nędzy i przywilejów panującej nomenklatury. Na zewnątrz jest to jedyny środek aby utrzymać imperium, rozszerzyć sowieckie wpływy i wymusić od Zachodu kredyty, towary i technologię. Dlatego słowo pokój stało się głównym tematem sowieckiej dezinformacji, a „walka o pokój” substytutem „walki klas” i ideologicznej dywersji.

Jak funkcjonuje to w praktyce? Związek Sowiecki wywołuje najpierw wciąż nowe konflikty poprzez zaburzenie równowagi sił wobec Zachodu

lub przez swoje awantury w Trzecim Świecie. Później wykorzystuje reakcje Zachodu, by wytworzyć militarną histerię w kraju i profitować z „histerii pokoju” za granicą. Te obie histerie zapadniają się wzajemnie; kiedy sowieccy obywatele widzą na ekranach telewizorów jak miliony ludzi na Zachodzie demonstrują przeciwko „amerykańskiemu pociskom”, jak dochodzi do kolizji z policją i jak skanduje się hasła przeciwko własnemu rządowi „podjudzającym do wojny”, wówczas zaczynają wierzyć propagandzie oficjalnej. Wojna atomowa musi rzeczywiście czyhać za najbliższym rogiem, jeśli tyle osób szarpie się z policją i ryzykuje własną wolność w marszach demonstracyjnych przeciwko rządowi.

Z drugiej strony tysiące działaczy pokojowych, ludzi „budujących pomosty” odwiedzając Związek Sowiecki spotyka zatroskanych i wystraszonych ludzi, którzy ich pytają: „Dlaczego Amerykanie chcą nas spalić w atomowym holocaustie?” Goście z Zachodu spotykają ludzi, którzy – pod wpływem potwornych strat w czasie II wojny światowej – tęsknią za pokojem oraz osobistości oficjalne z ich nieodzownymi toastami za „przyjaźń i pokój”. Ciągnie się ich od pomnika do pomnika ofiar wojny a działacze pokojowi z Zachodu i tak nie są w stanie zrozumieć różnicy pomiędzy sowieckim narodem a systemem. Wracając do domu święcie przekonani, że „Rosjanie” nie chcą wojny. Naturalnie w czasie przebiegu ich wizyty sowieckie środki masowego przekazu proszą w każdej miejscowości o wywiad. Jako pełni szacunku, goście nie nadmieniają ani słowem rakiet SS 20 czy Afganistanu. Potępiają militarizm Reagana i w ten sposób jeszcze bardziej podniecają histerię pokoju u sowieckich obywateli. To samo dzieje się, jeśli ktoś otrzyma zezwolenie wyjazdu w odwiedziny na Zachód. Ich rodziny pozostają jako zakładnicy w domu, dokonuje się starannej selekcji wyjeżdżających i jako wystannicy propagują slogany sowieckiej propagandy. Ludzie na Zachodzie grający rolę miłych gospodarzy nie pytają o Afganistan i znów mówi się tylko o złym Reaganiu i niestannych zabiegach pokojowych Związku Sowieckiego.

Można postawić pytanie: Co mają z tego Sowieci, że wpędzają miliony ludzi na Zachodzie w histerię pokojową? Przecież w końcu i tak mimo tego rakiety są stacjonowane w Europie, a ruch pokojowy wcale nie objął przeważającej większości społeczeństwa Zachodu. Czy nie powinniśmy zatem traktować „walki o pokój” tych ruchów, jako całkowiec uzasadnionego przyczynku do publicznej debaty? Nawet jeśli pominiemy jednostronność takiej debaty, która nigdy nie przeniesie się na terytorium sowieckie i ignoruje sowieckie metody dyskusji, to korzyści wynikające z niej są zbyt duże aby przejść nad tym do porządku dzien-

nego. W normalnej debacie nie można drugiej stronie przyznawać takich korzyści i wpływów, które praktycznie paraliżują wolę oponenta. Histeria pokojowa sprawia, że każda decyzja o wzmocnieniu obrony (zwłaszcza sił nuklearnych), staje się tak mało popularna, iż rządy państw zachodnich coraz częściej nie decydują się na podjęcie takiego kroku, natomiast Sowieci mogą zupełnie dowolnie i bezkarnie rozbudowywać swój potencjał militarny. Wcześniej czy później doprowadzi to do zdobycia przewagi przez Sowieców, co tylko zwiększy ich nacisk, doprowadzając jeszcze więcej ludzi do pokojowej histerii.

W ten sposób jedność Zachodu jest stale zagrożona. Uwaga publiczna skupia się nie na agresywnej naturze sowieckiego systemu lecz na liczbie głowic, rakiet, samolotów itd. Rządy zachodnie zostają zmuszone w końcu do udziału w bezsensownych rokovaniach na temat kontroli zbrojeń, w sytuacji, w której międzynarodowa opinia publiczna równomiernie obciąża obie strony za grzący holocaust. Prym wie dzie sprawa bezpieczeństwa świata, natomiast naruszanie praw człowieka w Związku Sowieckim zostało zepchnięte na plan dalszy; dla Sowieców jest zbyt ryzykowne, aby dopuścić do publicznej debaty na ten temat. Kiedy w 1980 r. otworzyli oni nową rundę „walki o pokój” wynaleźli slogan: „Narody posiadają władzę aby zachować pokój – jest to ich podstawowe prawo” (*Prawda* 24. 09. 1980). Przesłanie miało jednoznaczny charakter i było skuteczne: chcesz przeżyć, zapomnij o prawach człowieka w Związku Sowieckim. I Zachód uczynił to.

Ludzie przeróżnych profesji – lekarze, duchowni, adwokaci, naukowcy – nagle zaczęli się ćwiczyć w sztuce dyplomacji, informując świat o zamiarze ratowania ludzkości poprzez podpisywanie „układów pokojowych” ze Związkiem Sowieckim. Dokładnie w tym samym czasie, kiedy Andriej Sacharow według doniesień umierał na zesłaniu, prezydent Amerykańskiej Akademii Nauk Przyrodniczych Frank Press pisał, usprawiedliwiając swoją decyzję wznowienia wymiany naukowej ze Związkiem Sowieckim:

„Mimo stałej troski o zdrowie Sacharowa istnieją problemy o zasadniczym znaczeniu dla przyszłości ludzkości, dlatego uważamy za słuszne, aby kontynuować rozmowy z naszymi sowieckimi oponentami. W tym wypadku kontrola zbrojeń i międzynarodowe bezpieczeństwo posiadają bezsporny priorytet. (*Washington Post* 11. 05. 1983). Natomiast amerykańscy lekarze z ruchu „społecznej odpowiedzialności” tak usprawiedliwiali z kolei zaproszenie do Ameryki dra. Marata Vartanyana, człowieka prawnie odpowiedzialnego za nadużywanie psychiatrii w Związku Sowieckim: „Jakkolwiek ze traktowaniem dysydentów wzbudza nasz wstręt, to jednak jego rezultatem



nie będzie tak jak w przypadku problematyki nuklearnej, wyginiecie gatunku. Nic nie jest w stanie usprawiedliwić wyniszczenia życia na kuli ziemskiej" (cytat za *Time/Tribune* 24. 09. 1985).

Ta nagła mania ratowania ludzkości za cenę zdrady własnych przekonań moralnych zdominowała opinię Zachodu. Biskupi katolicycy i prokuratorzy stali się gorliwymi zwolennikami „appeasementu”.<sup>\*</sup> Pewien sędzia okręgowy odrzucił pladoyer końcowe na korzyść owego nieszczerzego marynarza sowieckiego, który w przeddzień spotkania na szczycie w Genewie wyskoczył ze statku. Z patosem oświadczył on: „Tutejszy sędzia nie przedsięwzięmie niczego, co szkodziłoby narodowym interesom naszego państwa. Do tego zaliczyć trzeba też wyroki, które kryją w sobie ryzyko konfrontacji...” (cytat z protokołu sądowego).

Powtórzmy raz jeszcze: ta zrećnie skrywana atmosfera moralnej kapitulacji na Zachodzie (co podkreśliła jeszcze zeszlatoroczna pokojowa Nagroda Nobla), posiada podwójny efekt. Pomogło to Sowietom rozbić we własnym kraju ruch praw człowieka, a na Zachodzie przygotowuje grunt do następnej fazy odprężenia. Po latach sztucznie wytwarzanych napięć i hysterii pokojowej, żaden rząd zachodni nie może sobie pozwolić na odrzucenie sowieckich propozycji odprężeniowych, jakkolwiek najnowszy wybuch tej choroby nie pozostawia żadnych złudzeń co do jej prawdziwego charakteru. Jest zrzucanie, że system sowiecki nie może dążyć do stałego odprężenia bez samounicestwienia się. Potrzebuje on odprężenia do zaczerpnięcia oddechu, uśpienia czujności na Zachodzie, dla uzyskania zachodnich kredytów i technologii, aby polepszyć równowagę militarną i zdobyć nowe wpływy w tyłu krajach Trzeciego Świata, na ile pozwoli czas, aż do przebudzenia się Zachodu. Potem następuje z reguły okres „zimnej wojny”, w którym wszyscy „postępowi ludzie” obwiniają „amerykański imperializm” o „nadwrażliwość i nieszanowanie nowej politycznej rzeczywistości”.

Dla Sowietów odprężenie oznacza po prostu inną wersję „walki o pokój”, jest dalszym narzędziem w prowadzeniu wojny psychologicznej. Tak jak Aids niszczy system immunologiczny człowieka, tak używa się odprężenia dla rozmiękczenia oporu Zachodu bez zmian wewnątrz Związku sowieckiego, gdzie klimat „zimnej wojny” nigdy się nie ociepli. Okres odprężenia w Związku sowieckim jest nacechowany represjami, na zewnątrz zaś intensywną dezinformacją. Tylko w ten sposób

Sowieci mogą zapobiec szybkiej erozji własnego systemu i jest to możliwe tylko w zamkniętym społeczeństwie, gdzie połączenia ze światem zewnętrznym są kontrolowane i często maskowane pod płaszczykiem „niezależnych instytucji publicznych”.

Dla Zachodu okres ten jest zawstydzającą samocenzurą i łudzeniem się — próbą kupienia pokoju za cenę poddawania się dyktatowi Sowietów. Nadchodzi czas, kiedy „appeasement” święci triumf. Nic więc dziwnego, że odprężenie przychodzi wówczas, kiedy Sowietci najbardziej go potrzebują. Katastrofalny stan wydajności pracy spowodowany ogólnym zacofaniem gospodarki sowieckiej nie pozwala im na rywalizację z Zachodem. Tu leży przyczyna okresowych wybuchów odprężenia — lub inaczej formułując — ostatnio zapowiedzianych przez Gorbaczowa reform gospodarczych. Jeśli pozwolimy im na wytchnienie, zaniedbamy militarne współzawodnictwo, udzielimy kredytów, dostarczymy towarów i technologii, wówczas nie wprowadzą oni nigdy jakichkolwiek reform, które zagroziłyby władzy partii komunistycznej. Przy naszej pomocy wyjdą z każdego kryzysu i będą nadal kontynuować ekspansję w Trzecim Świecie, grozić wojną i prowadzić swoją „walkę o pokój”.

Na zakończenie spotkania na szczycie w Genewie podpisano uroczyste „nową” umowę o współpracy kulturalnej i naukowej. Ta umowa jest tylko z nazwy nowa; de facto jest ona niczym innym jak wierną kopią umowy z roku 1972, która gwarantowała Związkowi sowieckiemu wszystkie korzyści wymiany. Wszystkie kontakty między Wschodem a Zachodem biegają ponownie poprzez oficjalne instytucje sowieckie, które zastrzegają sobie prawo kontroli informacji i ludzi. Tak jak w latach 70-tych znów opowiada się nam, że „zrozumienie” jest najlepszą drogą do pokoju ze Związkiem sowieckim. Lecz wybór jest tu ograniczony. Można mieć zrozumienie albo dla narodu sowieckiego albo dla sowieckich panujących. W międzyczasie kilkuset amerykańskich przemysłowców pospieszyło do Moskwy, aby „poprawić stosunki handlowe pomiędzy Wschodem a Zachodem”. Na Związek sowiecki ma spasy błogosławieństwo kredytów, technologie, towary i pożyczki. Jak na ironię losu dzieje się to w momencie, kiedy Zachód nie potrzebuje żadnego wytchnienia; gospodarka zachodnia jest silna i zdrowa, a militarna gotowość bojowa poprawiła się.

To Związek sowiecki jest uzależniony od odprężenia. A mimo wszystko Zachód płaci jeszcze za to, aby uratować zbankrutowany system sowiecko-komunistyczny przed upadkiem.

Tłum.: A. Knuff

(za *Die Welt* nr 207. 6. 09. 1986)

<sup>\*</sup> appeasement — trudno przetłumaczyć pojęcie wprowadzone przez Anglików przed II wojną światową do języka dyplomacji, oznacza ustępliwość wobec żądań czy nacisków.

# WĘGRY 1956

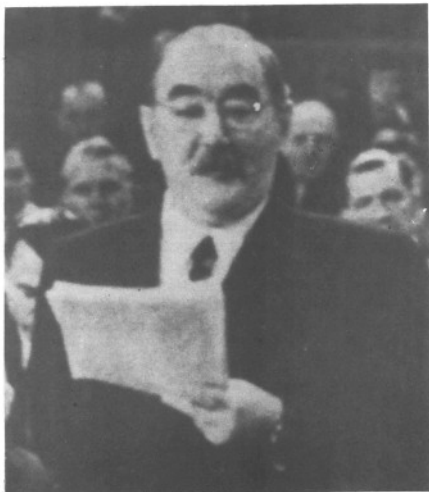
W tym roku mija 30 rocznica Powstania Węgierskiego, które w powojennej historii tego kraju zajmuje miejsce szczególnie tragiczne.

Dla Węgrów, było ono rozpaczliwą próbą wyrwania się spod sowieckiego dyktatu. W tym bohaterskim, powstańczym zrywie naród wyraził swe najgłębsze pragnienie wolności, swobód obywatelskich i społecznych oraz samostanowienia.

W owym czasie doświadczenia polskie były prawie tożsame z węgierskimi. Również Polska ogarnięta była wielkim, październikowym ruchem reform i odnowy. Ten wspólny fragment powojennej historii naszych krajów przypieczetowany został krwią przelaną na ulicach Budapesztu i Poznania.

Ale ten znak więzi naznaczony jest nie tylko stygmatem śmierci i krwi. Znana jest sympatia, ofiarą pomoc i zwykła ludzka solidarność w tych ciężkich dla obu narodów chwilach, jakich dowody składali sobie wzajemnie Polacy i Węgrzy. Jest to obecnie być może bardziej żywe i trwałe spoivo łączące nas, niż wspólny nam, ostateczny wymiar ludzkiego cierpienia, gdyż to właśnie żywi ratują dla przyszłości świadectwo tamtej epoki.

Sowieckie czołgi na ulicach Berlina i Budapesztu, gasienicami zryte ulice Poznania, ginąca samotnie Praga roku 1968 uświadczają dziś nam, starszym o doświadczenia 40 lat przemocy i szantażu, dobitnie, nie tylko charakter systemu, w którym przyszło naszym narodom wspólnie dzielić swój los, lecz także, w ich kontekście, łatwiej pozwalają zrozumieć sens hasła „za waszą wolność i naszą”, które pamięć oczyszcza z rdzy zapomnienia, nadając mu w dzisiejszej, szczególnie sytuacji, charakter konieczności i wyzwania.



*Imre Nagy, ówczesny premier Węgier  
Pal Maleter, dowódca powstańczych oddziałów*





Krzysztof Wągradzki

# Religia czy narkotyk?

Część II

## Hodowla Brojlerów

Kilka lat temu grupa polskich lekkoatletów, pod przewodnictwem Władysława Komara, wybrała się „w miasto” – o ile zmęczona pamięć mnie nie myli, był to Mediolan – by pokazać Rosjaninowi Jaszczence uroki nocnego życia. Eskapada skończyła się tym, że lekko strudzony mistrz Władysław przyniósł sowieckiego skoczka wzywać do hotelu, a na drugi dzień wygłosił następującą opinię: „Skakać to ty może umiesz... Ale gorzałki nie tykaj, bo to nie dla ciebie trunek!”.

Takie wyprawy, przyjacielskie kontakty są na porządku dziennym. Znani sportowcy spotykają się kilkanaście razy w roku na rozlicznych mitingach i mistrzowskich zawodach, więc lubią się i dobrze znają. Tworzą zgraną grupę sportowych show-menów, pomagają sobie na każdym kroku. Nie liczy się narodowość, ani poglądy polityczne. Nawet mistrzowie rodem z ZSSR, jeśli zachowują się poprawnie, mają pełne prawa obywatelskie w doborowym towarzystwie. Z owej „paczki” wyłączeni są jedynie zawodnicy NRD. „To nie ludzie – mówi się o nich. – To sztucznie wychodowane brojlerzy”...

Taka opinia panuje wszędzie, w każdej dyscyplinie sportu. Dlaczego? Czyżby ernerdowski sposób dochodzenia do sportowego mistrzostwa tak bardzo różnił się od takich samych metod w innych krajach? Jest to bardzo trudne pytanie... Na pewno ernerdowska hodowla brojlerów może służyć za wzór, na pewno jest lepsza, bardziej precyzyjna od działań konkurentów, ale z drugiej strony – nikt, albo prawie nikt, nie jest święty. Więc? Myślę, że powszechną niechęć budzą przede wszystkim owe nakazy i zakazy, którymi obwarowany jest każdy krok ernerdowskiego sportowca za granicą. Nie wolno im prowadzić prywatnych rozmów, nie wolno wieść normalnego życia,

o wszystko muszą pytać swych trenerów lub szefów ekipy, którzy – przeważnie – są po prostu policjantami w cywilu. I to właśnie wzbudza powszechną niechęć w sportowym towarzystwie, które uznaje pełny luz, pełną swobodę...

Tu nasuwa się pytanie – jak dochodzi się do sportowego mistrzostwa, do olimpijskich medali? Odpowiedź znów nie jest łatwa, ani prosta, ponieważ istnieje wiele różnych szkół i metod...

\* \* \*

W Związku Sowieckim osiąga się wybitne rezultaty – przeważnie – metodą, którą nazwałbym na swój prywatny użytek – słańsza kość pęka. Oto w oddalonych guberniach, gdzie z rzadka docierają pociągi, a kontakt z cywilizowanym światem jest nad wyraz ograniczony – trudno jest w ogóle mówić o prawidłowym szkoleniu i sportowej selekcji w pełnym tego słowa znaczeniu. Ale ten kłopot wcale nie spędza snu z powiek sowieckim trenerów. Podchodzą oni do problemu w sposób prosty – ilość musi przejść w jakość. Jeśli... powiedzmy... prawie dziesięć milionów młodych chłopców startuje w turnieju hokejowym „O Złoty Krążek”, to po latach na pewno będzie można wybrać z nich dwudziestu kilku graczy, którzy zdobędą prymat w świecie. Że większość z nich odpadnie, nie wytrzyma reżimu treningowego bez należytej pomocy medycznej?... Pech... słańsza kość pęka. W gwarze sportowej mówi się wtedy, że nastąpiło zmęczenie materiału. Zawodnik stał się odpadkiem, o który nikt rozsądny troszczyć się nie będzie. Zostają tylko najsilniejsi, przyzwyczajeni do postępu, w lot wykonujący wszystkie rozkazy. Ci otrzymują już odpowiednie odżywki, nowoczesną pomoc medyczną, najlepszy sprzęt, słowem – wszystko to, co jest niezbędne, by sprostać światowej czołówce.

Są w dość dziwnej sytuacji. Niby mistrzowie, niby mogą wieść normalne, swobodne życie, ale jednocześnie cały czas muszą uważać, by nie narażać się władzy. Jeden nieopatrzny krok i żgnętnie marzenia o sławie. Oto przykład z życia wzięty – w czasie igrzysk olimpijskich w Sapporo hokejowy mistrz przewrócił się na lód i sunąc po nim ni-

czym bobslej, nie trafił kijem w krążek, który przelatował tuż obok niego i pustej bramki. Było to bardzo trudne zagranie, z pogranicza sztuki cyrkowej. Trudne dla wszystkich, ale nie dla trenera Tarasowa, człowieka twardej ręki. Dlatego nazajutrz ekipa wielokrotnych mistrzów świata, przez cały trening, leżała plackiem na lodzie i „mieszają” kijami krążki. Kamie, bez słowa protestu!

Spróbowałyby choć mruknąć! Skończyłyby się wtedy wyjazdy zagranicę, apanaż w gotowiznie i dobrach wszelkiego rodzaju! Buntownik nie może grać w reprezentacji – najwyższe mogą go przyjąć do jakiegoś prowincjonalnego klubu oddalonego od centrum kraju. Tak, to nie żart! Cena drobnego nawet sprzeciwu jest wysoka. Czasem wystarczy mieć własne zdanie, by na długo – lub na zawsze – zniknąć z drużyny reprezentacyjnej.

Przekonał się o tym choćby Siergiej Suchoruczenkow, kolarz, który przez wiele miesięcy wygrywał każde zawody. Trener Kapitonow, dyktator sowieckiego kolarstwa, patrzył na jego wyczyny niechętnym okiem, żądał, by w niektórych wyścigach oddawał pole kolegom, pomagał im w zdobyciu pierwszego miejsca na mecie. Przez pewien czas trwały wzajemne podchody, aż wreszcie nazwisko kolarza – zniknęło z list startowych zagranicznych wyścigów. Ściągał się na Krymie, ale w ekipie reprezentacyjnej brakowało dla niego miejsca. Po dwóch latach wrócił na zagraniczne szosy, jednak nie był to już ten sam Suchoruczenkow, który potrafił samotnie „odjechać” z pędzącego peletonu...

Trener jest więc dyktatorem, kimś w rodzaju pana życia i śmierci. Może wydawać setki nonsensownych poleceń, może – jak w przypadku gimnastyczki Olgi Korbut – bić po twarzy, po nieudanym ćwiczeniu, a ty masz słuchać i nie protestować. I nie jest to koniec niebezpieczeństw, czyhających na mistrza. Musi mieć jeszcze dobre notowania w organizacji młodzieżowej lub w partii i – oczywiście – w sowieckiej bezpiece.

Sowiecki sportowiec gra o wysoką stawkę. Jeśli liczy się na międzynarodowym forum, przechodzi pod opiekunice skrzydła CSKA (klub wojskowy), lub Dynamo (klub policyjny). Dostaje mieszkanie w Moskwie, Lenigradzie lub Kijowie (teraz, po Czernobylu, Kijów nie jest wymarzonym Eldorado), pieniądze na życie i może wreszcie trenować w dobrych warunkach, z należytą opieką lekarską. Ale to szczęście spotyka tylko tych (z milionów), którzy pomyślnie przebrnęli etap – nazwany przeze mnie – słabsza kość pęka. Jedyne wybrańcy całymi miesiącami przebywają na grupowaniach szkoleniowych, obozach treningowych, jeżdżą z mitingu na miting, z imprezy na imprezę. Mają wszystko – pieniądze, popularność...

Baczny obserwator sportu z góry wie jak będzie wyglądał... powiedzmy... energowski bokser, który za chwilę wyjdzie na ring. Mógł go nie widzieć ani razu, a mimo to potrafi bezbłędnie określić jego wygląd – szczupły, wysoki, o małej głowie i rękach na pewno dłuższych od przeciwnika. Tak jest nie tylko w boksie. Enderdowska hodowla sportowych brojlerów weszła bowiem już na takie wyżyny, że potrafi przewidzieć jak za kilka lat będzie wyglądał dziś jeszcze nieopierzony kandydat na mistrza.

Zanim do tego doszło, zanim laboratorium w Lipsku zaczęło produkować całe tabuny mistrzów lekkiej atletyki, pływania, wioślarstwa, kolarstwa, boks i kilku jeszcze dyscyplin sportu, energowcy byli Kopcziuszkiem, który jeździł po naukę do Polski, Czechostowacji, do Związku Sowieckiego i na Węgry. I nagle uczniowie przesięgli nauczycieli. Dlaczego?

Mechanizmy przyciągające młodzież do sportu są niemal takie same jak u Sowietów. Jeśli chcesz mieć pieniądze i poznać trochę świata, musisz być albo partijnym czynownikiem, albo dobrym sportowcem. Jednak szefowie energowskiej kultury fizycznej nie mają takich możliwości jak ich wielki „biały brat”. Kraj mały, materiał ludzki ograniczony. Dlatego właśnie w NRD wybrano inną drogę – do sportowego wózka zaprzęgnięto specjalne instytuty kultury fizycznej i placówki medyczne. Zaczęto badać kandydatów na mistrzów pod kątem ich przydatności do poszczególnych dyscyplin sportu. Szybko ustalono jakie wymiary ciała powinien mieć biegacz, a jakie... powiedzmy... bokser i zaczęto inwestować tylko w tych, którzy dawali jakąś nadzieję sukcesu. Z biegiem czasu we wszystkich sportach, w których decydujące znaczenie mają takie cechy jak siła, wytrzymałość, szybkość i zwinność, zawodnicy NRD zaczęli odgrywać wiodącą rolę. Trochę gorzej szło im – i nadal gorzej idzie – w grach zespołowych, bowiem – powiedzmy – koszykarz czy piłkarz musi przede wszystkim samodzielnie myśleć na boisku, a tego przecież w NRD oducza się, nie tylko sportowców.

Nie wiem, jest to tajemnica pilnie strzeżona, jakie są szczegóły hodowania energowskiego, sportowego brojlera. Wszystkie wyższe szczeble wtajemniczenia są niedostępne dla zwykłego śmiertelnika. Mogę więc jedynie podać kilka przykładów, z życia wziętych, które rzucą nieco światła na ten problem...

Oto – swego czasu – polskie oszczepniczki były zdziwione faktem, że Ruth Fuchs wychodzi na rzutnię niemal tuż przed startem; bierze oszczep i bez rozgrzewki rzuca nim ponad sześćdzie-

siąt metrów. Przecież w chwili rzutu na staw barokowy działają tak ogromne siły, że bez rozgrzania go, przygotowania do wysiłku, można narazić się na ciężką kontuzję. Tajemnica została odkryta, gdy ktoś dociekliwy zajrzał do enerdownskiej szatni i zobaczył tam Fuchsa, leżącą na stole, owiniętą splotami kabli, które przy pomocy przysawek doczepiono do jej ciała. A więc rozgrzewka przy pomocy mikroprądów. Efekt ten sam, co w czasie normalnych przygotowań do startu, z tym jednak wyjątkiem, że zawodnik – rozgrzewając się – nie wydatkuje energii.

Oto wysokogórski ośrodek sportowy w Bułgarii, Baumeken, na pewno baczniej strzeżony niż kwatery główna NATO. Trenują tam pływacy NRD – każdego wieczoru pobiera się im kroplę krwi z ucha, po czym specjalny samolot wiezie próbki do laboratorium w Lipsku, zaś na drugi dzień telex wyszukuje nowe zalecenia treningowe.

Oto Olaf Ludwig, dobry kolarz, kochający wysiłek indywidualny we wspaniałym czasie, wygrywa, ale po minięciu mety specjalna ekipa medyczna zabiera go, prawie nieprzytomnego, do szatni. Gdzie te czasy, kiedy enerdownski wóz techniczny szukał w przyrodnych rowach małych próbek zawierających miksturę, przygotowaną przez polskiego lekarza dr. Rusina i nieopatrznie wyrzuconych na pobocze?

Oto druga połowa meczu futbolowego Polska – NRD w Lipsku. Polacy prowadzą, są pewni wygranej, gdyż pierwsze czterdzieści pięć minut bardzo nadzarpnięto siły przeciwnika. Ale zdarza się coś... Drużyna NRD w ciągu krótkiej przerwy odzyskała wigor, strzela dwie bramki, walczy z determinacją. Skąd ta metamorfoza? Skąd dziłkie oczy? Skąd nagły przypływ energii?

Takich i tym podobnych przykładów mógłbym podać wiele. Wszystkie na tę samą nutę. Dlatego ograniczę się do jeszcze jednego, tym razem z Bułgarii, kraju, który nie miał żadnych prawie tradycji sportowych, a jednak z chwilą nawiązania współpracy z NRD (patrz Baumeken), zaczął odnosić światowe sukcesy. Otóż jest tam sztangista, który nazywał się Sulejmanow i któremu w ramach... nazwijmy to... „odturczania” kazano zmienić nazwisko na Szałamanow. Ów młodzieniec, w wieku szesnastu lat, zadziwił cały świat wspaniałymi wynikami. Wygrywał wszystko i ze wszystkimi! Co w tym dziwnego? By odpowiedzieć na to pytanie, trzeba przede wszystkim przypomnieć, że w trosce o układ kostny zawodnika dźwigającego ogromne ciężary, sport ten wolno uprawiać od piętnastego roku życia. Po drugie – fachowiec z tej branży, były rekordzista i mistrz czyli Zygmunt Smalcerz twierdzi, że światowy poziom można osiągnąć o mniej więcej dziesięć latami normalnego, intensywnego treningu. Gdy

więc nawet przyjemni, iż Sulejmanow-Szałamanow wyjątkowo wcześniej miał dobrze wykształcony układ kostny, i że był piekielnie sposobny do podnoszenia ciężarów, to i tak zabraknie nam czterech, pięciu lat treningu. Są dwie możliwości – albo zdarzył się cud, w co śmiem wątpić, albo w dojsiu do sportowego mistrzostwa pomogły niedozwolone środki dopingujące, owe sterydy, anaboliki czyli cały arsenał medykamentów, powodujących przyrost masy mięśniowej. I ten właśnie wniosek wydaje mi się oczywisty.

Zgoda, nikt nie złapał Bułgara na gorącym uczynku, ale przecież wszyscy zorientowani w temacie, wiedzą co o tym sądzić. Przykład cudownej, sztucznej hodowli, choć na razie Szałamanow, formalnie, jest bez skazy.

Wielu jego kolegów miało mniej szczęścia. Nie chcą zanudzać Czytelników długą listą nazwisk sportowców, którzy zostali zdyskwalifikowani za używanie środków dopingujących. Byli wśród nich i lekkoatleci, i piłkarze, i kolarze, i sztangiści, i hokeiści, słowem – przedstawiciele wszystkich niemal dyscyplin sportu. Jednakże, w walce o czystość sportowej rywalizacji, wspomniane przeze mnie laboratoria medyczne przeważnie biorą górę w starciu z kontrolą antydopingową. Wiadomo bowiem, które „specjaliści” są zakazane, wiadomo też, kiedy należy przerwać „kokszowanie”, by kontrolerzy niczego nie wykryli. Przeważnie wystarczy, jeśli przez pół roku przed mistrzowskim startem zawodnik nie używa zabronionych środków. Wtedy żadna kontrola nie odbierze mu medalu...

Przeważnie... Wieść gminna głosi, że afery związana z bojkotem igrzysk olimpijskich w Los Angeles (1984), wybuchła nie tylko z powodu obrażonej dumy Sowieców, którzy chcieli zemścić się za zbojkotowanie poprzednich igrzysk, tych w Moskwie. Owa bezsensowna kampania, w czasie której pozornie poważni ludzie dowodzili, że w Los Angeles Amerykanie będą jeść na surowo sportowców ze Związku Sowieckiego i zakaszać zawodnikami z krajów satelickich, wzięła się także stąd, że gospodarze zaproponowali niezwykle nowoczesne laboratoria antydopingowe. Była to ogromna trudność dla „demoludów” i ich potężnego ojca chrzestnego. Kiedy odstawić „koks”? Pół roku, a może rok przed zawodami? Więc, aby nie doszło do kompromitacji, zaczęto – jak zwykle – mówić o obrażonej godności, wystawionym na szwank honorze i szaleńczej antysowieckiej kampanii w Los Angeles i całej Ameryce...

\*\*\*

W Polsce pierwsze, powojenne sukcesy sportowe były wynikiem pracy garstki fanatyków

i zarazem fachowców z prawdziwego zdarzenia. Takich jak Stamm, Mulak, Szelest... Ludzie ci dobrze wiedzieli jak przygotować organizm zawodnika do wysiłku, ale znali jedynie warsztat skolonowca. Stąd w polskim sporcie nie było „cudownych dzieci” karmionych „koksem”. Aby dojść na wyżyny sportowców musiał przez kilka lat ciężko pracować...

I wielu młodych ludzi tak pracowało, gdyż była to wówczas jedyna droga poznania świata, wyrznięcia zza żelaznej kurtyny. Apanaże ich nie były zbyt wielkie, ale chodzili w głorii i dorabiali sobie przywożąc zza granicy sporo poszukiwanych w kraju towarów, które sprzedawali od ręki. Pewien dawny mistrz oszczepu, silny chłop, woził zawsze tak ogromny bagaż, że celnicy – patrzący przez palce na te wyczyny – nazwali go „największym przemytnikiem w Europie Środkowej i Wschodniej”. Ten pionierski nurt utrzymał się zresztą do dziś. Była pierwsza dama naszej lekkiej atletyki ma w swym dorobku równie wielkie wyczyny sportowe, co handlowe. Bywało i tak, że w komorze celnej odbierano jej niebagatelną sumę – tysiąc dolarów, które uśiłowaa nielegalnie wywieźć. Ale potem zdobywała medal, czy ustanawiała rekord i... pieniądze jej zwracano.

By zakończyć ten temat warto jeszcze dodać, że piłkarze, którzy w styczniu 1984 roku, bez niezbędnych treningów pojechali do Indii, by wziąć udział w rozgrywkach o puchar Nehru, spowodowali – po powrocie – prawdziwy krach na czarnej giełdzie handlującej złotem. Cena szlachetnego kruszcu w Warszawie, Łodzi i na Śląsku spadła o mniej więcej, dziesięć procent.

Ale nie możliwość szmuglu jest dziś motorem napędowym polskiego sportu. Szmuglować może każdy, kto wyjeżdża za granicę. Chęć wyrznięcia za żelazną kurtynę też odpada. Więc? Dolary, marki, liry, franki – to się liczy! Jeśli jesteś dobry, to jeździsz za granicę i kasujesz nagrody w twardej walucie. A gdy uda ci się, choćby pod koniec sportowej kariery podpisać kontrakt z zachodnim, zawodowym klubem... Zielono mi! Jesteś ustawiony do końca życia...

Dlatego właśnie, choć brak jest boisk, szatni, sprzętu, choć pomoc medyczna pod psem, a używanie „koksu” grozi eksplozją – każdy wie – że dobrze byłoby zostać sportowym mistrzem. Stąd – kandydatów do stawy nigdy nie zabraknie. Problem tylko w tym, że w Polsce nie ma żadnych sprawdzonych metod, żadnych wzorów służących oparciem dla tych, którzy chcieliby dorównać światowej czołówce. Nie obowiązuje ani model sowietki, ani ernerdowski inkubator, lecz typowa improwizacja. Jakoś to będzie... I jakoś jest, bowiem potęgą polskiego sportu to dawno już przebrzmiała przeszłość.

Polskie „koksownictwo” jak przemysł o tej samej nazwie – jest przestarzałe. Probówki w Polsce dobre były jeszcze dziesięć lat temu, ale już w przypadku narciarza Łuszczka zupełnie zawodły. W kraju nie ma specjalistycznej placówki, która zajmowałaby się oddziaływaniem medykamentów na organizm sportowca. Niby dobrze, ale... Zawodnicy z konieczności, są w rękach chałtupników, ludzi bez odpowiedniego zaplecza i odpowiedniej wiedzy; „łykają” – to pewne, ale bez ładu i składu, bez planu i bez należytej kontroli medycznej. Więc komisje antydingowe dykwalifikują a to sztangistę, a to kolarza. Nie będą tu wymieniać nazwisk, bo poseł, pan Szurkowski, mógłby się obrazić. Chodzi o to, że Polacy, którzy „koksują” się znacznie mniej... np... ernerdowcy, znacznie częściej znajdują się na cenzurowanym.

Z kolei problem fachowej, rzetelnej opieki lekarskiej można by załatwić stwierdzeniem, że w Polsce w ogóle nie ma medycyny sportowej. Trudniejsze do zoperowania kontuzje (Lubański, Sukniewicz, Żmuda) leczy się za granicą (Wiedeń, RFN). Zaś doraźna pomoc polega na tym, iż chory delikwent przychodzi do lekarza i słyszy: „Jasiu, jeśli noga cię jeszcze boli, to przez dwa dni możesz nie trenować”.

Tu opowieść z hiszpańskich mistrzostw świata w piłce nożnej – w polskiej ekipie nie było fizjologa, za to znalazł się ortopeda, który był na tyle potrzebny, że w razie ciężkiej kontuzji mógłby pomóc w odwiezieniu zawodnika do szpitala. Idźmy dalej – każdy jadł i pił to, co chciał i ile chciał. Lekarz-ortopeda serwował tyle witamin, ile żądał zawodnik. Hotel – bez klimatyzacji, choć nawet nocą temperatura nie spadała poniżej 30<sup>o</sup> Celsjusza. Słowem – wielkie nieporozumienie. Nikt nie wiedział dlaczego zespół na początku był słaby, a potem nagłe odnalazł właściwy rytm gry. Jakże to typowe.

Każdy, kto widział Polaków w czasie tegorocznych mistrzostw świata wie dobrze, że nic się pod tym względem nie zmieniło. Przez pół roku mówiło się o planach, wariantach przygotowań, choć – na dobrą sprawę – nikt nie wiedział czy ekipa ma mieszkać gdzieś w górach, czy też niżej, w Monterrey. I strzeliliśmy jednego gola, tracąc siedem, męczylimy widzów, którzy patrzyli na ludzi z trudem poruszających się po skwaronym placu gry...

\* \* \*

Do niedawna nie było żadnych specjalnych barier. Wychodził na stadion ogromny, zwalisty babo-chłop czyli pani Tamara Press i pchał (pchała?) kulę o parę metrów dalej od innych. Gdy

Jednak zaczęto szczegółowo badać płęć sportowców owe – powtarzając za Konwickim – zwierozczętko-upiory szybko zniknęły z aren sportowych. Ale... Sęk w tym, że kraje, w których trudno znaleźć od urodzenia wyjątkowo silnych ludzi, zaczęły przemyślać nad hodowlą sztuczną. Tak właśnie sportowcy poczęli – użyję tu wyrażenia gwarowego – „żreć” czyli przyjmować środki, które w szybkim tempie zwiększały ich masę mięśniową. W ten sposób zrodziły się owe kolosy – nie wiadomo czy wyższy jak grubszy, czy odwrotnie, choć ma prawie dwa metry wzrostu. Ale zrodziły się także choroby – prostata, złe funkcjonowanie organów wewnętrznych, co zakończyło się – w kilku przypadkach – trwałym kalectwem lub nawet śmiercią (szwedzki dyskobol, Ricky Bruch).

Każdy, kto pamięta początki sportowej kariery Władysława Komara, jego wysoką, szczupłą sylwetkę, wie dobrze, iż późniejsze gigantyczne kształty nie wynikały z systematycznego jedzenia mannej kaszy i szynki. Ale Komar jest inteligentnym człowiekiem – chciał zdobyć medal w pchnięciu kulą na igrzyskach olimpijskich, zdobył złoty i dał sobie spokój z „koksem”. Inni zaś, ci, którzy nie umieli w porę przestać, dziś oglądają świat zza okien sanatoriów i szpitali.

Komisje antydopingowe wypowiedziały wojnę owej manii zażywania sterydów i anaboliów. Z drugiej strony – laboratoria medyczne, wspierające zawodników, na tyle opanowały zagadnienie, że najsurowsza kontrola jest bezradna. Lekarze tak dobrze znają organizmy swych podopiecznych, iż wiedzą kiedy należy przerwać „kokosowanie”, by test antydopingowy dał wynik negatywny! Słowem – nie ma sprawy, ponieważ przeważnie nie można wykryć niezgodnego z prawem działania.

Większe pole do popisu dla kontrolerów stanowiły próby zwiększania wydajności płuc lub przesuwania bariery zmęczenia. Oto fiński hokeista „sprycuje” się efedryną, a więc preparatem zwiększającym pojemność pęcherzyków płucnych, oto mistrzowie kolarzy, nie wyłączając słynnego Edy Merckxa, „tykają” medykamenty sprawające, że tuż przed metą nagle odzyskują wigor. Kolejne dyskwalifikacje i afery, a także kolejne kolarskie tragedie, bowiem mistrzowie roweru nagle wałają się na ziemię i... Jednym udało się uratować życie, inni umarli w drodze do szpitala...

Ten kłopot też już mamy z głową. „Bierziesz” tyle, ile pozwala ci lekarz, a po mnięciu lini

metry dodajesz specjalny odczynnik i z uśmiechem na ustach idziesz wysiadać się przed komisją antydopingową. Po latach wprawdzie wątroba, nerki i inne organy wewnętrzne są w opłakanym stanie, ale dziś jesteś mistrzem.

Owsem, zdarzają się wpadki, bowiem reakcje ludzkiego organizmu są trudne do przewidzenia. „Brałeś”, „tykałeś”, wygrywałeś i wszystko było w porządku. Aż do chwili, gdy komisja antydopingowa wyłączyła cię z grona czynnych sportowców. Pech, po prostu pech. Wypadek przy pracy. Organizm nagle się zbuntował...

Nie znam wszystkich zakazanych specjałów, środków pobudzających, wzmacniających fizycznie i psychicznie w obliczu ważnej próby. Nie to jest zresztą najważniejsze – liczą się przede wszystkim spustoszenia jakie „koks” czyni w organizmach zawodników. A także w psychice...

Nie wiem do jakiej kategorii mam zaliczyć tzw. doping krwi, metodę wymyśloną przez Skandynawów. Jest tak – sportowiec, w poszukiwaniu formy, wybiera się na kilkutygodniowy trening wysokogórski. Specjaliści codziennie badają jego krew i gdy dochodzą do wniosku, że ów płyn ma najlepsze (z możliwych) właściwości, zabierają zawodnikowi kilkaszt mililitrów. Krew następnie zostaje zamrożona, i dzisiejszy gladiator, tuż przed startem, dostaje ją z powrotem. Jest wówczas silny i odporny na zmęczenie. Tak wygrali Viren i Vatainen, tu tkwią przyczynny sukcesów skandynawskich biegaczy na nartach. Tą właśnie metodą posłużył się trener amerykańskich kolarzy, Borusewicz, Polak z pochodzenia, i zdobył grad medali podczas igrzysk w Los Angeles...

Gdy na rzecz całą spojrzeć chłodno – nic się nie stało, po prostu sportowiec dostał zastrzyk swej własnej krwi. Ale czy takie działanie ma cokolwiek wspólnego z zasadami fair play? Z równymi szansami dla wszystkich – skoro jedni są sztucznie napompowani, a inni „umierają” z wysiłku na trasie?

\* \* \*

Hodowla mistrzów, sportowe inkubatory, fabryki rekordów – to temat rzeka. Jest tu miejsce i na fachową, rzetelną pomoc medyczną, i na wielkie oszustwa. O grze fair dawno już zapomniano. Dlaczego? O tym w następnym numerze. ■

---

Czytelników zminiaturyzowanych wydań „Poglądu” przepraszamy za złą jakość reprodukowanych zdjęć.

Utrzymanie jakości zbliżonej do normalnego wydania naszego dwutygodnika wymagałoby dużych nakładów finansowych, na które pozwolili sobie nie możemy. ■



George Niwa

# Sołżenicyn i my

Część III

Przedstawiamy ostatnią część rozważań George'a Niwy prof. literatury rosyjskiej Uniw. Genewskiego, autora szeregu książek o rosyjskiej literaturze i kulturze, m. in. książki „Sołżenicyn” (rosyjski przekład ukazał się w 1984 roku) na temat złożonych aspektów twórczości wielkiego pisarza. Część I i II niniejszych rozważań ukazały się w 16/114 i 17/115 numerze „Poglądu”.

„Wiece” w Appenzell

Ponieważ Sołżenicyn 27 kwietnia 1975 roku na zaproszenie redaktora dziennika *Neue Zuercher Zeitung* przyjechał do szwajcarskiego kantonu Appenzell, a następnie pisał w sposób niebывale pochwalny na temat owego wzorca „starej demokracji”, nie ma więc co do tego wątpliwości, że Obodowski w tym wypadku przynajmniej częściowo wyraża poglądy Sołżenicyna. Oczywiście, że szwajcarska demokracja nie mająca w dzisiejszym wydaniu zastosowania w ogromnej Rosji, lecz przypominająca nowogrodzkie „wiece”, posiada dla Sołżenicyna pozytywę. W artykule, który – w charakterze wielkiego wyjątku – Sołżenicyn poświęcił owemu podróży, demokratyczny ideał kantonu Appenzell przedstawiony jest jako bliski jego sercu. Ten cel spodobał się Sołżenicynowi, który sam siebie nazywa „niebezwarynkowym demokratą”, dlatego iż widział, jak naród mówił „nie” prosto w oczy swoim przywódcom i poczuł, iż owa stara demokracja zrodziła się na gruncie „starych form życia w komunie”. Epizod ten jednakże jest dowodem „autorytaryzmu”, o którym Sołżenicyn niejednokrotnie mówił, np. „w piśmie do wodzów” (1973). „Autorytaryzm” byłby sam w sobie ogromnym postępem w porównaniu z totalitaryzmem i byłby samowystarczalny, co nie oznacza w najmniejszym stopniu apelu o podporządkowanie się władzy. Zupełnie przeciwnie! A elementów umiłowania wolności znajdujemy w jego twórczości bez miary! Zdwojona nieufność

ZEKA – zawsze uważa, zawsze być w pogotowiu – łączy się tutaj z buntowniczą podejrzliwością obywatela średniowiecznego wielkiego Nowogrodu lub gwałtownym protestem starowieców: raskolników przeciwko wprowadzanemu siłą, laickiemu centralizmowi Piotra I. Sołżenicyn często wychwalał owych buntowników XVII wieku, zapożyczał od nich wiele religijnych koncepcji, (w szczególności samoograniczenie – patrz jego artykuł pt. „Spod bloków”). Jasne jest: jest to stały komponent jego religijnego i politycznego światopoglądu, o którym liczni jego zwolennicy często po prostu zapominają.

„Dążenie do bohaterstwa i wiary”, starej wiary, prześladowanej i bronionej z niesamowitą energią – oto co czyni sympatycznym dla Sołżenicyna bolszewika, który gra ważną rolę w *Sierpniu 1916* i prawdopodobnie zajmie jeszcze bardziej ważne miejsce w dalszym ciągu. Jest nim Aleksander Szlajpnikow, przyszły lider „robotniczej opozycji”, który zginie w Gługu gdzieś w 1940/41 roku. *A wiara ta była – staroprawosławna – wówczas jeszcze ściganą ją, lecz prawdziwi prawosławni stali za nią murem i Aleksander, jak inni, gotów był – umrzeć. Prześladowania zostały zawieszane, za wiarę nie można było cierpieć, a kto był ..., to wchodził w układy z władzą, siła młodzieży skierowała się na inne drogi. Aleksander poszedł do socjaldemokratów. Wszystko jakby się odmieniło, a prześladowcy, a wrogowie – są wciąż ci sami, czyżby z drugiej strony? W ten sposób pisarz wyjaśnia „stosunek” starowiecra do bolszewizmu, co wskazuje, że rewolucja dla Sołżenicyna nie jest całkowicie produktem z importu. Nie obcy jest mu urok buntu, zawsze stoi po stronie prześladowanych, szczególnie z przyczyn religijnych. Ci, którzy zarzucają mu dążenie do rządów dyktatury, powinni przeczytać uderzający rozdział 12 części *Archipelagu Gula* – pod tytułem „40 dni Kengira”. 40 dni zamroczenia powstaniem – tu Sołżenicyn tworzy zadziwiający, epicki hymn armii więźniów uzbrojonej w pałki i piki. (Rozdział ten ma tak wyrotowy charakter, że autor poczuł się zmuszony włączyć objaśnienie do amerykańskiego wydania oraz odciąć się od współczesnego terroryzmu...)*

Ekolog o charakterze religijnym

Ostatni zarzut dotyczy problemu postępu. I tutaj Sołżenicyn znów gładzi Zachód pod włos. Jest namiętnym obrońcą ekologii, domaga się wydania zakazu używania silników cylindrycznych, przejścia na motory elektryczne, zakazu używania samochodów w miastach (sam nie znosi szumu), powrotu do drobnej wytwórczości, rozwoju miast

średniej wielkości (typu Irkucka, Tomska, Saratowa, Jarosławia, Kazania). Stwierdza: *Współczesna centralizacja wszystkich rodzajów duchowego życia jest potwornością, zabójstwem ducha*. Proponuje zreformowanie szkół, mówi o konieczności podwyższenia pensji nauczycielom, o tym, że powinni być oni bardziej wolni. Krótko mówiąc, przyszedł czas, aby dźwignął sztandar jakiejś zachodniej partii. W związku z tym, że jego poglądy na ekologię łączą się nierozwalnie z poglądami religijnymi, są niezrozumiałe i niedoceniane... Sołżenicyn, ekolog, zwolennik ograniczenia użytkowania dóbr materialnych jest tym niemniej zdecydowanym stronnikiem własności. Z jego punktu widzenia grzechem starej Rosji było to, że niecałkiem uznawała ona własność za „podstawę życia jednostki”. Ten wyraźny, arystotelowski punkt widzenia – kontrastujący z tradycyjną rosyjską pogardą pieniędzy i ich użyteczności – stawia Sołżenicyna w szeregu stronników państwa mieszczańskiego z ustawami dającym każdemu prawo do uczciwego bogacenia się poprzez pracę. Dysantuje się on tutaj do samobiczowania tyłu Rosjan (Tołstoj!), lecz cóż z tego (zaskarbia sobie tym samym sympatię liberałów). Sołżenicyn zrzęczył autorskich praw do *Archipelagu*. Tołstoj zrobił to samo w stosunku do *Zmartywychstania*. Lecz kogo to obchodzi! Znaczenie takich kroków jest zupełnie niedoceniane i w teczce z wycinkami z prasy o Sołżenicynie znaleźć można zadziwiająco ilość drobnych złośliwości odnośnie jego posiadłości w Cavendish, lub „tysięcy pesos za zdradę”, które jakoby otrzymał od Pinocheta.

Sołżenicyn deneruje czytelników zachodnich latów, że wielu z nich nie jest w stanie zaakceptować jego poglądów, które dla liberalnego, zachodniego intelektualisty są pozycjami innowiera.

Sołżenicyn neguje tezę o rosyjsko-sowieckiej spuściźnie, tezę, którą wysuwa większość amerykańskich historyków, lecz przeciwko której zdecydowanie protestują niektórzy emigracyjni uczeni, jak na przykład Michał Heller w swojej ostatniej książce *Maszyna i Śrubki*. Negując tę tezę Sołżenicyn w swojej twórczości próbuje powiązać w jedno przerwane nici rosyjskich okresów historycznych. Spuściźnie widzi nie w działaniach politycznych, lecz w duchowych archetypach (sprawiedliwi z opowiadania *Chatupa Matrony*).

Jako przeciwnik tezy o konwergencji chciałby, wydaje się, jeszcze bardziej rozwalić i tak już „rozwalony świat”, a sam oskarża niektórych amerykańskich przywódców, że gotowi są spokojnie roztrząsać w swych planach zniszczenie rosyjskiego narodu. Komunizm włącza do bardziej szerokiego prądu myśli, które odrzucały duchowe

zaczątki, pozbawiły człowieka odpowiedzialności, to znaczy integruje go w historię niewiarę (tu widąc wpływ jego przyjaciela Szafarewicza).

Jest on zdecydowanym antykomunistą, naturalnie nie agituje do powstania przy użyciu siły, bardziej do pewnego osłabienia totalitaryzmu. Być może myśli również o „uspokojeniu” jak na przykład w *Październiku 1916*: zwykle ludowe wyrażenie brzmi – nigdy nie „zwycięstwo”, nigdy nie „pokój”, lecz – *uspokojenie* (zamirjenje przyp. tłum.). *Naród rozumie tylko to jedyne wyjście, w którym nie rozróżnia się ani zwycięstwa, ani porażki, ani remisu*. Abstrakcyjny uniwersalizm zawsze domaga się zwycięstwa, chłopski tradycjonalizm uznaje natomiast nieustawowe pojednanie...

Sołżenicyn broni w końcu duchowego prawa Rosji do inności dowodząc, że nie ma ona żadnego obowiązku dołączania się do zachodniego modelu – liberalnego i wyłącznie legalistycznego.

*Badając chińską, tajlandzką lub jakąkolwiek afrykańską historię i kulturę uważa się, że należy oczywiście okazywać szacunek jej odrębności (albo inności), a w stosunku do rosyjskiego, wschodniego chrześcijaństwa o tysiącletniej tradycji, wielu zachodnich badaczy odczuwa wyłącznie pogardę i zdziwienie: dlaczego ów dziwny świat, cały kontynent, ciągle nie akceptował zachodniego światopoglądu i nie wszedł na przeciw tak jawnie lepszą, drogę zachodnich społeczeństw? Rosja zdecydowanie sądzona jest za to, w czym nie jest podobna do Zachodu. Oto w czym tkwi źródło niezrozumienia. Nie „inna”, nie „europejska” jest owa Rosja, jak ją pojmują Sołżenicyn, nie posiada żadnych lepszych stron: ani tej, aby być jednym z komponentów różnorodnej i całościowej Europy, w której, według skrzydlatego wyrażenia Burckhardta, „spotykają się sprzeczności”, ani tym, aby być specjalną, etnicznie homogenną jednostką, mającą prawo nie tylko do szacunku ale i do „konwersji etnologii”. Problem jest stary, lecz pojawia się dzisiaj z nową wyrazistością.*

W 1980 roku Sołżenicyn wszedł w szranki z liberalną amerykańską opinią publiczną, a zwłaszcza z amerykańskimi historykami, zajmującymi się Rosją. Rzucił się do ataku na najbardziej znanych specjalistów, na Richarda Pips'a, za jego książkę *Rosja pod starym reżymem* i Roberta Tackera, za jego książki i artykuły o Stalinie i stalinizmie. Polemika rozpała się w trzech pod rząd numerach czasopisma *Foreign Affairs*. Sołżenicyn z jednej strony protestował przeciwko odmowie przyznania Rosji odrębności tylko dla niej charakterystycznego życia duchowego, które stworzyło takich pisarzy jak powiedzmy Leskow, nie uznany i nie przyjęty za granicą, a z drugiej strony Sołże-

nicy nie przyjął określenia stalinizmu, jako pomieszania bolszewizmu i odrodzonych, starożytnych cech Rosji.

Zrozumieć Sołżenicyna tutaj jest trudno i być może jest on nawet sprzeczny. Dlatego też, ponieważ niemożliwe jest identyfikowanie jego Rosji z tradycyjną bojaźnią „rosyjskiego wędrowcy”, ukazuje on Rosję pracującą, energiczną a nawet upartą. W *Kręgu Pierwszym* w rozmowie Nierżyna z artystą Kondraszowem, przed płótnem Kondraszowa, mówi się o owym paradoksalnym zmieszaniu „energicznej bojaźni”, w której Sołżenicyn widzi oryginalność rosyjskiej duszy. I owa energiczna bojaźń w zasadzie odpowiada jego politycznemu programowi, świadomie i dobrowolnie minimalnemu.

Czas przyznać, że Sołżenicyn pochodzi jakby z jakiejś drugiej Europy: Europy oddzielonej od nas i prawostawiam, i autokracją, i bolszewizmem i doświadczeniem koncentracyjnych obozów. Zupełnie niekonieczne jest akceptowanie jego wszystkich poglądów, szczególnie odnośnie Zachodu, aby zaakceptować jego inność oraz potrzebę jego wystąpienia. Jego umysł jest głęboko racjonalistyczny, woluntarystyczny. Z naszych kulturalnych, antycznych tradycji przejął żywy smak energii samowychowania, negowania rządu i władz. Ukształtował się w Gułagu: tam spotkał w książkach i opowieściach pośredników – Francis’a Bacona i La Boessa reminiscencje, które dźwięczą w jego książkach, Dostojewskiego i Saławiowa. Wydaje mi się, że jego dyscyplina, empiryczny sceptycyzm, stoicyzm w żaden sposób nie mogą prowadzić do potoku zbyt pochopnych oskarżeń odnośnie tego, że jest „prorokiem” „rosyjskim Chomeinim”, a tym bardziej stronnikiem „protokołów mędrców Syjonu”. Czas przyznać, że Sołżenicyn nie mieści się w ramach naszych gotowych schematów i dążąc do sądenia go za jego wszystkie kontrowersyjne grzechy, my sami grzeszymy przeciwko niektórym współpowiązaniom. Ów ultranacjonalista apeluje do Rosji, aby zajęła się swoimi własnymi sprawami i zrezygnowała z niepotrzebnych jej terytoriów. Ów „autorytarysta” domaga się dla Rosjan swobody sumienia. Ów teokrat jest stoikiem wierzącym wyłącznie w samowychowanie. Ów prawostawny jest libertyncem sympatyzującym z odłamem staroświeców. Ów człowiek wschodu ma na groź nie wierzy w fatalizm i twierdzi, że trzeba bez przerwy „uczyci dobrą” i walczyć przeciwko dobrowolnemu niewolnictwu. Ów moralista jest „liberaltem” w sprawach ekonomii i restauratorem włas-

ności. Trudno jest bez końca podejrzewać Sołżenicyna o naiwność, faszyzm, obskurantyzm lub antysemityzm, lepiej byłoby posłuchać jego głosu takim, jakim on rzeczywiście jest. Jak najbardziej rosyjskim głosem, który pojawił się po Tołstoju. Jest to głos Rosji, zupełnie nie takiej, jak my ją sobie wyobrażamy, Rosji, która widzi się sama w procesie pracy, doświadczeń empirycznych, Rosji, która jednoczy wszelkie idee, Rosji, która jest chrześcijańska, nie będąc teokratyczną, chamską lub obskurantką, lecz bazuje na prośbie i skrusze. Głos Sołżenicyna jest głosem europejskiej, chrześcijańskiej lecz nie katolickiej wiary, która odrodziła się po niesamowitych prześladowaniach, w których Cerkiew prawie że została zniszczona. Jeszcze jest to głos podejrzliwego Zeka, człowieka, który sam wychował się jeśli chodzi o historię, religię, politykę, dla którego parlamentarna demokracja oznacza osiem miesięcy w życiu narodu i konsekwencje bezsensownej wojny (lutypaździernik 1917 roku) i kres marzeń w bliskiej przyszłości – posiadania rządu, który by rządził trochę mniej.

Sołżenicyn, który przyszedł z innej Europy, dla którego określony formalizm naszych społeczeństw był obcy, który urodził się w Gułagu lecz zahartował się w będącym częścią naszej zachodniej spuścizny stoicyzmie, nie Sołżenicyn, a głos Sołżenicyna drażni i jest to fakt oczywisty. Wielu z jego sympatyków nie zadaje sobie trudu uważnego słuchania i czytania go. Akceptując samą ideę rosyjskiej specyficzności bezliźnie odrzucają oni jego głos.

Pozostała najważniejsza sprawa: kogo reprezentuje Sołżenicyn oprócz tego, że reprezentuje samego siebie? Istnieje owa druga Europa, w imieniu której występuje? Nie, mówią jedni. A Matryona – czy to jest mit czy atawizm? Aleksander Zinowiew w *Żółtym Domu* wyżywa się nad tym zjawiskiem i przekształca go w sowiecką megere o imieniu Matrenadura... Tak, odpowiadają inni – głosy z samej Rosji. Nie mam zamiaru wnioskować z tego, że głos Sołżenicyna reprezentuje dzisiejszą Rosję. Mogę jednak powiedzieć, że ów zadziwiający opór właściwy pewnej części Zachodu, ma sam w sobie sens i jest dowodem na to (z drugiej strony), że ów głos domagający się koniecznych zmian dzisiejszego duchowego status quo, żądający rezygnacji w imię naszej cywilizacji, pobudza te siły, które mu się sprzeciwiają.

Koniec

Tłumaczył KED  
za „Oboznienie” nr 17/85

# RECENZJE OMÓWIENIA POLEMIKI

Krzysztof Drawski

## Wszystko inaczej

Najnowsza i — jak zapewnia autor — ostatnia powieść Stefana Kisielewskiego *Wszystko inaczej* doczekała się już kilku recenzji, przy czym największe zdumienie może budzić fakt, że jedna z nich opublikowana została w *Polityce* i to pomimo, iż książka popularnego Kisielewskiego ujrzała światło dzienne w emigracyjnym *Puls Publications*. Autor recenzji, ulubiony przez szeroką publiczność niemal na równi z Urbanem redaktor Daniel Passent, we wcześniejszym numerze poczytnego warszawskiego tygodnika napisał swoją pochwałę cenzury. Oto jej zakończenie: *Kiedy z latami nabrałem doświadczenia i od czasu do czasu zamyślałem o mnie artykuł jakaś redakcja zagraniczna, czułem się początkowo nieswojo, wysyłając go bez ocenowania, na własną odpowiedzialność. Nie ulega bowiem wątpliwości, że o cenzurę, jak o kałużę ścianę, można się przynajmniej oprzeć, a bez niej trzeba samemu utrzymywać równowagę. Jak kto ma zaburzenia błędniaka — a Passent widać ma, co nie wróży długiej kariery — to niech się wspiera cenzurą. Kisielewski jakoś daje sobie radę bez tej podpórki. Można się z nim zgadzać, albo nie, ale można być jednego pewnym — że myśli samodzielnie, czego o Passencie nie da się powiedzieć nawet w żartach. Cóż — dyskutując z Kisielem, dyskutuję z człowiekiem, z suwerenną osobą. Podejmując polemikę z Passentem gadam do ściany, o którą się opiera. Wolę to pierwsze.*

Passent, oczywiście, książki Kisielewskiego nie recenzuje. Passent książki Kisielewskiego używa — do ataku na Michnika i Kościół, opo-

zycję i „Solidarność”. Przekręca przede wszystkim założenia artystyczne autora (drobiazg, prawda?) mówiąc, że autor zamierzał napisać „powieść z dygresjami”, gdy tymczasem (oto zgrabnie, typowe dla Passentów przesunięcie akcentów), Kisiel od początku mówi o „powieści dygresyjnej”, czyli dygresji zbudowanej od początku do końca. Ale w końcu Passent na literaturze i tym bardziej na genealogii (czyli nauce o gatunkach literackich), znać się nie musi. Gorzej, że cała ta, pożałuj się Boże, recenzja, pisana jest przy pomocy podobnych przekręceń, przeinaczeń, przemilczeń, wyrywania zdań z kontekstu, odwracania sensów — a więc całego znanego już repertuaru chwytów komunistycznej propagandy. Iście marksistowska dialektyka. Ale i to nie dziwi.

Swą pieśń pochwalną na cześć cenzury zatyłował Passent *Uświadomiona konieczność*. Czyli — po marksistowsku — wolność. Cenzura jest wolnością — oto co nam sugeruje czołowy publicysta *Polityki* przebywający od czasu do czasu na gościnnych występach w *Die Zeit*, facet, któremu polska racja stanu myli się z imperialnymi interesami Moskwy. Felieton o książce Kisielewskiego służy wyartykułowaniu jednej tylko tezy Passenta — i „pod nią” dopiero cytaty z powieści: *Mimo całej antykomunistycznej retoryki jest ta książka*



*niezamierzonym przyznaniem, że opozycja nie posiada dla Polski realnego programu. Inaczej mówiąc: nie ma dla Polaków innej alternatywy niż życie w komunizmie, a polscy komuniści ocacili nasz byt państwowy i narodowy. To już nam mówił Berman zmywając w międzyczasie krew z rąk, które sobie poplamił jako oprawca żoźnierzy AK.*

Passent nie musi sobie zmywać krwi z rąk. Na obecnym etapie to by było nieeleganckie, on jest Europejczykiem, pisze nawet do zagranicznych gazet. Jest też realistą. Ale, co kto nazywa realizmem? – oto pytanie. „Realizm” Passenta czyni z Polski wiecznego wasala Sowietów, półkolonię, folklorystyczny zakątek w „przywislanskom kraje” wschodniego imperium. Ja ośobiście za taki „realizm” dziękuję. I nie ja jeden. Kisielewski również. Jego wysiłek myślowy poświęcony jest nie uzasadnianiu konieczności niewoli, ale poszukiwaniu dróg do wolności. To trudniejsze, ale intelektualnie bardziej pasjonujące i stwarzające jednocześnie szanse nowych rozwiązań politycznych. I nie jest prawdą, że książka ta zajmuje się przyznawaniem, iż opozycja nie posiada dla Polski realnego programu. Ten problem został przez Passenta w m ó w i o n y Kisielewskiemu – a metoda wzmówień należy do żelaznego repertuaru chwytów komunistycznych „dyskusji”.

Kisielewski – i owszem – poddaje ostre krytyce postawy i zachowania polskiej opozycji. Jest to książka – mimo świetnego, choć wisielczego niekiedy humoru – gorzka i sarkastyczna, zmuszająca do refleksji. Postępuje Kisiel zgodnie z zasadą, że pisarz nie ma chwalić i afirmować, lecz przede wszystkim wskazywać słabe punkty, ostrzegać i rozdrapywać rany. Prawdziwy patriotyzm to przede wszystkim zdolność do demaskacji i zachowania dystansu. I to właśnie stanowi najmocniejszą stronę najnowszej powieści Kisielewskiego.

Autor z lekkością, zachowując absolutną niezależność wyszydza i wykpiwa patriotycznociępiętnicze pozy zarówno emigracji, jak opozycji krajowej. Ale z równym zapałem demaskuje głupotę i zadufanie w siebie komunistycznych bonzów: *Krótko mówiąc – pisze – komuniści źle kończą, to jest ich kara za lata władzy absolutnej, niewybieralnej, nie kontrolowanej, w normalny ludzki sposób niezmiennalnej, przy tym sprawowanej w tajemnicy, bo któż to wie, co i jak oni tam na górze kombinują, knują, szepczą? Ciekawe jednak, że o żelaznej prawdziwości tego co ich czeka nigdy z góry nie wiedzą. Bardzo był zaskoczony i Bierut, i Gomułka, i Gierek, do głowy im nie przychodziło, że z tak wysoka można spaść tak nisko – z przedwznu lekkomyślnością nie*

*zadali sobie trudu przestudiowania dziejów własnej partii.*

Rozdaje Kisielewski ciosy po równo władzy i opozycji, Kościółowi i „Solidarności”. Sam umieszcza się w pozycji obserwatora (a obserwator nie jest powołany, co może warto Passentowi uświadomić, do układania programów), który z perspektywy swego wieku i pozycji (użera się z czerwonymi od początku ich pojawienia się w Polsce – zajadle i konsekwentnie), pragnie uchwycić w formie powieściową chaos polskiego życia. I tu dopiero wyłania się istota zamysłu pisarskiego, artystycznego. Oto – zdaje się powiadać Kisielewski – powieść o Polsce współczesnej, taka powieść, do której wszyscy jesteśmy przyzwyczajeni przez tradycję XIX-wieczną, napisać się nie da. Formę narzuca literaturze życie. A w polskim życiu wszystkie wątki tworzą wielkie, trudne do rozplątania kłębówisko. I nic dziwnego zatem, że pójście tropem któregośkolwiek z nich – np. tropem życia bohatera powieści *Wszystko inaczej* – musi doprowadzić do nieustannego odchodzenia na boki, mieszania fikcji z rzeczywistością, popadania w dygresje.

Kisiel jest mistrzem dygresji, podobnie jak jest mistrzem felietonu. W ostatniej jego książce jest mnóstwo, zawartych w dygresyjnych opowiadaniach, świetnych portretów ludzi – Adama Mauersbergera, Adama Michnika, Jerzego Giedroycy, Stanisława Cata-Mackiewicza i innych.

W związku z tym ostatnim przytacza Kisielewski pyszną anegdotę: *tenże Mackiewicz zadzwonił kiedyś do mnie o dwunastej w nocy, jak to miał w zwyczaju i woła: – Słuchaj, czy ten wasz szef zwariował, co on za bzdury wyrabia? – Jaki szef? – pytam zdumiony. – No, ten Jan XXIII. – Cóż takiego zrobił papież? – pytam coraz bardziej zdziwiony. – Jak to co? Skasował świętego Jerzego. Czy on nie wie, kto to jest święty Jerzy? Patron Litwy, patron Anglii, kawał tradycji i historii. – No dobrze – mówię – ale podobno okazało się, że święty Jerzy w ogóle nie istniał. Zaś Mackiewicz na to: – Cóż z tego? A Pan Bóg istnieje? Przewrotności i śmiałości tej anegdoty nie trzeba wyjaśniać, jest doskonale czytelna.*

Podobnych anegdot i opowieści jest w owej książce więcej. One wyznaczają rytm jej lektury, jej smak. Ale nie tylko one. Być może znajdzie się kiedyś zbieracz, który wyłowi sentencje i aforyzmy rozrzucone w twórczość Stefana Kisielewskiego. W powieści *Wszystko inaczej* jest ich mnóstwo. Choćby ten: *Prawdą, całą prawdą jest w istocie to, co pozostaje nienazwane. Lecz na zewnątrz żyjemy w niewoli nazw. Lub z zupełnej innej dziedzin, w innym też stylu: Mądry u nas jest tylko ten, co potrafi nie nastawiać komunistom dupy do*

bicia. Tej też mądrości należy nadal życzyć autorowi a także jego, miejmy nadzieję, licznym czytelnikom. ■

Stefan Kisielewski *Wszystko inaczej*, Puls Publications, Londyn 1986, str. 244 ■

Wiktor Grotowicz

## Balans artystyczny

Życie artysty pod rządami reżymu nie jest łatwe, szczególnie w reżymie komunistycznym. Nie znaczy to oczywiście by inne despotycje w sposób bardziej delikatny traktowały artystów, którzy już z powodu swojego powołania do tworzenia rzeczy nowych i w miarę niezależnych, automatycznie podpadają tej czy innej żelaznej pięści. Trudniejsza sytuacja artysty w komunizmie wynika tak ze „słabej”, natury ludzkiej, jak i z „rośnącej w siłę”, natury samego komunizmu. Oba te zjawiska zostały już dokładnie opisane, a niezorientowanym należy polecić lekturę Fromma *Ucieczka od wolności z jednej strony i Archipelag GULag* Sołżenicyna z drugiej. Krótko mówiąc: w reżymie na przykład faszystowskim, artyście jest łatwiej nie dlatego, że druty otaczające obóz są mniej kolczaste, a pałka policyjna bardziej miękka, ale dlatego, iż, nie jest on wodzony na pokuszenie „trzeciego wyjścia”, a, jak wiadomo, artyści lubią być kuszeni. U faszystów albo się jest artystą oficjalnym, głoszącym i wspierającym swym nazwiskiem prawdy padające z trybuny, albo próbuje się pisać prawdę własną, za co grozi pułdo albo emigracja. W komunizmie (komunizm w wydaniu europejskim), to drugie rozwiązanie stosowane jest raczej rzadko, natomiast legion „trybunowych” artystów jest przeogromny.

Dla tego jednak, kto upierałby się przy bardziej tradycyjnym pojęciu słowa „artysta” nie chcąc jednocześnie rezygnować z kojącego pomruku aprobaty rządzących i pokłasku rządzonych, komunizm przygotował trzecie wyjście, będące bardzo wyrafinowaną mieszanką dwóch poprzednich. Mieszanka musi być stale utrzymana w góry ustalonej proporcji, a każde, najmniejsze

nawet wahnięcie w tę czy w inną stronę powoduje natychmiastową reakcję podrażnionej władzy albo rozczarowanie publiczności. Nie należy się więc dziwić, iż tylko nielicznym udaje się arcytrudna sztuka bycia artystą „trybunowym” i jednocześnie popularnym, w pozytywnym tego słowa znaczeniu. Przymiarek do tej roli wykonano na przestrzeni siedemdziesięciu lat istnienia komunizmu nieprawdopodobnie wiele, jednak zazwyczaj kończyły się one katastrofą, w której ulegał albo człowiek, albo artysta. Większość nieudaczników lądowała zazwyczaj po stronie „trybunowców”, nielicznym tylko udaje się zachować cnotę powołania, a jeśli już, to za cenę wolności czy wygnania.

Mistrzem nad mistrzami w tej kategorii jest radziecki poeta, pisarz, reżyser i, last but not least, ekwilibrysta – Jewgenij Jewtuszenko. Jego popularność w ZSSR nie maleje właściwie od drugiej połowy lat 50-tych, a i za granicą jest on nieustannie chwalony, przymiotnikami szokującymi nie tylko tych, którzy znają zasady gry „trzeciego wyjścia”. W roku 1985 *New York Times* napisał, iż Jewtuszenko jest „najznakomitszym żyjącym poetą świata”, a rezonans jego utworów na Zachodzie potwierdzany jest raz po raz wznowieniami tego czy innego tomiku wierszy, zaproszeniami na różne zjazdy i kongresy. Także w Polsce nazwisko Jewtuszenki kojarzone jest raczej z nieopostusznosścią i odważną poezją niż służalczością i przeciętną liryką.

Krytycy są raczej zgodni co do artystycznej wartości utworów Jewtuszenki. Najlepiej oddają to słowa pisarza szwedzkiego Larsa Gustafssona: „Rytm (w poezji Jewtuszenki – przyp. W. G.) wydaje się być określany raczej przez warunki techniczne megafonów niż istotę sztuki poetyckiej. W każdym razie do rzadkości należy, by tak wyraźnie marny, bez wyrazu poeta, zdobył taką sławę”.

Opinię tę potwierdzają nie tylko naznaczone raczej średnim talentem wiersze Jewtuszenki, ale także, czy przede wszystkim, droga jaką przebył od małej zapadłej wsi syberyjskiej po marmurowe salony Kremla i sale odczytowe we Frankfurcie nad Menem czy Nowym Jorku. Urodzony w 1933 roku mały „Szeńka”, jak poufale pozwala się nazywać czytelnikom „największy żyjący poeta”, naznaczony został przez naturę różnorodnymi talentami, z których, jak sam pisze we wspomnieniach, najbardziej dały znać o sobie talent poetycki i talent kopania piłki. Właściwie to Szeńka chciał zostać bramkarzem, a na drogę sławy poetyckiej popchnął go alkohol – pewnego razu przyszedł pijany na trening, za co został wywalony z drużyny na zbytej auktor, jak to dziś z uśmiechem opowiada autor dziełka „Zdychaj zimna wojno!”. Bardzo szybko odkrył Szeńka

jedną z najważniejszych prawd torujących drogę na szczyt – poprawne rymowanie bardzo rzadko prowadzi do sukcesu, przede wszystkim trzeba wiedzieć co i kiedy rymować. I tak w czasie chruszczowskiej krucjaty przeciwko pozostałościom stalinowskim Szeńska zrymował wiersz po tytule „Dzieciactwa Stalina”, w którym zgodnie z myślą przewodnią I Sekretarza snuł ponure wizje zmartwychwstania Generalisimusa i zniszczenia dzieła odnowiciela Chruszczowa. I Sekretarza tak zauroczył ten wierszyk, iż kazał go wydrukować w *Prawdzie* w dniu wykopywania resztek Ojca Narodów ze świętego mauzoleum na peryferie miasta.

W końcu lat 50-tych drukuje Jewtuszenko parę innych utworów, które zapewniają mu, z jednej strony, uznanie rządzącej wierzuszki („Dzieciactwa Stalina”), jak również popularność w narodzie („W całej Rosji zamiera strach”), a także za granicą (atakujący rosyjski antysemityzm „Babi Jar”), gdzie zaczęto go uważać za jednego z odważniejszych i pokojowo myślących sowieckich pisarzy, próbujących przezwyciężyć skutki zimnej wojny.

Ale Szeńska był jeszcze młody i dopiero na początku drogi do mistrzostwa świata w balansowaniu polityczno-artystycznym. Sława uderzyła mu do głowy jak niegdyś wódka na boisku, i o mały włos nie wyleciał także i z tej ligi. Ogłosił bowiem na początku lat 60-tych w zagranicznym wydawnictwie coś na kształt autobiografii *Bez zgody organu*. Szybko sprowadzono go na ziemię. W partyjnej prasie, jak zwykle w takich przypadkach, zrobiono „szeroko zakrojoną” nagonkę na autora. Szeńska szybko wrócił do kraju i złożył bardzo przekonującą samokrytykę.

Koniec lat 60-tych i początek 70-tych to szczytowe momenty w ekwilibrystycznej karierze Jewtuszenki. Po odzyskaniu łaski i wpływów dokonał on mistrzowskiego posunięcia. W czasie inwazji na Czechosłowację wysłał telegram do Breżniewa, w którym obecność wojsk sowieckich w CSRR nazwał „tragicznym błędem”. Postarał się też o to, by telegram, a szczególnie ów „tragiczny błąd” dotarł gdzie trzeba, czyli do zachodnich intelektualistów gardzących w tym czasie między innymi przeciwko szkalowaniu ZSSR wypowiedziami o obozach koncentracyjnych. Kontrpomisem było kilka utworów na partyjne zamówienie, jak na przykład wierszowane dzieło w stulecie urodzin Lenina czy też wiersz o konflikcie granicznym z Chinami („Czerwony śnieg nad Ussuri”).

By wyrównać balans Jewtuszenko telegrafuje ponownie pod ten sam adres. Powodem jest pozabawienie obywatelstwa Sołżenicyna. Po tym ge-

cie Szeńska otrzymuje lekkiego kopa, jako że nie-represjonowany artysta traci automatycznie na wiarygodności i zostaje zakwalifikowany do „trybunowców”, co w sposób zasadniczy obniża jego propagandową skuteczność. Przesunięto więc o kilka miesięcy wielką arcyzłotyść telewizyjnego uczczenia 20-lecia pracy artystycznej Jewtuszenki. Po 9 miesięcznej alicji przerwie uroczystości emitowano z rozmachem i pompą, jakby Sołżenicyna i telegrafisty Szeńska nigdy nie było.

Od tego czasu pozycja Jewtuszenki została ugruntowana. Pole wolności zwiększało się wraz z jego wpływem na zachodnich intelektualistów, którzy zaczęli nazywać go „ministrem spraw zagranicznych poezji sowieckiej” i nadal czcić jako „dobrego Rosjanina”, który chce uratować pokój na świecie. Rozszerzenie pola swobody nie oznacza oczywiście, że Szeńska po raz drugi stracił głowę. Na to był już zbyt doświadczonym balanserem. Nie musiał też, jak na początku kariery, uciekać się do ryzykownych posunięć takich jak telegramy. Wystarczyło, że od czas do czasu na jakimś kongresie skrytykował sowiecką biurokrację czy nowo-mowę, a przedruki tych krytyk w partyjnych dziennikach rozpowszechniały w narodzie mit „niepokornego” Szeńska. Oczywiście dla zachowania balansu musiał też niekiedy przechylić się i w drugą stronę, jak na przykład w rzwanej balladzie o mamusi po odkryciu przez Amerykanów bomby neutronowej. Ballada nosiła tytuł: „Mama i bomba neutronowa”.

Doświadczenia z poezji przeniósł Jewtuszenko także do filmu. Ta dziedzina sztuki pociągała go od bardzo dawna. Nie obeszło się też od politycznego faux pas. W roku 1962 chciał Jewtuszenko zagrać w filmie Passoliniego „Ewangelia św. Mateusza” główną rolę, jednak Chruszczowowi nie przypadł do smaku pomysł, by sowiecki poeta drukowany w dodatku przez *Prawdę* grać w kapitalistycznym filmie Jezusa Chrystusa. Zdecydowane „nie!” na długo ucięło karierę filmową Szeńska. Nie zapomniał on jednak o swej młodzieńczej pasji i w roku 1984 nakręcił wspominkowy film z dzieciństwa pod tytułem „Przedszkole”. Film jest sentymentalnym propagandowym kiczem, który jednak nie przeszedł niezauważony na Zachodzie. Zakupiła go między innymi zachodnioniemiecka telewizja i po pierwszej emisji w lokalnym programie ma zamiar przygodami Szeńska uraczyć całą RFN. Tylko komercyjny Hollywood nie poznał się na arcydziele, co reżyser skomentował słowami, iż w USA panuje „cenzura pieniądza”, a jego dzieło stoi na tak wysokim poziomie, że nie uda się go sprzedać ograniczonym Amerykanom.

Kariera Jewtuszenki jest czymś wyjątkowym, właściwie niespotykanym w swoim wymiarze.

Uzyskanie przezeń i utrzymanie przez długie lata równowagi między zadowoleniem i łaską władzy, a popularnością u publiczności tak u siebie w kraju jak i za granicą dowodzi, iż także ZSSR, jeżeli nie jest, to przynajmniej bywa, krajem nieograniczonych możliwości.

Talenty ekwilibrysty Jewgenija Jewtuszenki nie pozostały bez nagrody, tej najważniejszej, najbardziej cennej dla każdego linoścokczka, któremu się powiodło. W roku 1983 w dniu 50-tych urodzin za całokształt osiągnięć w balansowaniu polityczno-artystycznym oraz za „zasługi w rozwijaniu radzieckiej literatury” otrzymał Jewtuszen-

ko ORDER CZERWONEGO SZTANDARU. Przyjęcie urodzinowe odbyło się na moskiewskim stadionie olimpijskim, gdzie ponad 12 tysięcy studentów i artystów (samiych z siebie, nie z urzędu), widzów witaowało na cześć „najznakomitszego poety świata”. A szacowny jubilat kłaniał się, dobrodusznie uśmiechał i niezmiernie skandował do mikrofonu owoce swojego talentu. Trybuny zamierały w słuchanie w gładko rymowane strofy wybuchając od czasu do czasu burzliwymi oklaskami, a między rzędami dawało się posłyszć kojący szep: „Artysta w łasce, w łasce, w łasce...” ■

## Z Rzymu... Marek Lehnert

ZSSR – WATYKAN.

Czy rzeczywiście Janowi Pawłowi II zależy na odwiedzeniu Związku Sowieckiego? Tych, którzy twierdzą że tak, niewiele obchodzi uzasadnienie tej tezy: w założeńi sprawowanej przez papieża misji leży szerzenie Królestwa Bożego aż po krańce Ziemi, dlaczego więc następcą św. Piotra miałby się zatrzymać akurat na sowieckiej granicy? Pozostali zgodni są, że ambicje obecnego papieża w tym, co nazywają „podbojem świata”, i chęć dotarcia tam, gdzie nie stanęła jeszcze nigdy stopy Wikariusza Chrystusowego \* byłyby wystarczającym powodem odbycia takiej podróży. Gdy weźmie się pod uwagę pochodzenie Jana Pawła II – pierwszego Słowianina na tronie Piotrowym oraz założy, zgodnie z dogmatem, że takie rzeczy, jak wybór na ten tron etc. nie dzieją się przypadkowo – łatwo sobie wyobrazić, iż wspomniana wyprawa do Moskwy czy choćby Kijowa, a niechby tylko na Litwę, jest nie tylko zrozumiała, ale wręcz konieczna.

Czy Sowietom w jakimś stopniu zależy może na takiej wizycie? Czy są gotowi przyjąć papieża? Dyskusję na ten temat ożywiło w Rzymie kilka wydarzeń o różnym, przede wszystkim jednak politycznym charakterze.

W początkach września organ WłPK, dziennik *Unita*, zamieścił cykl artykułów swego „watykanisty” (specjaliści od spraw Kościoła katolickiego,

stałe pracujące w Rzymie), o stanie religijności w ZSSR. Wysłannik relacjonował względną wolność religijną i dowodził przychylnego nastawienia władz do tego, co chętnie nazywano religijnym odrodzeniem w Sowietach. Z metropolitą Pimenem włoski dziennikarz rozmawiał jak należy: o obronie pokoju, bo temu głównie zagadnieniu poświęca swą uwagę znormalizowane prawostawie, zaś Pimen, jak należy, skrytykował Jana Pawła II za surową ocenę marksizmu w encyklice „*Dominum et vivificantem* (o Duchu Świętym). Na koniec cyklu, powołując się na wiarygodne sowieckie źródła korespondent pisał z Moskwy, że na przeszkodzie ewentualnej wizyty papieża stanąć mogą dwa sporne problemy, w ocenie których Kreml i Watykan różnią się wzajemnie. Pierwszy to sprawa Kościoła unickiego, czyli ukraińskich katolików wiemych Rzymowi, arbitralną decyzją władz zaraz po wojnie włączonych do prawostawia.

Druga – to kwestia republik nadbałtyckich, których aneksji do Związku Sowieckiego Stolica Apostolska nie uznała do dzisiaj, podobnie rzecz się, jak nie uczyniły tego Stany Zjednoczone (w roczniku papieskim, prowadzonym na bieżąco almanachu Kościoła katolickiego w dziale przedstawicielstw dyplomatycznych przy Watykanie, kraje te figurują jako oddzielne, niezależne państwa, a w przypadku Litwy jest nawet informacja o ambasaderze oraz nazwisko urzędującego tam radcy!). Korespondent *Unity* nie wykluczał mimo tych trudności, że do wizyty papieża może dojść – choćby w 1988 roku podczas obchodów milenijnych Rusi. Warunkiem jest jednak usunięcie tych przeszkód. Dla ludzi zorientowanych jasne było, że artykuł włoskiego dziennikarza odzwierciedlał stanowisko Sowietów. Kiedy w parę dni później sprawę postanowił wyjaśnić na miejscu w Rzymie, francuski dziennik *Le Figaro*, okazało się – jak poinformowały „koła zbliżone do Watykanu” – że nie tylko wymienione przez *Unitę*

\* Chyba wszyscy już znają dowcip, rodem z Watykanu zresztą: czym różni się papież Wojtyła od Pana Boga? Pan Bóg jest wszędzie, a Wojtyła już tam był...



trudności istnieją, ale są – zdaniem tych „kół” – przeszkodą nie do pokonania.

Stwierdzono raz jeszcze, że zarówno przymusowa likwidacja Kościoła wickiego, jak i aneksja przez Moskwę Litwy, Łotwy i Estonii są dla Watykanu nie do przyjęcia. Rezultaty sondażu *Le Figaro* potwierdził w zasadzie rzecznik prasowy Stolicy Apostolskiej, dodając od siebie, że choć Moskwa „nie stawia żadnych warunków, w chwili obecnej możliwość takiej podróży nie jest brana w rachubę”. Kto twierdzi, że na przeszkodzie w jej odbyciu stoją obie wymienione kwestie, „bliski jest prawdy, gdyż powszechnie znana jest troska papieża o Ukraińców i w ogóle o wiernych rzymskokatolickich w Związku Sowieckim” – zamknął dyskusję rzecznik Watykanu.

W kilka dni potem zaczęło się w Rzymie mówić o wizycie Gorbaczowa. Najpierw miała się ona odbyć już w połowie października, ale wracający z urlopu w Moskwie sowiecki ambasador Łunkow nie rozpakowując walizek udał się do premiera Craxi'ego przekazując mu „ustne postanowienie” od sowieckiego przywódcy, dotyczące oczywiście spraw pokoju i przyjaźni międzynarodowej i nadmienił, że byłoby lepiej, gdyby Gorbaczow mógł przyjechać nieco później, np. na początku przyszłego roku. Craxi zgodził się, wyraził jednocześnie nadzieję, że wizyta Gorbaczowa w Rzymie przyczyni się do zwiększenia gwarancji pokoju i międzynarodowej współpracy. Tymczasem w Moskwie zainteresowano się „rewelacjami” *Unity*, po czym w *Prawdzie* ukazał się artykuł krytykujący owo „religijne odrodzenie” w Sowietach. Obserwatorzy zachodni zinterpretowali to brakiem konkretnego stanowiska Gorbaczowa w stosunku do problemów religii w ZSSR. Prasa włoska sugeruje, iż w chwili obecnej Gorbaczow nie bardzo wiedziałby co powiedzieć papieżowi, gdy padnie pytanie o Kościół czy Kościoły; będzie czuł się nieswojo, czego oczywiście wolałby uniknąć. Spekuluje się więc wokół możliwości przyjazdu Gorbaczowa tylko do Rzymu z pominięciem Watykanu, co byłoby jedynie wtedy możliwe, gdyby zatrzymał się on tylko na chwilę w stolicy Włoch, np. w drodze na szczyt z Reaganem.

Na supozycje te dość gwałtownie zareagował włoski minister spraw zagranicznych Giulio Andreotti. Określił je jako „bezzasadne”, wykluczył jakiegokolwiek „zakłopotanie” Gorbaczowa wobec papieża i dał do zrozumienia, że wizyta w Rzymie polega za sobą automatycznie – wizytę w Watykanie. Ta ostatnia zresztą, jak dodał, nikogo jeszcze nie skompromitowała, byli u papieża Podgorny i Gromyko, ale nigdy nie wiązano tego z możliwością wizyty głowy Kościoła katolickiego w ZSSR. Andreotti, jak przystało na pamiętnikarza, podzielił się z dziennikarzami wspomnieniem.

„Raz tylko musiałem się zająć wizytą sowieckiego przywódcy w Watykanie. Było to wtedy, gdy Podgorny zapytał nas, czy będzie mógł palić przy papieżu, a następnie poprosił o popielniczkę. Tym razem, nikt nas o nic nie prosi!”.

## JEŻELI BRONIA TEGO, CO TRZEBA, TO SĄ W PORZĄDKU!

(Halina Mikołajska o aktorach w Kościele)

Aktorzy w Kościele. Temat może nie tak już aktualny, jak przed dwoma laty czy przed rokiem, ale jednak, bo spośród wszystkich grup zawodowych czy społecznych, jakie weszły do kościoła – i do Kościoła – po 13 grudnia 1981 roku, aktorzy najmniej się tam „rozpuścili”, są najbardziej widoczni. Zdaniem władzy, którą zsląg trafia na myśl, że nie ma już monopolu „na Holoubka”, aktorzy w kościele – i w Kościele – nadal grają. Warto więc przytoczyć uwagi na ten temat, jakimi z polską sekcją Radia Watykańskiego podzieliła się wielka aktorka, Halina Mikołajska. Wywiad nagrany pod koniec maja br. gdy artystka przebywała w Europie Zachodniej, w tym także w Rzymie, na występach w polskich środowiskach, nadano dopiero na początku sierpnia.

Na pytanie, dlaczego występuje Pani w kościele, Mikołajska odpowiedziała: „Tu nie podlegam temu, co się wie polityką kulturalną, monopolowi żadnemu, bo przecież wszystko jest zmonopolizowane w tego typu kraju, w którym ja żyję. I robię, co chcę i gdzie chcę, z własnego wyboru i własnej woli. Mam poczucie wolności. Niestety są to rzeczy quasi-teatralne, ponieważ mogą być tylko monodramy czy recitale. (...) Ja wyszłam dobrowolnie z teatru, bo byłam zaangażowana po wyjściu z obozu do Teatru Polskiego; wyszłam dobrowolnie, różne moje sytuacje czysto osobiste, życiowe, mnie do tego nakłoniły. Także i jakieś poczucie wolności, żeby robić to, co chcę. (...) Ja już nie bardzo umiałam być w teatrze i czułam się wolna, w pełni odpowiedzialna za to co robię, jeśli czynię to z własnej inicjatywy. I tu rzeczywiście znalazłam oparcie w Kościele. Ale powiem – może to zabrzmiało nieco pyszałkowato – że także to co proponuję, uważam za służbę Kościołowi. Jest w tym załuga jakby dwu stron – z jednej strony ja znajduję forum w Kościele, z drugiej strony – to, co się dzieje w dziedzinie kultury i sztuki, jest jakimś szczególnym sposobem ewangelizacji, i Kościół z tego również korzysta. Kościół, który zresztą przez dwa tysiące lat był wyraźnie mecenasem kultury i sztuki europejskiej, co na każdym kroku widać”.

Rozwijając myśl o „korzyściach” Kościoła, Halina Mikołajska powiedziała: „Wszędzie, gdzie

hierarchia wartości ulega pewnemu zachwianiu czy jest atakowana, czy zagrożona, działalność człowieka, który w Kościele głosi – jakim by nie mówił językiem – obronę tych wartości, jest wielką usługą i wielką szansą dla Kościoła. Bo bywa to język nośny, który powoduje ewolucję języka klerykalnego. Jest nowy, budzi pewien sprzeciw, ale to oczywiste”.

Obecność aktorów w polskich kościołach bywa ostro atakowana, jaki jest Pani zdaniem tego powód? „Ta działalność kulturalna jest atakowana nie tylko ze strony władzy, choć jest *sensu stricto* kulturalna, albo religijna. Niemniej jeżeli władza ma na wszystko monopol, uważa to za działalność polityczną. Ona nie jest absolutnie polityczna, bo nie ma w niej żadnych programów politycznych, są natomiast programy moralne: obrona tożsamości narodowej, rzeczy wykreślonych z lektur obowiązkowych, np. wielkiego romantyzmu – jeżeli to się funduje polskiej publiczności, to nie jest to działalność polityczna, tylko czysto edukacyjna. Niemniej bywa często rozumiana odwrotnie. Ale ja nie mówię o oporze władzy, bo on jest tutaj zrozumiały i naturalny. Nawet wewnątrz Kościoła, czasem wśród ludzi wierzących, właśnie ten nowy język budzi pewien sprzeciw. (...) Uważam że postawę za arcyniechrześcijańską. Człowiek jest istotą zmienną, trzeba mu dać szansę nawrócenia. Sfera intencji, która nim powoduje, jest naprawdę niewiedzialna. Czy jest to szczerze czy nieszczerze, czy jest to prawdziwe nawrócenie czy nieprawdziwe, nie podlega żadnej ocenie. Gdyby człowiek był istotą niezmienną, to w ogóle sakrament pokuty nie miałby większego sensu... Te oceny mnie drażnią. Są ludzie którzy wołają: „on nosił kiedyś czerwony krawat a teraz nosi różaniec”, co kojarzy mi się z wtargnięciem w czyjąś osobistą sferę. Nie jest ważne, co on nosił kiedyś, co nosi teraz, tylko co głosi obecnie. Czy jest to nośne, czy spełnia pozytywną dla Kościoła funkcję, czy występuje w obronie zagrożonych wartości i kultury w ogóle, która na tych wartościach wyrosła. Jeżeli brzmi przekonywująco, co mówi; naprawdę jest to już sprawa między nim a Panem Bogiem, i nie wolno oceniać tego człowieka i z jakąś pychą od Kościoła odpychać. (...) Oburza mnie niechrześcijańskie podejście, powtarzanie pewnych argumentów prawowych, że „coś oni robią przy ołtarzu”. Co robią, to robią. Jeżeli rzeczywiście bronią tego, co trzeba, jest to w porządku!”

#### SPROSTOWANIE

Pan Wiktor Kowalski z Norwegii zwrócił nam uwagę, w liście z dn. 20. 09. 86 r., że niewłaściwie wydrukowaliśmy nazwisko jego przyjaciela Tomasza WACKO (w „Poglądzie” nr 11/109 nazwisko to podano jako WAĆKO). Najmocniej przepraszamy za błąd.

## Z Indii... Hanna Chorażyna

### V WIZYTA RZĄDU EMIGRACYJNEGO DO TYBETU ODŁOŻONA

Do Tybetu, po kilkuletniej przerwie, udać się miała ponownie delegacja rządu emigracyjnego. Do wizyty jednak nie doszło, bo Chińczycy zażądali, by emigranci zwrócili się o paszporty chińskie. Byłoby to formą uznania aneksji Tybetu w tej sytuacji. Poprzednie delegacje w latach 1979 i 1980 jechały za specjalną przepustką chińską i nie żądano od nich żadnej upokarzającej procedury.

Granica między Tybetem a Indiami została ustalona w 1914 roku w porozumieniu zawartym przez przedstawiciela Wielkiej Brytanii i Tybetu. Jest ona przedmiotem zaciętego sporu indyjsko-chińskiego. Wszelkie rozmowy zwaśnionych stron, jakie na ten temat się toczą, odbywają się przy gorących protestach rdzennych mieszkańców Tybetu żądających dla siebie równych praw w tych pertraktacjach.

Przedstawiciele tybetańskiej emigracyjnej Izby Reprezentantów złożyli memorandum w Ministerstwie Spraw Zagranicznych Indii pisząc, że chociaż doceniają wagę normalizacji stosunków chińsko-indyjskich, to protestują zarazem przeciwko dyskusji nad chińsko-indyjską granicą, bez ich udziału. Upominając się o własne prawa Tybetańczycy wykorzystują również ONZ, aby zademonstrować światu swój los. W jednym z ostatnich apeli proszą oni, by organizacja ta traktowała walkę narodu tybetańskiego o niepodległość jako słuszną sprawę i wniosła ją pod obrady 41 Sesji Generalnej ONZ, która rozpatrzyłaby prawa Tybetańczyków do samostanowienia, opartego na prawach wspólnych narodom całego świata.

Również proszą, by ONZ umożliwiła powrót Jego Świątobliwości Dalai Lami do Lhasy, jako prawdziwemu przywódcy Tybetańczyków. Jest on uznany powszechnie przez Tybetańczyków, zarówno we własnym kraju jak i we wszystkich krajach ich emigracji, za bezsporny autorytet.

Prof. Hugh Dunn, wykładowca najnowszej historii Azji na jednym z uniwersytetów w Australii po przeprowadzeniu wywiadu z Dalai Lamą, był zdumiony, że przywódca emigracyjny, który od 27 lat przebywa poza swoim krajem, ma o nim tak realistyczny pogąd.

W wywiadzie Dalai Lama podkreślił, że problem Tybetu ma kilka trudnych aspektów. Tybe-

tański Autonomiczny Okręg (TAR) nie obejmuje wszystkich tradycyjnych tybetańskich terytoriów. Chińczycy tłumaczą się, że podział ten był zrobiony przez poprzednie rządy ale przecież tyle błędów naprawiono, że i ten można skorygować zaspokajając słuszne oczekiwania Tybetańczyków. Dla Chińczyków jest to trudny problem, bo tybetański okręg etniczny zajmuje jedną piątą terytorium Chin. Chińczycy zaangażowali się w kolonizację tego kraju.

Dalai Lama stwierdził dalej, iż wprawdzie widać poprawę w warunkach życia w Tybecie, ale TAR ciągle jest pustym frazesem, gdyż podstawa władza pozostaje całkowicie w rękach chińskich.

Wreszcie Dalai Lama zaproponował możliwe do przyjęcia, jego zdaniem, rozwiązanie problemu. Chiny obejmują wiele bardzo różnych narodowości. Mogłyby one utworzyć regionalne zrzeszenie takie jak ASEAN albo EEC. Ważniejsze jest bowiem powszechne dobre samopoczucie tych narodów niż ostry nacjonalizm. Wywiad kończy następujące stwierdzenie: „Chińczycy nie mają racji mówiąc, iż, czy Tybet chce tego, czy nie, pozostanie on zawsze częścią Chin. Jeśli jednak Chińczycy powiedzą, że niezależnie od tego czy Tybet był w przeszłości częścią Chin, czy nie, w przyszłości lepiej żyć razem w braterskich stosunkach, Tybetańczycy mogliby zaakceptować takie stanowisko. Logiczne jest, że 6-milionowy naród będzie miał lepszą przyszłość, jeśli połączy się z narodem o miliardowej ludności”.

## Z Oslo... Paweł Gajowniczek

### JESZCZE JEDNO BESTIALSTWO BUŁGARSKIE

To jeden z licznych tytułów, jaki ukazał się w prasie tureckiej w chwili, gdy do Turcji dotarła wiadomość o zamordowaniu przez bezpiekę bułgarską 23-letniej RABIYE SUEKRIEVA. Zniknęła ona ze swego domu w pobliżu Szumenu w marcu br. Mniej więcej dwa miesiące później jej zwłoki zostały odesłane rodzinie w „drewnianej skrzynce”. Tak określono trumnę w milicyjnych protokołach. Rabiye osierociła dwoje małych dzieci.

Wspomniany tu przypadek jest jednym z wielu przykładów terroru, jaki jedno z tak zwanych państw demokracji ludowej stosuje wobec zamieszkałej w nim mniejszości narodowej.

Stosunki turecko-bułgarskie tradycyjnie nie należą do dobrych. 500 lat tureckiej niewoli musi zostawić swoje ślady. W tym rozumowaniu jest jednak pewne „ale”. W 10 lat zaledwie po ostatecznym wyzwoleniu spod tureckiej niewoli w 1908, ówczesna demokratyczna Bułgaria potrafiła zdobyć się na liberalne potraktowanie mniejszości narodowych; w tym Turków. Najlepiej było w latach 1920-23 gdy władzę sprawowali ludowcy a premerem był Aleksander Stamboljski. Turcy bułgarscy zakładali gazety i wydawnictwa. Po zwrocie 9. 06. 1923 gdy władzę objął A. Cankow sytuacja uległa nieznacznemu pogorszeniu. Lecz jeszcze w 1934 wydawali oni w Bułgarii około 1500 gazet, mieli liczne teatry, szkoły, wykłady w języku tureckim na uczelniach itp.

W połowie lat trzydziestych wraz z postępującą stopniowo faszyzacją kraju, sytuacja Turków pogarsza się systematycznie. W 1944 zostają zamknięte wszystkie gazety tureckie. We wrześniu tegoż roku nastąpiła zmiana „sojusznika” a zarazem okupanta. W charakterze tym Hitlera zastąpiła armia czerwona. Rozpoczął się w Bułgarii okres stalinowski. Podobnie jak w latach poprzednich gdy bułgarscy faszyci wybrali własny wariant rozwiązania kwestii żydowskiej<sup>1</sup> tak i teraz, komuniści pod przywództwem przybyłego z Moskwy G. Dymitrowa stwarzają względnie dogodne warunki dla mniejszości narodowych. Powstaje 6 komunistycznych pism w języku tureckim. W Sofii założono kontrolowane przez komunistów wydawnictwo książkowe. Działają teatry, szkoły i wydział filologii tureckiej na uniwersytecie w Sofii. Paradoxem staje się fakt, że czasy stalinowskie są dla Turków bułgarskich w powojennej historii najlepsze. Komuniści, którzy uprzednio potępili postępowanie faszystów wobec Turków, starają się stworzyć tureckiej mniejszości narodowej względne swobody, tzn. takie, które mieszczą się w ramach systemu. Oznacza to, że traktuje się ją równie źle jak rodzimą ludność, ale nie gorzej. Rośnie niezadowolone wśród Turków bałkańskich. Bułgaria w roku 1950 proponuje liczbę 250 tys. emigrantów, którzy mieliby wyjechać do Turcji. W 1951 roku kraj ten przyjmuje ich około 150 tys. Na większą liczbę Ankara nie wyraziła zgody, gdyż borykała się z poważnymi problemami gospodarczymi.

Druga fala powojennej emigracji z Bułgarii do Turcji przypada na lata 1968-78. Po tym okresie wyjazd stał się prawie niemożliwy.

Tymczasem po dojściu Żiwkowa do władzy, mniej więcej od początku lat 60-tych stopniowo

<sup>1</sup> Żydzi mieszkający w Bułgarii przetrwali II wojnę światową. Był to jedyny przypadek ocalenia w zdominowanej przez III Rzeszę Europie.

ogranicza się prawa Turków. Do „ostatecznego rozwiązania kwestii tureckiej” przystąpiono w latach 80-tych. W grudniu 1984 rozpoczęto stopniową bułgaryzację nazwisk. Na pierwszy ogień poszli Cyganie, dalej Pomakowie (etniczni Bułgarzy – wyznawcy islamu), a na końcu Turcy. Oficjalnie nazywa się to zmianą imion turecko-arabskich.

Jak dużej grupy etnicznej dotyczą przesiedlowania? Amnesty International opierając się na danych bułgarskich szacuje liczbę Turków na 900 tys., Turcja podaje liczbę 1,5 mln., a turecy emigranci z Bułgarii oceniają ją na 2 mln. Dochodzą do tego jeszcze Cyganie, którzy w większości mówią po turecku, oraz wspomniani wcześniej Pomakowie. W sumie pod przymusem zmieniono nazwiska ok. 30 % ludności Bułgarii (2-3 mln.).

29. 01. 1985 likwidacji ulegają ostatnie fragmenty w języku tureckim w jedynej, ocalałej po II wojnie światowej, komunistycznej gazecie wydawanej po turecku. Od tego dnia jest ona w całości drukowana po bułgarsku. Tymczasem trwała masowa wymiana dowodów. Język turecki zostaje zakazany. Turków uznaje się za przymusowo sturczonych Bułgarów, których właśnie teraz władza ludowa przywraca „na ojczyzny łono”. W wielu rejonach Bułgarii wybuchają zamieszki. Demonstracje mają wszędzie charakter żywiołowy. Do największych dochodzi w rejonach zamieszkałych przez większość turecką.

Równocześnie stosuje się wobec ludzi terror. Wiele wskazuje na to, że dziańca wojsk i milicji zostały zaplanowane z zimną krwią. W Kirdżali (rejon na południu), za mówienie po turecku nakłada się drakańskie kary. Sytuacja przypomina niekiedy wręcz to, co działo się w gettach żydowskich w okresie okupacji hitlerowskiej i miała miejsce między grudniem '84 do końca stycznia 1985. Później zmieniono formy, rezygnując z jawnego przesiedlowania ludzi. Zaczęto ich skrycie porywać.

Okazywało się, że odnajdywano zwłoki, lub że zaginiony siedzi w więzieniu. Ustalenie konkretnych liczb jest w Bułgarii praktycznie niewykonalne. Brak organizacji typu „Solidarność” czy „Karta 77” powoduje, że podstawą informacji są relacje uciekinierów i najczęściej anonimowe listy, przesyłane drogą okrężną, często nawet przez ZSSR. Organizacje uciekinierów z Bułgarii działające w Turcji mówią o 10 tys. zaginionych (zamordowanych i uwięzionych). Inne źródła podają 1500 osób tylko w trzech więzieniach w Sofii, Płowdiw i Pazardżik. Ostatnio opublikowane listy wymieniają około 500 nazwisk z adresami ludzi pomordowanych i uwięzionych.

Do więzienia dostają się ci, którzy odmawiają przyjęcia dowodów z nowymi nazwiskami.

Oto fragment relacji jednego z uciekinierów:

„...Za odmowę przyjęcia nowego dowodu wysłano mnie do obozu wojskowego w Sliwnicy.

Pokazywano tam filmy, propagandowe o przesiedlowaniu Bułgarów przez Turków, o wywołaniu Bułgarii przez carską Rosję spod panowania tureckiego, z okresu II wojny światowej (najczęściej sowieckie), oraz o wielkim szczęściu, jakim jest życie w komunistycznej Bułgarii.

Odbywały się również spotkania z politrukami, na których głównie straszono. Z 700 Turków, z którymi wysłano mnie do Sliwnicy 600 uległo. Ja również, „dobrowolnie”, uznałem się za Bułgara. Tych 100, którzy mimo wszystko nie podpisali bułgarskiej volkslisty zostało aresztowanych i wystanych do więzienia w Belene”. Tyle uciekinier.

Belene, to wyspa na Dunaju. Według niektórych relacji przebywa tam około 5 tysięcy Turków.

Ci, co wychodzą z więzień, bardzo często znikają ostatecznie. Znane są przypadki mordowania byłych więźniów przy pomocy śmiercionośnych zastrzyków.

By praktyki te otoczyć tajemnicą, reżym zamknął dla turystów rejon Kirdżali zamieszkały przez większość turecką.

Cały ruch ludności podlega ścisłej kontroli. Na ulicy nie słyszy się języka tureckiego. Gdy zadaje się pytanie po turecku, spotykać można dwa typy reakcji. Pierwszy: pytany odchodzi bez słowa uważając, że ma do czynienia z prowokatorem, lub drugi: dostaje się odpowiedź „ale po... bułgarsku.

Oficjalny stosunek rządu w Ankarze do opisywanych wydarzeń był od początku wyczekujący. Turcja żąda przywrócenia Turkom należnych im praw. W ostateczności gotowa jest przyjąć pewną ich liczbę. Masowy napływ przesiedleńców mógłby jednakże drastycznie podnieść ilość bezrobotnych w samej Turcji. Dlatego nie na takie rozwiązanie oczekuje się. Nieliczni uciekinierzy, którzy w ostatnich latach przybywają do Turcji, głównie zrzeszą przez Rumunię i Grecję, bezskutecznie latami starają się o połączenie z rodzinami.

W Turcji działają dwa komitety solidarności z Turkami bułkańskimi. Mówi się i pisze o nich stale. Do akcji musieli przystąpić nawet komuniści turecy. Gdy w Sofii ich przedstawiciel zapytał o przepisy, na podstawie których przesładuje się jego rodaków, jako odpowiedź usłyszał, „A dlaczego towarzysz pracuje przeciwko partii...?”

Kończąc chciałem bardzo serdecznie podziękować Bjornowi Funnemarkowi, sekretarzowi generalnemu Norweskiego Komitetu Helsińskiego, za udostępnienie materiałów i podzielenie się wrażeniami ze swojego wyjazdu do Turcji i Bułgarii. Bez jego pomocy ten tekst nie zostałby napisany.

Oslo, 27. 09. 1986.

Adam Lengyel

## Frankfurckie reminiscencje

Największy „cyrk książki” otworzył swoje podwoje. Ponad sześć i pół tysiąca wydawców z całego prawie świata prezentowało się w dniach 1-6 października na XXXVIII Targach Książki we Frankfurcie nad Menem. Od Biblii po „lekką pornografię”; od wydawnictwa *Nowostii* po *Kontrę* – było wszystko i wszyscy.

Od parkingu, na którym zostawiało się samochód jest jeszcze na teren targów kawał drogi. Specjalny autobus wahadłowy dowozi mnie do jednego z głównych wejść na teren ekspozycji. Jest 8.45. Stoję w sporym tłumku przedstawicieli prasy. – Nas wpuszczą dopiero o 9.00 – słyszę głos obwieszonego różnorakim sprzętem fotoreportera z *Der Spiegel* (jak odczytałem z plakietki zawieszonej na piersi) – Boją się abyśmy czegoś nie ukradli – uśmiecha się szeroko. Pierwszeństwo mają wystawcy spieszący, aby zająć swe miejsca przy stoiskach. Nareszcie – punkt 9.00; hostessy uśmiechają się przyjaźniej; legitymacje prasowe zyskują ważność. Płynę wraz z tłumem. Skomplikowany system ruchomych chodników i schodów niesie mnie w kierunku hali nr 4. Tam, na poziomie 1, rozbiły swoje namioty polskie wydawnictwa emigracyjne.

W tym roku usytuowanie polskich wydawców nie było niestety najszcześniejsze; o ile w roku ubiegłym wszystkie wydawnictwa emigracyjne zajmowały zwarty blok stoisk, tak teraz rozrzucone są one w trzech rzędach biegnących wzdłuż hali. W szeregu L wystawia swe pozycje *Kultura*; w szeregu M znajduje się „zjednoczone” stoisko wydawnictw londyńskich – *Polonii*, *Pulsu*, *Kontry*, *Aneksu*; oraz wydawnictw berlińskich – *Poglądu*, *Veta* i *Archipelagu*. W szeregu N prezentują francuskie *Spotkania* i *Polska Fundacja Kulturalna*. Dla wtajemniczonych to, ze stoiska do stoiska, tylko parę kroków, dla gości jednakże mała łamigłówka.

Pierwszą wizytę składam oczywiście na stoisku *Kultury* – z należnym wydawcy szacunkiem. Jerzy Giedroyc, nestor polskich wydawców emigracyjnych, siedząc nawet na małym krzesełku i przy maciupeńkim stoliczku nie traci nic a nic



Zofia Herz  
Nina Karsov





Jerzy Giedroyc

z właściwej sobie powagi i... wielkości. Wizyta jest krótka i ruszam w rewiry, gdzie czuję się swobodnie i pewniej.

Przy zespole stoiska londyńsko-berlińskich kłębi się. Zwłaszcza „londyńczycy” są podenerwowani – nie nadeszły z Anglii paczki z książkami. – Chyba będzie katastrofa – mówi brodaty sekretarz redakcji *Pulsu* Grzegorz Sowula. W trakcie dnia okazuje się, że katastrofa rzeczywiście nastąpiła, ale na frankfurckiej poczcie, gdzie eksplodowała bomba powodując kolosalne zamieszanie (obeszło się dzięki Bogu bez ofiar

w ludziach). Gorączkowe działania doprowadzają jednakże do szczęśliwego dla polskich wydawców końca. Uważane już za stracone przesyłki z książkami odnajdują się w głównym urzędzie celnym i dostównie pięć przed dwunastą udaje się je odebrać.

Andrzej J. Chyłcki, reprezentant *Polonii* w Niemczech Zachodnich i stały współpracownik miesięcznika *Kultura*, rozluźnia z ulgą apaszkę. Na półki wędrują nowości wydawnicze *Polonii* – „Cztery lata w Białym Domu” Zbigniewa Brzezińskiego; „Czterdzieści lat władzy komunistycznej w Polsce”, praca zbiorowa pod redakcją Ireny Lasoty oraz drugi tom pism zebranych Aleksandra Watta „Dziennik bez samogłosek”. Obok znajdują miejsce nowości *Pulsu* i *Aneksu* – powieść „Wszystko inaczej” Stefana Kisielewskiego oraz eseje Jana Kotta „Kamienny potok”. Tuż przy półce z wydawnictwami *Poglądu* („Polaku, kim jesteś?” Witolda Wirpszy cieszy się dużym zainteresowaniem zwiedzających) rozkłada książki pani Nina Karsov („mała wzrostem, ale wielka duchem”) – wydawnictwo *Kontra* prezentuje m.in. wznowienia książek Szymona Szechtera i „Szklce piórkiem” Andrzeja Bobkowskiego.

Zahaczam po drodze o polskie stoiska reżymowe i przeprowadzam cichą akcję kontrewolucyjną. Przeglądając wydane w Warszawie albumy i książki wkładam do nich... miniaturki *Poglądu* oraz innych wydawnictw emigracyjnych. W poczućcu dobrze spełnionego obowiązku – przyczyniłem się odrobinę do „obalenia” – dochodzę do stoiska *Spotkań*. Prof. Władysław Bartoszewski

Piotr Jęglński i Rafał Gan-Ganowicz



sygnuje właśnie swoją książkę „Warto być przyzwyczajonym”. Tegoroczny laureat pokojowej nagrody Gildii księgarzy niemieckich ze stoickim spokojem i uśmiechem na ustach przyjmując napór żądnych jego podpisu gości. Należę wkrótce do szczęśliwców mogących pochwalić się jego dedykacją.

Czas płynię nieubłagane. Mała kawa wypita prawie w biegu; rozmawiam przez chwilę z panią Niną Karsov, która mówi mi o sukcesie książki Szymona Szechtera „A stolen biography” na rynku angielskim; słyszę jednym uchem kawałek opowiadany przez jednego z czeskich wydawców emigracyjnych — „Gdzie ostatni raz czeszy komuniści mówili prawdę? ... Na Gestapo.” — i porządkuję wydawnictwa *Poglądu* na półce (czując na sobie wzrok Chileckiego); jeszcze rzut oka na stoisko *Kultury*; przemycam obok stoiska Albańczyków, gdzie jakiś młodzieniec roni łzy nad książką Envera Hodży; Boże, ale kocioł!

Zbliża się 6.00. Goody bye! Targi zamykają swoje podwoje. Czas się pożegnać... Jadę ruchomym chodnikiem z torbą wyładowaną książkami (część kupiłem, część dostałem, część...) Hostesy przy wyjściu żegnają sloganowym „Auf Wiedersehen”, wychodzę na październikowe słońce i odycham z ulgą, choć przede mną długa podróż powrotna do Berlina.

Frankfurckie Targi Książki są niepowtarzalną imprezą. Oddanie jej nastroju, charakteru, nakreślenie specyfiki chwili i przestrzeni, w których dochodzi do jednego w swoim rodzaju i na taką skalę spotkania ducha i materii, merkantylnizmu i kontemplacji, jest zadaniem wręcz niewykonalnym. Targi są również miejscem rozmów, namiętnych, gorączkowych — a także, miejscem spotkań wszystkich wydawców i wydawnictw emigracyjnych, którzy właściwie tylko tu mogą razem zademonstrować swój dorobek, składający się na szerokie spektrum polskiej sztuki, literatury i kultury rozwijającej się poza krajem. Frankfurcka impreza to nie tylko biznes, zawieranie transakcji czy umów. To także, a może przede wszystkim, kontemplacja myśli, ducha, do tworzenia w poczuciu więzi, jaka za pośrednictwem słowa łączy dziś ludzi różnych światopoglądów czy kultur. Czy to nie piękna idea? ■



## KRONIKA EMIGRACYJNA

RYZYM: DOROCZNA SESJA STAŁEJ  
KONFERENCJI MUZEÓW I BIBLIOTEK  
POLSKICH NA ZACHODZIE

W dniach 26-29 września 1986 roku odbyła się w Rzymie doroczna sesja Stałej Konferencji Muzeów i Bibliotek Polskich na Zachodzie, organizacji powołanej w roku 1979, w skład której wchodzi 15 instytucji polskich na Zachodzie zajmujących się gromadzeniem zbiorów polskich i o Polsce, powstałych czy to w kraju, czy zagranicą. Na kilku zamkniętych posiedzeniach przedstawiciele tych organizacji dyskutowali sprawy statutowe oraz kierunki działania Konferencji. Dr Jerzy Mond z Paryża przedstawił na zakończenie sesji Konferencję jako organizację w ogóle. Z referatu dr Mondy wynikało, iż dyskutowano możliwości rozszerzenia ilości członków Konferencji poprzez przyjęcie w jej grono innych instytucji polskich na Zachodzie o podobnym charakterze. Uznano, że członkiem Konferencji mogą zostać instytucje, które jednoznacznie określają się w stosunku do władz PRL jako niezależne, co w praktyce oznacza, że nie współpracują z oficjalnymi władzami krajowymi. Tak np. w swoim czasie odmówiono przyjęcia do Konferencji Fundacji Kościuszkowskiej z USA, która, jak wiadomo współpracuje z władzami reżymowymi. Inną sprawą była kwestia ustanowienia władz Konferencji, bowiem dotychczas organizacja ta była stowarzyszeniem instytucji polskich, nie posiadającym zarządu: funkcję sekretarza sprawował przedstawiciel biblioteki czy też muzeum, któremu powierzono zorganizowanie dorocznej sesji. Również i obecnie członkowie Konferencji nie doszli jeszcze do żadnych ustaleń odnośnie powołania władz swojej organizacji, przynajmniej do roku przyszłego, w którym Konferencja odbędzie kolejną swoją sesję w Muzeum Kościuszki w miejscowości Solur (Szwajcaria).

W otwartym posiedzeniu na zakończenie sesji Ryszard Dębiński z Instytutu Sikorskiego w Londynie podkreślił znaczenie i rolę zbiorów polskich poza krajem. Posiadanie takich zbiorów, muzeów i bibliotek umożliwiło Polakom żyjącym w diasporze zapoznanie przedstawicieli innych narodów ze swoją kulturą i historią. Pierwsze polskie zbiory na Zachodzie zaczęły powstawać już w XIX wieku, a zbiory np. w Muzeum w Rapperswilu zaczęto gromadzić w roku 1867.

Dzieje zbiorów muzeum rapperswilskiego są dowodem konieczności posiadania muzeów również poza krajem. Dr Mond w swoim referacie podkreślił iż punktem ciężkości w pracy polskich placówek bibliotecznych na Zachodzie jest zbieranie i archiwizowanie materiałów, które właściwie są niedostępne w kraju. Co niedostępne w kraju powinno być dostępne na Zachodzie i to dla wszystkich, bowiem jak wiemy inna praktyka stosowana jest w kraju, gdzie wiele zbiorów, tych również przejętych z Zachodu, jest ciągle niedostępnych dla badaczy.

KOLEJNE „POLONIKA” W BERLINIE

We wrześniu w Berlinie w znanej i renomowanej galerii „Galerie Poll” wystawił swe prace Tadeusz Kantor.

W październiku w małej galerii „Weekend Gallery” prezentował swe obrazy młody absolwent Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Gdańsku, Piotr Kiepuszewski (ur. 1957).

Pierwszy z namaszczeniem celebrujący swoją sztukę, drugi nonszalancki, młodzienny, ale już pełen goryczy. Pierwszy w drukowanym do wystawy katalogu pomija fakty o nadaniu mu medali i dyplomów, które przyjął z wdzięcznością od władz PRL w pierwszych miesiącach stanu wojennego, drugi z rozbrajającą dumą podaje w druku ulotnym towarzyszącym wystawie, iż szkołę sztuk plastycznych kończył „w latach 1980-1982, kiedy Polska znajdowała się w stanie rewolucyjnego wrzenia”.

Piotr Kiepuszewski zawiesił na piwnicznych ścianach „Weekend Gallery” kilkanaście swoich ostatnich obrazów



olejnych. Z czerni i cieni wyłaniają się nasze dziewczyny, żony oraz my sami, siedzimy przy stole, pijemy piwo lub wódkę, porozwieszane na murach plakaty wołają o porozumienie, a po ulicach chodzą patroli w rogatywkach. Efektowne prace Piotra, pełne agresji i ekspresji o ciekawych rozwiązaniach kolorystycznych pozwalają dostrzec indywidualność rozwijającego się artysty.

Osobiście, gdyby przyszło mi wybierać spośród obu prezentujących swoje obrazy w Berlinie malarzy, napewno na ścianach mojego mieszkania zawiesiłbym obrazy Piotra Kiepuszewskiego.

Piotr Kiepuszewski, „Reflexionen” – Ölbilder; „Weekend Gallery”, 6-19 października, Schloss Str. 61, 1/19 Berlin

## Listy do redakcji

W ostatnich tygodniach otrzymałem wiele listów z RFN proszących o pomoc w sponsorowaniu i wyjeździe do Kanady. Ponieważ sam urządzam swoje życie tutaj, a nie jest to bynajmniej łatwe, nie jestem w stanie sprostać tym oczekiwaniom. Być może w przyszłości. Obecnie można tylko liczyć na powiększenie kwot imigracyjnych przez rząd kanadyjski. Kongres Polonii Kanadyjskiej ma tysiące zgłoszeń a także niezbyt dobrze rozwinięte stosunki z urzędem imigracyjnym i rządem, co utrudnia wyciąganie ludzi z obozów w RFN, Austrii i Włoszech.

Wszelkie informacje na temat Kanady można otrzymać w ambasadzie w Bonn, łącznie z warunkami przyjęcia, szansą pracy w zawodzie, itp.: Canadian Embassy, Villichgasse 17, 5300 Bonn 2, tel. (0228) 35 10 41.

Po dwóch latach pobytu w Kanadzie mogę stwierdzić, że znalezienie pracy jest trudne, a w niektórych zawodach (np. lekarza), niezwykle trudne. W miarę uprzywilejowaną sytuację mają inżynierowie różnych specjalności, technicy, ludzie związani z informatyką, choć w tym wypadku wiele zależy od wytrwałości i szczęścia. Zawody humanistyczne można odłożyć do działu hobby i pogodzić się ze zmianą kwalifikacji. Oczywiście ludzie o wielkich zdolnościach i samozaparciu powinni się przebić, choć o wiele częściej i łatwiej może im się to przytrafić w USA.

Należy sobie zdać sprawę z tego, że wcześniejsze wyobrażenia o Kanadzie są bardzo często mylne i trzeba się przygotować na zupełnie coś innego niż w Europie. Poszczególne prowincje kanadyjskie różnią się między sobą znacznie. Najlepsza sytuacja ekonomiczna panuje w Ontario, ale walka konkurencyjna przybiera tam najbardziej bezwzględne formy. (...)

Proszę wybaczyć, że nie będę odpowiadał indywidualnie na listy, nawet te, które już nadeszły, gdyż nie starcza mi po prostu czasu. Dlatego odpowiadam niejako zbiorowo, tym bardziej, że moi respondenci – jak wynika z ich listów – czytają *Pogląd*.

Krzysztof Kasprzyk

\* \* \*

Markowi P., współpracownikowi „Poglądu” za pozdrowienia nadesłane z Korei Południowej serdecznie dziękuję redakcja. ■

### FUNDUSZ WYDAWNICZY „POGLĄDU”

Każde wydanie „Poglądu” ukazuje się również w wersji zminiaturyzowanej z przeznaczeniem dla Czytelników w kraju.

Los wolnego słowa w Polsce zależy więc również od Czytelników i Prenumeratorów „Poglądu”.

Każda, nawet najmniejsza wpłata na fundusz wydawniczy pozwoli zwiększyć nakład naszego dwutygodnika na kraj.

„Gesellschaft Solidarność” e.V.  
 „Pogląd”  
 Sparkasse der Stadt Berlin West  
 Konto Nr 122 001 238 2  
 BLZ 100 500 00

lub  
 Postscheckkonto  
 586 90-102  
 BLZ 100 100 10  
 Postscheckamt  
 1000 Berlin (West)

Na „Solidarność” w Kraju  
 1. Marzena Michalska, Hamm DM 5,-  
 2. Ze składek zorganizowanej na zebraniu ZPU w dniu 31 sierpnia br. DM 23,-

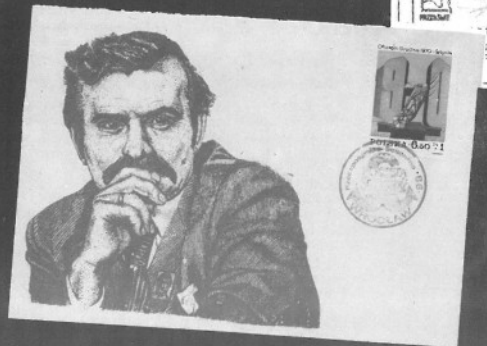
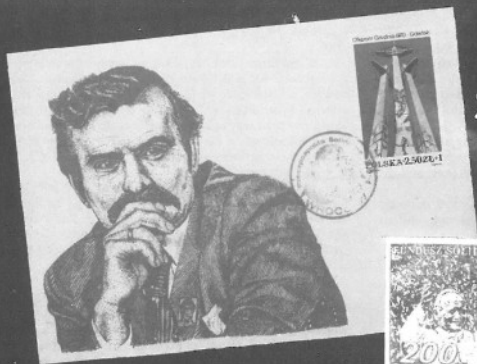
Na Towarzystwo Solidarność  
 1. Marzena Michalska, Hamm DM 60,-  
 2. Henryk Korwek, Hamburg DM 100,-  
 3. Wojciech Zwierzynski, Tuebingen DM 50,-  
 4. Ewa Krokosz, Dortmund DM 10,-  
 5. Andrzej Lewandowski, Australia dol. A. 40,-  
 6. Beziemiennie ze Szwecji DM 15,-  
 7. Beziemiennie z USA dol. USA 5,-  
 8. Zenon Gwiżdżoń, Arnsberg DM 50,-  
 9. Małgorzata Polewczyńska, Haffkrug DM 20,-  
 10. Jerzy Świerkula, Kiel DM 10,-

Na Fundusz Prasowy „Poglądu”:  
 1. Rafał Gan-Ganowicz, Paryż DM 10,-

*Ofiarodawcom serdecznie dziękujemy!*



# ZNACZKI I KOPERTY Z PODZIEMIA



Do nabycia  
w redakcji  
„Poglądu”.  
Cena DM 2,-

Jacek postanowił sprzedać auto. Ponieważ mimo ogłoszeń w prasie nie zjawił się żaden nabywca, 7 czerwca kupił nowy wóz. Nawał spraw bieżących – a przede wszystkim chęć nacieszenia się nowym pojazdem sprawiły, że dopiero 13 czerwca Jacek znalazł czas, aby wymeldować stare, oczekujące dotąd bezskutecznie nabywcy auto. Odkręcił tablicę rejestracyjną od stojącego przed domem starego grata i pojechał nowym autem do najbliższego miasta, siedziby TÜV. tj. Kontroli technicznej. Mimo, że to był piątek i „13” – sprawy niespodziewanie przybrały dobry obrót. Otóż odwiedzony po drodze dawny znajomy Jacka wyraził chęć kupienia starego auta.

– Wrócimy teraz do ciebie – przekonywał znajomy – przykryjemy na powrót tablicę rejestracyjną, autem wrócę do domu, a w poniedziałek przerejestruję je na siebie.

Wrócili do domu Jacka i ubili interes. Znowu upłynęło parę dni. Nie było powodów do żadnego niepokoju. Umowa kupna-sprzedaży z datą 14 czerwca 1986 była spisana i wpięta w Jackowe dokumenty, pieniądze za auto przekazane...

W poniedziałek 23 czerwca w mieszkaniu Jacka zawitali dwaj policjanci.

– Pana autem spowodowano 14 czerwca, w sobotę, bardzo groźny wypadek – zakomunikowali osłupiałemu ze zdziwienia Jackowi. – Wstępnie szacujemy straty na około 8 tysięcy DM...

– Ależ ja to auto sprzedałem w piątek i nie mam z tym wypadkiem nic wspólnego...

– Proszę zatem tę sprawę wyjaśnić z firmą ubezpieczeniową – powiedział spisując protokół policjant.

Jadąc rano do firmy ubezpieczeniowej, Jacek zdążył jeszcze odebrać pocztę i znalazł list w którym... przesta-

no mu do wypełnienia „Unfallbericht” – czyli oświadczenie o okolicznościach spowodowanego z własnej winy wypadku drogowego... Jechał pełen najgorszych przeczuców.

Wyjaśniono mu w firmie ubezpieczeniowej, że w momencie wypadku auto nie było przerejestrowane na nowego właściciela i dlatego poprzednie (a zatem Jacka) ubezpieczenie drogowe pozostało w mocy. W tej sytuacji straty z tytułu wypadku zostaną uregulowane przez firmę ubezpieczeniową, a Jacek jako właściciel polisy poniesie przewidziane prawem skutki, tj. utraci bonifikatę z tytułu jazdy bezwypadkowej.

Indagowany w tej sprawie adwokat poradził Jackowi, aby wszczął przeciwko nabywcy swojego auta proces sądowy w trybie postępowania cywilnego. Ale ponieważ nabywca Jackowego pojazdu nie jest w najlepszej sytuacji finansowej – egzekucja jakichkolwiek należności z tytułu wygranej sprawy wydaje się wątpliwa.

Powstaje pytanie: Jaki błąd popełnił Jacek?

Otóż należało przed sprzedażą wymeldować auto we właściwym terenowo urządzie komunikacyjnym tzw. Zulassungstelle i odesłać dowód wymeldowania do wiadomości swojej firmy ubezpieczeniowej. W przypadku Jacka, który posiadał przez pewien okres dwa auta – pozwoliłoby to jednocześnie uniknąć ponoszenia niepotrzebnie podwójnych opłat ubezpieczeniowych. Albo też przypilnować, aby nabywca, bezpośrednio po kupnie ubezpieczył auto na swoje nazwisko np. poprzez zawieszenie próbných „czerwonych” numerów rejestracyjnych.

**UNIKAJMY WIĘC SPRZEDAŻY AUTA Z NASZYMI NUMERAMI REJESTRACYJNYMI.**

Bo może się okazać, że piątek do tego „13”-ty przyniesie pecha....

## BAYERISCHE BEAMTEN VERSICHERUNGEN BAYERISCHE BEAMTEN LEBENSVERSICHERUNG a.G.



BEZIRKSDIREKTION  
STUTTGART  
Schloßstraße 64 A  
7000 Stuttgart 1  
(Z. Hd. Herr Christoph A. Pyrek)

Information, Beratung und Angebot für Aus-siedler, Asylberechtigte und Asylbewerber aus Polen.

Die Mitarbeiter der BBV sind erfahrene, gut ausgebildete Fachleute. Sie stehen Ihnen zu Beratung gern bereit, auch in polnischer Sprache.

Schreiben Sie an uns!

Ihre



BAYERISCHE BEAMTEN  
VERSICHERUNGEN

Der sichere Partner für alle –  
überall in Deutschland!

Informacja, poradnictwo oraz oferta dla przesiedleńców, uznanych azylantów oraz ubiegających się o azyl z Polski. Pracownicy BBV są doświadczonymi, dobrze wyszkolonymi fachowcami. Oni służą Państwu w każdej chwili radą – również w języku polskim. Napiszcie Państwo do nas!

Wasza



BAYERISCHE BEAMTEN  
VERSICHERUNGEN

Pewny partner dla wszystkich  
– w całym Niemczech

„Pogląd” ukazuje się od stycznia 1982 roku (do października 1982 roku, jako „Biuletyn Informacyjny” Komitetu Obrony Solidarności) i jest niezależną publikacją Towarzystwa Solidarność e.V. — zrzeszenia zarejestrowanego w Berlinie Zachodnim, mającego na celu obronę praw do zakładania niezależnych związków zawodowych oraz obrony praw człowieka w Europie Wschodniej.

## Fragmety § 2 Statutu Towarzystwa

Zrzeszenie jest ponadpartyjne i realizuje w swej działalności wyłączenie cele użyteczności publicznej, jakimi są:

1. Popieranie niesienia pomocy dla osób prześladowanych z przyczyn politycznych, rasowych i religijnych, dla uchodźców i wysiedleńców, przede wszystkim z krajów Bloku Wschodniego, a w szczególności z Polski.
2. Propagowanie tolerancji w dziedzinie kultury oraz rozpowszechnianie idei porozumienia między narodami w celu pokojowego ich współistnienia. (...)
3. Propagowanie zbliżenia kulturowego pomiędzy narodami, a w szczególności między Polakami i Niemcami. (...)
4. Popieranie ruchów demokratycznych w państwach totalitarnych, przede wszystkim w Polsce i krajach Bloku Wschodniego. (...)
5. Zrzeszenie realizuje swoje cele poprzez uświadamianie i popularyzowanie idei demokratycznych i kultury politycznej. W tym celu:
6. Zrzeszenie rozprowadza swoje czasopismo „Pogląd” — „Meinung” w kraju i za granicą. Zadaniem czasopisma jest informowanie o tendencjach rozwojowych w Polsce i w państwach totalitarnych, przede wszystkim w tych, które należą do Bloku Wschodniego, jak również ma na celu stworzenie forum dla prześladowanych, wysiedleńców oraz uchodźców z tych krajów. (...)
7. Zrzeszenie ma zamiar dokonywać analiz sytuacji w krajach totalitarnych, poprzez organizowanie sympozjów i wykładów oraz publikowanie ich rezultatów w celu informowania opinii publicznej. (...)

## Cena pojedynczego egzemplarza bez wysyłki

Australia . . . . .	4 sA
Austria . . . . .	30 OS
Belgia . . . . .	85 bfr
Canada . . . . .	4 sC
Dania . . . . .	15 dkr
Francja . . . . .	15 FF
Holandia . . . . .	5 hfl
Norwegia . . . . .	13,5 nkr
RPA . . . . .	2,5 R
Szwecja . . . . .	15 skr
USA . . . . .	3,5 s
Wielka Brytania . . . . .	1,5 £

## PRENUMERATA

RFN:	
kwartalna . . . . .	DM 30,-
półroczna . . . . .	DM 55,-
roczna . . . . .	DM 100,-
Kraje europejskie:	
półroczna . . . . .	DM 58,-
roczna . . . . .	DM 110,-
USA, Kanada, Afryka, Ameryka Południowa:	
półroczna . . . . .	DM 80,-
roczna . . . . .	DM 150,-
Australia:	
półroczna . . . . .	DM 100,-
roczna . . . . .	DM 200,-

Wysyłkę podejmujemy po przekazaniu należności na konto:

„Gesellschaft Solidarność” e.V.  
„Pogląd”

Sparkasse der Stadt Berlin West  
Konto Nr. 122 001 238 2  
BZL 100 500 00

lub

Postcheckkonto  
586 90 - 102  
BLZ 100 100 10  
Postcheckamt  
1000 Berlin (West)

Czytelników w Szwecji prosimy o dokonywanie wpłat na prenumeratę na konto:

Tadeusz Karolak  
Postgiro, Nr. 465 0809-9  
dopisek: POGŁAD

OFFSETDRUCKEREI  
Hans-Juergen Wichmann  
Askanierring 155-156  
1000 Berlin 20

CENA DM 4.-

© Wszelkie prawa zastrzeżone. Przedruk i tłumaczenie wyłącznie za pisemną zgodą redakcji. Zastrzega się prawo skracania następujących materiałów. Materiałów nie zamówionych nie zwracamy. Nawet materiały podpisane nazwiskiem niekoniecznie oddają pogląd redakcji. Odpowiedzialność prasową za artykuły podpisane nazwiskiem ponoszą autorzy. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

IMPRESSUM  
Verleger — Wydawca  
Gesellschaft Solidarność e.V.  
Gesslerstr. 10, D-1000 Berlin 12  
Redaktor odpowiedzialny  
Edward Klimczak  
Adres redakcji  
Postfach 62 02 24  
D - 1000 Berlin 62  
Tel. 030/782 93 84

Przedstawiciele, korespondenci i kolporterzy

AUSTRALIA — Andrzej Lewandowski, 905/32 Dumond Street, Bentley 6102, Tel. 09/3505094;

AUSTRIA — „Polskie Wiadomości”, A. Jaślikowski, Kolbasse 35/15, 1030 Wien; Księgarnia Polska, Zofia Reinbacher, Burggasse 22, 1070 Wien;

DANIA — Roman Smigielski, Worsaaesvej 7, 4tv, 1972 Frederiksberg C, Tel. 01/393330; FRANCJA — A. Mrowiec, 6AB D. A. Allende, 42000 St. Etienne; Krystyna Szewczuk, 143, rue Etienne Poulet, 69400 Villefranche s/S, Tel. 74/620945;

KANADA — Krzysztof Kasprzyk, 46 Fuller Ave., Toronto, Ontario M6R 2C3; Marek Przykowski, 4760 Cote des Neiges, Montreal P.Q., HVJ IG3, Tel. 514/7355974;

NORWEGIA — Paweł Gajowiczek, Linderbergassen 32b, 1068 Oslo;

RFN — Eucja Abramowicz, Schniederbergstr. 135, 4532 Mettingen, Tel. 0542/3878; Andrzej Baranowski, Riensengeberstr. 1, 5300 Bonn 1; Stanisław Brodnicki, Zum Luischtal 17, 4600 Dortmund 15, Tel. 0231/374673; Zbigniew Długociński, Gruene Str. 11, 6000 Frankfurt/M. 1, Tel. 069/436260; Andrzej Janiszewski, Suedstr. 8, 5100 Aachen, Tel. 0241/22078; Jerzy Janowski, Oskar-Maria-Graf-Ring 54, 8000 Muenchen 83, Tel. 089/6371213; Lech Jaruga, Postfach 601203, 2000 Hamburg 60;

Jan Kustusz, Engelbert Str. 85, 5760 Arnsberg, Tel. 02932/22798; Tadeusz Leś, Wienerstr. 307a, 7000 Stuttgart 30, Tel. 0711/8567415; Marek Poliwski, Luxemburger Str. 124, 5000 Koeln 41, Tel. 0221/413734;

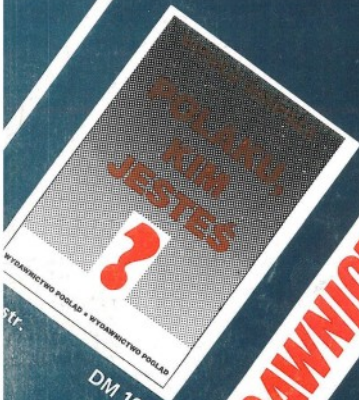
Miroslaw Sufliada, Wilhelm Bauman Str. 51, 4830 Guetersloh, Tel. 05241/27730; Waldemar Tymoszuk, Alster Arkaden 10, 2000 Hamburg 36; Jacek Wyrywiak, Brusselselerstr. 11, 5300 Bonn 1, Tel. 0228/678379;

SZWECJA — Tadeusz Karolak, Box 83, 13525 Tyreso, Tel. 08/7421457;

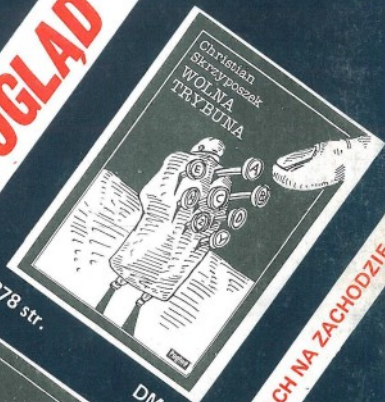
USA — Piotr Całka, 4855 W 118th, Alsip 60658 Ill. Tel. 312/5972096; Miroslaw Marecki, P.O. Box 605a, Holand, MI 49432, Tel. 616/3966207; Tamara Sochacka, 3198 Trowbridge, Hamtramck, MI 48212, Tel. 313/8711686; Andrzej Wiśniewski, P.O. Box 1785, Bethany, OK 73008;

WIELKA BRYTANIA — Solidarity with Solidarity, 7 Quintin Av., London SW20 8LD, el. 01/6734456;

# KSIĄŻKI WYDAWNICTWA POGLAD



DM 19,50,-



378 str.

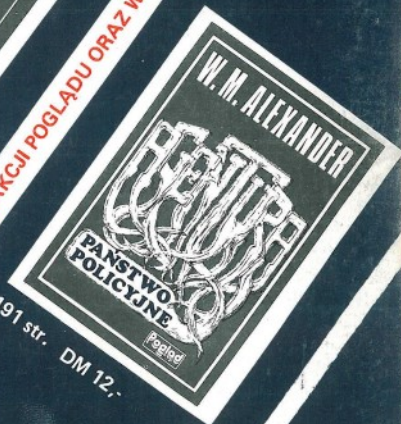
DM 29,-



223 str. + 33 str. zdj. DM 25,-



187 str. DM 12,-



191 str. DM 12,-

DO NABYCIA W REDAKCJI POGLADU ORAZ W POLSKICH KSIĘGARNIACH NA ZACHODZIE